

W dzunglach Bengalu

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

W dzunglach Bengalu

Rozdział I.

Polowanie na tygrysy.

— Pan go wytropił sahib! — zawołał sierżant sipajów, Tolumbu. (Sipajowie lub sepsi są to tubylcze wojska indyjskie z europejskimi oficerami.)

Przy tych słowach szybkim ruchem podniósł karabin, oparty o blanki małej hauli (wieżyczka na grzbiecie słonia), w której siedział obok niego starannie wygolony Europejczyk w białym tropikalnym ubraniu.

— *Well* — rzekł tamten z niewzruszonym spokojem, a każdy niewtajemniczony widz mógłby sądzić, że ten wspaniały orszak wyruszył na polowanie na zające. — Daj znak do zbiórki.

Mahut, poganiacz słonia, siedzący przed nimi na szerokim karku olbrzymiego zwierza, wydał za pomocą gwizdawki kilka przeraźliwych tonów, które nawet na obliczu flegmatycznego białego wywołały wyraźną oznakę przykrości. Merghee (największy i najsilniejszy wśród wszystkich słoni) zdawał się rozumieć ten sygnał, gdyż podniósł w górę swą potężną trąbę i począł trąbić z taką siłą, że cała dżungla wokół zagrzmiała doniosłym echem.

Mahut uderzył go w ucho krótką laseczką, chcąc pouczyć, aby wybrał sobie odpowiedniejszy moment do ćwiczeń muzycznych i wszyscy trzej mężczyźni wyteżyli słuch. Z niewielkiej odległości dochodziło zajadłe szczekanie i wycie. Wkrótce dał się słyszeć szum i trzask gałęzi, a z zarośli wyskoczył tuzin półnagich tubylców, którzy szybko schronili się za słonia.

— Co słysząc Hurti? — spytał sierżant przywódcę naganiaczy. — To stary zwierz! Jest już blisko! — odparł zagadnięty.

Gdy te słowa przetłumaczono Europejczykowi, ożywił się nieco. Podniósł karabin i oglądał go, chcąc zbadać, czy wszystko w porządku. Następnie zwrócił się do sierżanta:

— Dziesięć funtów, jeśli pojawi się po mojej stronie, pięć, jeśli po twojej! Naprzód!

— Proszę być ostrożnym, sahib! — upomniał go żołnierz. — Bengalski tygrys to nie piesek pokojowy, a to pierwszy, jakiego pan ma wziąć na cel! Jeśli to istotnie taki Matuzal, jak zapewnia Hurti, to jest bardzo przebiegły i pojawi się z tej strony, z której go się najmniej spodziewamy. Proszę przynajmniej nie strzelać, zanim...

— Bah! — przerwał mu niecierpliwie biały — po co to mówić? W Afryce zastrzeliłem lwa, a to także nie piesek pokojowy.

Sierżant wzruszył ramionami.

— Naprzód mahut! — rozkazał poganiaczowi.

Słoń wszedł w gęstwinię. Bambusy pękały pod jego olbrzymimi stopami, podniosły się ogromne stada barwnych ptaków, przerażonych hałasem.

Przeraźliwy skowyt doszedł z tej strony, gdzie psy zatrzymały straszliwego zwierza; skowyt dowodził, że jeden z psów dostał się w pazury tygrysa.

— Teraz nie ucieknie — odezwał się sierżant — wkrótce go ujrzymy! Po upływie pięciu minut słoń dotarł do polany, po której uwijało się stado ujadających psów. U skraju zarośli leżało jedno ze zwierząt z pogruchotanymi kośćmi.

Gdy słoń pojawił się na polanie, stado z radością rzuciło się ku niemu. Pomoc dodała im odwagi, a gdy sierżant Tolumbu zagroził je okrzykiem do walki, psy wróciły do zarośli, wśród których ukrywał się podstępny zwierz. Nagle tygrys potężnym skokiem znalazł się na polanie.

Był to wspaniały zwierz. Wygiął się w łuk do ponownego skoku, bijąc z wściekłością ogonem o trawę.

— Dziesięć funtów — rzekł spokojnie lord, podnosząc karabin do oka. Huknęły dwa strzały i tygrys runął, trafiony w oczy, a z rozwartej paszczy wydarł się krótki, bolesny skowyt. Począł drapać pazurami ziemię — i skonał.

— Na Sziwę, sahib! — zawołał zdumiony sierżant — nie widziałem nigdy w życiu, by początkujący tak świetnie strzelał!

Europejczyk słuchał tych pochwał z taką samą obojętnością, z jaką przedtem słuchał upomnień. Wyjął portfel, wydobyl obiecany banknot, wręczył go swemu towarzyszowi, i spytał:

— A teraz?

— Zbliżywszy się do tygrysa zsiądziemy — odparł sierżant, chowając pieniądze.

Mahut skierował słońa w stronę zabitej bestii, a słoń, starodawnym obyczajem, zmiążdżył nogą głowę tygrysa. Indyjscy myśliwi czynią to dla ostrożności, albowiem zdarza się, że śmiertelnie zraniony tygrys zrywa się raz jeszcze i rzuca na napastników.

Sierżant zwrócił się do swego towarzysza:

— Możemy opuścić haulę, sahib. Niebezpieczeństwo minęło.

Gdy biały skinął głową, rzucił rozkaz:

— Daj znak ludziom, mahut!

Poganiacz wydał przeraźliwy gwizd, a sierżant odłożył karabin i wyrzucił drabinkę sznurową.

Merghee stał w oddaleniu czterech kroków od brzegu polany, a Europejczyk sięgnął do kieszeni po cygaro, gdy nagle rozległ się trzask bambusów i drugi tygrys jednym potężnym susem znalazł się przy

blankach hauli.

Rozległ się podwójny wrzask trwogi.

Jeden wydał mahut, który spadł z karku słonia na ziemię, drugi zaś sipaj, który ujrzał tuż przed sobą rozwartą paszczę zwierza. Tylko Europejczyk stał bez trwogi. Z zaciśniętymi zębami wydobył rewolwer. Lecz cóż znaczy kula rewolweru dla bengalskiego tygrysa!? Tyle co drobny śrut dla dzika. Zdawało się, że obaj dzielni myśliwi są zgubieni. Straszliwy zwierz już rozwarł paszczę, gdy nagle w dżungli rozległy się dwa wystrzały. Tygrys, trafiony celnie kulami, cofnął się z przeraźliwym wyciem. Z tego momentu skorzystał biały. Wystrzelił sześć razy z rewolweru w rozwartą paszczę bestii. Tygrys runął na ziemię.

Ledwo Merghee uczuł, że mu ubyło ciężaru, począł ciężkimi stopami miażdżyć zwyciężonego zwierza, tak że pogruchotał mu wszystkie kości.

— Hallo! — rozległ się znenacka jakiś głos.

Z zarośli wyszedł drugi Europejczyk i szybko zbliżył się do rozjuszonego słonia.

— Co robisz? — zawołał po niemiecku, do słonia i uderzył go szpicrutą. — Niszczysz mi piękną skórę!

Gdy słoń się cofnął, Niemiec począł oglądać zabitego zwierza.

— Tak! — krzyknął, wygrażając pięścią słoniowi. — W pięciu miejscach kości przebiły skórę! Mam ochotę pełną garść czerwonego pieprzu wsadzić mu do nozdrzy!

Po chwili przybysz począł się przypatrywać obu myśliwym.

Sipaj, wciąż przerażony, spoglądał to na zabitego zwierza, to znów na wybawcę i zdawał się nie pojmować jeszcze, że niebezpieczeństwo istotnie minęło. Jego towarzysz natomiast wyjął z portfelu drugi banknot i podał sierżantowi, mówiąc:

— Dziesięć funtów! Ten także pojawił się po prawej stronie. Sipaj machinalnie sięgnął po banknot. Był do największego stopnia zdumiony zimną krwią białego.

— Wyrzuć drabinkę, sierżancie! — zwrócił się doń Niemiec. — Twój pan zechce przecież wsiąść!

Żołnierz wykonał polecenie i wraz z białym opuścił grzbiet słonia.

— Mam nadzieję, że pan nie jesteś ranny, sir! — odezwał się strzelec, podając dłoń gładko wygolonemu Europejczykowi.

Zagadnięty zmierzył przybysza od stóp do głów, jak gdyby chciał się przekonać, czy mu może podać rękę. Lecz w tejże chwili przypomniał sobie, że przecież zawdzięcza mu życie, dlatego z salonowym ukłonem rzekł:

— Jestem lord Artur Connaughton, sir. Z kim mam przyjemność?

— Ach tak! — zawołał tamten — proszę mi wybaczyć, że tutaj, w dżungli zapomniał o towarzyskich formach. Nazywam się von Denhoff.

Lord zrobił taką minę, jak gdyby chciał spytać: Niemiec? Lecz ujął podaną sobie dłoń, potrząsnął nią silnie i rzekł:

— Dziękuję panu bardzo, sir! Bez pańskiej pomocy byłbym krwawym befsztykiem, słowo honoru! Lecz ten głupiec, handlarz broni w Kalkucie nie chciał w to wierzyć za żadną cenę.

Von Denhoff otworzył szeroko oczy. Więc handlarz broni w Kalkucie już przed tygodniami wiedział, że lord bez jego pomocy w dżungli może się zamienić „w krwawy befsztyk”?

— Przepraszam — rzekł — nie rozumiem pana.

— Słusznie — odparł Anglik — pan przy tym nie byłś. Gdy kupowałem rewolwer, chciałem kazać zdjąć pierścień, gdyż przewidziałem, że w decydującym momencie może się zaczepić o cokolwiek. Lecz handlarz twierdził, że tego pierścienia zdjąć nie może i przekonywał mnie o tym tak długo aż mnie przekonał. Istotnie, w chwili, gdy rzucił się na mnie drugi tygrys, ów pierścień się zaczepił i gdyby nie pańska pomoc, byłbym zginął. Lecz wracam natychmiast do Kalkuty i biada mu, jeśli tej poprawki nie wykona bezpłatnie.

Von Denhoff zdumiał się na nowo. Ten lord musiał być istotnie oryginałem, jeśli chciał natychmiast odbyć stukilometrową podróż do Kalkuty dla naprawy, którą tutaj można było wykonać w ciągu kilku sekund przy pomocy noża myśliwskiego.

Lecz zanim zdołał się odezwać, ukazali się naganiacze, którzy powitali zwycięzców głośnymi okrzykami radości, które się wzmożyły, gdy ujrzeli na ziemi dwa tygrysy, zamiast jednego. Lord rzucił im garść srebrnych pieniędzy.

Niemiec podniósł palec do ust i wydał głośny gwizd. Na ten sygnał z zarośli wyskoczył wielki, wspaniały dog i zbliżył się do swego pana z oznakami radości.

Lord chciał swoim ludziom rozkazać, aby zabite drapieżniki obdarli ze skóry, gdy nagle w zaroślach ukazał się smukły i wysoki Hindus.

Jego bogato ozdobione ubranie zdradzało, że jest to naik (szlachcic pochodzący z kasty rycerzy).

Przybysz pozdrowił obecnych lekkim skinieniem głowy i spytał Niemca:

— Oba sahib?

— Niestety, tylko jednego Mambazi — odparł zagadnięty — i to w ostatniej chwili, gdy obaj ci panowie mieli zniknąć w jego żarłocznej paszczy.

Ciemne oczy Hindusa błysnęły. Każdy, kto choć trochę był obznajomiony z etnografią Indii, mógł

w nim natychmiast poznać Mahrattę, syna dumnego i dzielnego szczepu górskiego.

— Chciałbym strzelać tak, jak ty — rzekł.

— A więc ucz się u tego pana — odparł von Denhoff wskazując na lorda. On się na tym rozumie lepiej niż ja. A przynajmniej pierwszy strzał do tygrysa był mistrzowskim jak na nowicjusza.

Hindus spojrział ciekawie na strzelca.

— Czy on jest synem, twego ludu? — spytał von Denhoffa.

— Nie, Anglik — odparł zagadnięty.

— Nie lubię Anglików — rzekł Mahratta, lekko marszcząc brwi. — Ponieważ jednak nazywasz go dzielnym człowiekiem, Mambazi nie odmówi mu swej czci. Wszyscy dzielni ludzie są braćmi.

Lord spytał Hindusa dość szorstko.

— Sądysz, że mi na twojej czołobitności cokolwiek zależy?

— Jeśli zdanie dzielnego człowieka jest ci obojętne, w takim razie nie zasługujesz na to miano.

— Ach, więc to ty jesteś tym dzielnym? — rzekł lord z wyraźną drwiną na ustach.

— Mambazi był księciem swego ludu — odparł tamten z godnością — dopóki Anglicy gwałtem nie wydarli mu kraju lecz chętnie będzie walczył z każdym Anglikiem z osobna. Jeśli temu nie wierzysz, w takim razie spytaj mego przyjaciela, tego tutaj sahiba. On odpowie ci słowami, lecz ja mogę tylko czynem.

— Proszę zawrzeć pokój, milord — wpadł von Denhoff. — Mambazi stanie za dwudziestu innych. Koło Benares widziałem na własne oczy, jak ze zwykłym oszczepem rzucił się na tygrysa. Podaj panu dłoń, Mambazi! Pragnę, by moi przyjaciele byli także między sobą przyjaciółmi. To znaczy, me wiem, czy wasza lordowska mość pozwoli się za takiego uważać.

— *O yes!* — zapewniał skwapliwie zagadnięty — i jeżeli ten człowiek jest panu tak droгим, będę się starał okazać mu takie same uczucia.

Podał rękę Mahrattcie, który mocno uścisnął podaną sobie dłoń. Szlachcic poznał szlachcica i zapomniał o starej nienawiści plemiennej.

Sierżant ze zdumieniem patrzył na tę scenę. On sam był przecież prawie oficerem królowej Wiktorii i mógł nawet z lordem siedzieć w hauli. Ale by biały kolorowemu podał dłoń, jako oznakę przyjaźni, wprost nie chciał wierzyć.

Z kolei zdarto skórę z tygrysów. Skóra pierwszego przypadła naturalnie lordowi, który mógł być dumny z tej zdobyczy, gdyż mówiła wyraźnie o zręczności strzelca. U drugiego drapieżnika trzeba było śledzić którądy przeszły kule, aby rozstrzygnąć, któremu z dwóch panów przyznać skórę.

Okazało się, że to niełatwa sprawa.

— Na Sziwę — odezwał się sierżant, który, jako doświadczony myśliwy, miał wypowiedzieć decydujące zdanie — nigdy jeszcze w życiu nie miałem tak zawikłanego zadania. Gdybym nawet każdemu z panów przyznał połowę, to i tak nie wiedziałbym, kto otrzyma głowę, a kto ogon. Albowiem rozciąć wzdłuż piękną skórę, byłoby największym grzechem.

— Oszczędź sobie trudu, kochany sierżancie — odezwał się lord. Gdyby ten pan na czas się nie zjawił tkwiłbym prawdopodobnie wraz z tygrysem w tym samym futrze. Z tego też powodu nie mogę mieć do niego pretensji, jeśli poprzednio byłem szczęśliwy, że pozbyłem się tego futra.

— A ja — odparł Niemiec — nie mogę pozwolić by mi cokolwiek darowano, choćby to nawet była drobnostka.

W ten sposób obaj panowie dyskutowali jeszcze przez chwilę, chcąc się nawzajem przekonać. W końcu von Denhoff rzekł:

— Wie pan co, milordzie? Słoń pański nogami swoimi podziurawił okropnie tę tygrysią skórę, niechże więc na wieczną pamiątkę tego hańbiącego czynu nosi ją na swej głowie, jako czepek! Co pan na to powie?

— Wspaniale sir! — zawołał lord, ściskając dłoń Niemca. — Widzę, że coraz lepiej sobie odpowiadamy. Ma pan istotnie świetne pomysły!

Zawołano mahuta, lecz nigdzie nie można go było znaleźć. W chwili niebezpieczeństwa opuścił swoje miejsce, popełnił zatem najcięższe przestępstwo, jakie człowiek jego stanu popełnić może, czekała go za to surowa kara. Z tego też powodu zbiegł i prawdopodobnie gdzieś się ukrył, aby pokazać się swemu panu, gdy jego gniew minie.

— Nawet najmniejszy atom nie może na tym świecie zginąć, jak twierdzą chemicy — rzekł von Denhoff — dlatego też i przewodnik słońca znajduje się tutaj, Nero!

Podniósł z ziemi laseczkę do kierowania, którą mahut porzucił i dał powąchać psu.

— Szukaj! — rozkazał.

Dog szczeknął, począł szukać czegoś na ziemi i zniknął w zaroślach.

Po chwili w pewnej odległości dał się słyszeć głośny krzyk, szczekanie i przekleństwa w bengalskim dialekcie.

Sierżant obawiał się, że pies pokąsa mahuta, lecz von Denhoff uspokoił go pod tym względem.

Po upływie pewnego czasu z zarośli wyłonił się najpierw ogon doga, tylne nogi, potem przednie, na koniec cały pies, który ciągnął zębami za ubranie przerażonego mahuta.

Widzowie tej wesołej sceny śmiali się na cały głos i nawet na poważnym obliczu lorda pojawił

się lekki uśmiech.

Mahut przekonał się, że wszelkie ukrywanie się jest daremne, dlatego rzucił się na kolana przed swym panem, błagając o zmiłowanie.

— Sahib! — wołał, składając dłonie — bij mnie, sahib, ile chcesz, ja to cierpliwie zniosę, ale nie wypędzaj! Ja nie mogę żyć bez Dicka! Ja go w ciągu piętnastu lat wychowałem i nauczyłem wszystkich sztuk! Ja umrę, jeśli będę musiał się z nim rozłączyć! A Dick także! Ja jestem jego ojcem, a on moim synem, sahib, moim synkiem, moim ukochanym, małym synkiem, sahib! Popełniłem wielkie przestępstwo, sahib, ja to wyznaję, lecz tygrys nie jest myszą! Zlituj się, sahib.

Lord spojrział pytająco na Niemca a ten postanowił ogłosić wyrok. — Jesteś wielkim przestępcą, mahut! — rzekł, groźnie marszcząc brwi. — Długo zastanawialiśmy się, czy nie należy natrzeć cię czerwonym pieprzem i powiesić na słońcu, albowiem wskutek twej haniebnej ucieczki nie tylko obaj panowie zostali narażeni na wielkie niebezpieczeństwo, ale ponadto twój Dick zniszczył piękną skórę tygrysa, za którą pierwszy lepszy handlarz w Kalkucie ofiarowałby sto rupii. Lecz tym razem okazemy ci łaskę i nie pozbawimy cię towarzystwa twego źle wychowanego synka. Za karę jednak przywiążesz mu tygrysią skórę do czaszki i będziesz zawsze na niej siedział. A teraz idź i rób, co ci rozkazano!

Hindus oniemiał z radości. Nie tylko darowano mu karę, ale ponadto ofiarowano tygrysią skórę! Mało brakowało, a byłby obu panom ucałował stopy.

Następnie skoczył do swego Dicka i z łkaniem objął jego trąbę: ścisnął ją i pieścił, jak ojciec ukochanego synka. Dick zdawał się także być mocno wzruszony, gdyż wywijał na wszystkie strony swoim krótkim ogonem.

— Jakub i Beniamin w Egipcie! — zawołał von Denhoff — Moznaby wylewać łzy, gdyby ten obraz nie był tak komiczny! A jednak, milordzie, co pan myśli ó mym najnowszym ulepszeniu tresury?

— Jakiej? — spytał zdziwiony lord.

— Jak to, czy nie widziałeś pan mego Nera przy robocie?

— Ach — odparł lord — czy on zawsze tak zręcznie tropi?

— Oczywiście! Na tym właśnie polega ulepszenie mej tresury.

— Czy można spytać — zagadnął ciekawie tamten — jakie dodatnie strony swego wynalazku pan zachwala?

— To się samo przez się rozumie! Jeśli pan psa uczy tropić ludzi, naraża się pan na to, że stanie pan przed sądem przysięgłych, jeśli zwierzę jest zbyt krwiożercze i tropionemu przegryzie gardziel. Mój Nero jednak postępuje w takim wypadku bardzo ostrożnie, chwytając zębami za odpowiednią część ubrania, i stara się zupełnie nie naruszyć skóry delikwenta. Może pan sam to spróbuje, milord, jeśli pan nie chce mi wierzyć. Nero przekona pana o tym na miejscu!

— Dziękuję, dziękuję! — zapewnił pospiesznie lord — wierzę w pańskiego psa, jak w ustawy parlamentu! Pański wynalazek jest istotnie świetny! Musimy pozostać razem! Pan podoba mi się niesłuchanie, a ja muszę jeszcze panu zapłacić dług.

— Jaki dług?

— Przecież pan uratował mi życie!

— Ach, nie ma o czym mówić!

— Może dla pana, ale mnie pozwole pan o tym mówić, ponieważ życie swoje uważam za bardzo ważną rzecz. A ponieważ lord Connaughton nie znosi długów, przeto...

— Przeto proszę mi przyrzec wdzięczność aż do grobu, aby mnie z tego grobu móc wyratować! — przerwał von Denhoff ze śmiechem. — Spodziewam się, że los w swych postanowieniach będzie mniej barbarzyński i oszczędzi panu dowodów wdzięczności, bo w przeciwnym razie pańskie towarzystwo byłoby dla mnie istotnie ciągłym niebezpieczeństwem.

— Idzie pan ze mną? — spytał lord. — To zależy, dokąd? Gdzie pan rozbił swój obóz?

— Obecnie jestem zakwaterowany w Bungalowu kapitana Barteda.

— Czy to nad zakrętem Kagi?

— Tak, godzinę drogi poniżej Surkhail.

— W takim razie nie mogę panu dzisiaj towarzyszyć — odparł von Denhoff — moi przyjaciele niepokoiłoby się w obozie, gdybyśmy nie wrócili do wieczora. Wiesz pan co? Przyjedź pan jutro do nas! Od kilku tygodni prowadzimy tu w dżungli wspaniałe łąki książęce życie, gdzie się co moment ryzykuję całość skóry. Zgadza się pan?

— Owszem! — zawołał lord, ściskając dłoń von Denhoffa. — Gdzie mogę pana spotkać?

— Popłynie pan Kaga, aż do wielkiego rozwidlenia. Gdy pan dalej podąży lewym ramieniem, w przeciągu pół godziny osiągnie pan nasze chaty. Będę uważał, by pan nie przepłynął, nie zauważywszy naszych siedlisk, gdyż są ukryte ze względu na bandy opryszków, włóczących się w tej okolicy.

Tymczasem naganiacze skończyli zdzieranie i oczyszczanie obu skór tygrysich. Mahut umieścił jedną z nich na czaszce swego Merghee i usiadł na niej dumny, jak sam wielki mogół z Delhi.

Po zapewnieniach, że począwszy od jutra obaj przyjaciele będą w dżungli dzielili radości i cierpienia wspólnych trudów, lord i Niemiec rozeszli się.

Orszak myśliwski lorda udał się w dalszą drogę.

Rozdział II.

Siedziba myśliwych u skraju czarnej dżungli.

— Mambazi! — zwrócił się von Denhoff do Hindusa. — W obozie nie mów ani słowa o tej przygodzie! To będzie zabawne, gdy Filip, który się zachowuje tak ceremonialnie, jutro przyjmie lorda. Zrozumiałeś?

Na poważnej twarzy Mahratty pojawił się uśmiech zadowolenia. Skinął głową na znak zgody. Następnie obaj weszli w gęstwinę.

Po upływie pół godziny drogi wśród gęstych zarośli dotarli do szerokiego ramienia Kagi, gdzie pod gałęziami ukryli murpunka tj. lekkie czółno. Wsiedli do tej łodzi i wypłynęli na rzekę. Po upływie dwóch godzin dostali się do płaskiej zatoki na prawym brzegu, gdzie wyszli na ląd. Tutaj do palików przywiązane było drugie czółno oraz trzy gongi (ciężkie łodzie, służące do przewozu towarów), co dowodziło, że w pobliżu znajduje się siedziba ludzka.

Obaj wędrowcy ruszyli wąską ścieżyną pod górę i niebawem dotarli do obszernej polany, na której znajdował się obóz myśliwski białych, na skraju czarnej dżungli.

Masz pojęcie, kochany czytelniku, co oznaczają słowa: czarna dżungla?

W odległości 230 km od ujścia Ganges rozdziela się na trzy potężne ramiona, które tworzą potężną deltę o powierzchni 40000 km kwadratowych. Te trzy rzeki rozdzielają się na całe setki żył i ramion, tworząc, nierozwikłaną sieć kanałów.

Tutaj właśnie rozciąga się czarna dżungla z wszechwładnie panującym bambusem. Wśród tej dzikiej gęstwiny nie ujrysz nigdzie miasteczka, ani wsi, ani nawet ubożuchnej chatki. Wszędzie rozciąga się smutna, beznadziejna puszcza. W dzień panuje tutaj śmiertelna cisza, w nocy, rozlega się ryk dzikich i krwiożerczych bestii. Tutaj tarza się w mule straszliwy nosorożec, tutaj czai się tygrys, tutaj wije się okularnik, którego jadowite ukąszenie zabija w przeciągu jednej minuty.

Na małej polance, wśród gęstych zarośli bambusowych stały chatki myśliwskie. Mambazi wyszedł to miejsce. W ciągu długich lat zbadał tajemniczy labirynt czarnej dżungli i poznał jej wszystkie zagadki. Idąc za jego radą, biali wydeptali wąską ścieżynę, wiodącą aż do pagórka, oczyścili polankę z zarośli i wzniesli pod cieniem platanów cztery bambusowe chatki dla siebie i dla służby.

Towarzystwo składało się z von Denhoffa, którego już mieliśmy sposobność poznać, z jego przyjaciela dra Staufera, zoologa, oraz ze starego służącego Filipa. Należał tu również Mambazi, ostatni potomek książęcego rodu, który wiodł samotne życie myśliwego, aż wreszcie przyłączył się do trzech Europejczyków i tuzin saisów tzn. tubylczych sług.

Nie trzeba się dziwić, że tak niewielu ludzi trzymało tak liczną służbę. W Indiach nie jest to wcale luksusem. Sais otrzymuje poza codziennym wiktem tylko kilka groszy miesięcznego wynagrodzenia, ale też pracuje bardzo mało. Trzeba mieć osobnego saisa do czyszczenia ubrań, do konia, do kuchni i do ogrodu.

Po ostatniej przygodzie z tygrysami von Denhoff wspinał się na gałęzie płatanu. Tutaj był urządzony rodzaj strażnicy, z której można było obserwować większą część rzeki.

Po jakimś czasie w oddali na rzece pojawiła się wielka gonga, a gdy Niemiec zwrócił w tę stronę lunetę, spostrzegł na jej środku gładko ogolone oblicze lorda Connaughtona, który obojętnie palił cygaro i automatycznym ruchem rzucił spojrzenie to na ten, to na tamten brzeg rzeki.

Jego orszak składał się z czterech uzbrojonych aż po zęby, sipajów i ośmiu saisów, którzy nie zadawali sobie wiele trudu, aby za pomocą wiosła szybko pędzić łódź.

— Dobroduszny lord ma, zdaje się, tyle czasu ile pieniędzy — mruknął do siebie von Denhoff, obserwując ten widok. — Lecz cierpliwości tylko, kochani Hindusi! Po trzech dniach wasze nogi będą tak gibkie, jak naszych nicponiów. Rozumiem się doskonale na tego rodzaju tresurze!

Zeskoczył z drzewa i dał znak Mambaziemu, który leżał na trawie. Hindus skinął głową i zniknął we wnętrzu wielkiej chaty, stanowiącej dom mieszkalny obu panów, po czym wrócił wraz ze służącym Filipem.

Filip był to mały, dobrze odżywiony człowieczek, ozdobiony podwójnym podbródkiem i bladoniebieskimi oczkami, co dawało mu wyraz doskonałej dobroduszości.

Na ciemieniu miał nadobny wianuszek siwych loków, które toczyły beznadziejną walkę z łysiną, rozszerzającą się coraz bardziej. Jego nogi zbudowane były w stylu rokokowym, skutkiem czego chód był nieco chwiejny. Zresztą był to poczciwy i zacny okaz, o złotym sercu i skutkiem czego jego pan zapominał niekiedy o wadach jego charakteru. Filip przy każdej sposobności lubił postawić na swoim, skutkiem czego tyranizował niejednokrotnie von Denhoffa swoimi samowolnymi poglądami.

Stary pan von Denhoff, dziadek naszego znajomego przyjął niegdyś na służbę Filipa, jako dwunastoletniego chłopca i wtajemniczył go we wszystkie tajniki sztuki lokajskiej, z wytrwałością, która zdradzała dawnego rotmistrza huzarów.

Filip nosił stale czerwone spodnie, białe pończochy, i meszty ze sprzączkami, na co dzień używał zakietu z okrągłymi mosiężnymi guzikami, w uroczystych chwilach przywdziewał frak, czekoladowej barwy, według mody z 1830 r. ze srebrnymi galonami i połączanymi guzikami.

Wyszedł z chaty wraz z Mambazim, uklonił się nisko swemu panu („czynił to zawsze gdy koło niego przechodził choćby to było sześćdziesiąt razy na minutę) po czym wraz z Mahrattą zniknął w sąsiedniej chatce.

Von Denhoff wszedł do domku, gdzie bawił dziesięć minut. Następnie wyszedł z uśmiechem zadowolenia na twarzy i udał się nad rzekę, aby zaczekać na Anglika.

Ponieważ Hindusi pracowali leniwie przy wiosłach przeto gonga nadpłynęła dopiero po długiej chwili.

— Hallo! — zawołał von Denhoff — tutaj, proszę!

Gdy lord poznał Niemca, podniósł się i pozdrowił go po wojskowemu, i rozkazał swoim ludziom wysiąść na ląd. Sam przywitał się serdecznie z Niemcem. Von Denhoff rzucił uważne spojrzenie na barkę i spostrzegł na jej dnie duży przedmiot, owinięty matami i starannie przykryty siecią, chroniącą od moskitów. — Bob! — zwrócił się lord do zagadkowego przedmiotu. — Bob dotarliśmy do celu. Możesz bez obawy wysiąść. Niebezpieczeństwo minęło.

— *All right, milord!* — rozległ się z gongi przytłumiony głos a wielki pakunek poruszył się.

Po chwili wyłonił się zeń rodowity, rudy Irlandczyk, zlany potem jak palacz. Z głębokim westchnieniem wyszedł na ląd.

— Kto to jest? — spytał zdumiony Niemiec.

Ponieważ zagadkowy człowiek był tak samo ubrany jak lord i taką pieczołowitością był otoczony, przeto sądził, że to krewny lub przyjaciel Anglika.

— To tylko mój służący, Bob — odparł lord.

— Czy on chory? — spytał von Denhoff ze współczuciem.

— Bardzo! odparł lord. — Początkowo nie chciałem go brać ze sobą; ma słaby żołądek, więc obawiałem się, że dostanie morskiej choroby, lecz ja nie mogę żyć bez niego, kazałem go zatem dobrze zapakować, tak, że podróż, prawdopodobnie mu nie zaszkodzi. Bogowie wiedzą, jak on się tutaj oprze moskitom, które tną bez miłosierdzia. Ten biedny Bob ma taką wrażliwą skórę!

Von Denhoff przygryzł wargi, aby się głośno nie roześmiać. Dzielny Anglik owinał swego służącego potrójną siatką, a tymczasem sam się nie troszczył o znaki ukąszeń moskitów, które miał na obliczu.

Niemiec, nie chcąc gościa obrazić, opanował wybuch wesołości i począł iść ścieżką.

Gdy znaleźli się na polanie, zawołał w kierunku domku, w którym doktor był zajęty zoologicznymi preparatami:

— Hola! Zostaw swoje robaki na pięć minut i chodź tutaj! Lord Connaughton zaszczycił nas swoimi odwiedzinami i pozostanie pewien czas.

Filip stał właśnie w pobliżu i trzymał w ręce garnek z grochem, który mu dał Hindus. Gdy usłyszał nowinę, opanowało go przerażenie. Naczynie wysliznęło mu się z rąk i upadło na ziemię, rozbijając się na drobne kawałeczki.

Stary sługa krzyknął:

— Wielki Boże! Lord!?

Jednym ruchem rozpiął swój surdut i pomknął do domku tak szybko, jak tylko zdołały go unieść jego krzywe nóżki.

To było istotnie okropne! Lord, prawdziwy angielski lord przyszedł w odwiedziny, a on sam ma się ukazać jego oczom w zwyczajnym, codziennym, szarym surducie! Dziadek jego obecnego pana obilby go kijem za taki straszny grzech!

Tymczasem dr Staufer wyszedł ze swej chaty i zbliżył się do gościa. Von Denhoff przedstawił obu panów i rzekł:

— Proszę wejść do naszego domku. Zdaje mi się, że tam czeka na nas wspaniałe widowisko.

Pobiegł do domku i już na progu parsknął głośnym śmiechem. Dwaj panowie zbliżyli się doń i roześmiali skoro tylko rzucili spojrzenie w głąb mieszkania.

Na środku stał Filip w położeniu nie do pozazdroszczenia. W pośpiechu usiłował prędko ubrać uroczysty frak, lecz nie zauważył, że jego młody pan na krótko przedtem zszyl podszewkę rękawów. Teraz nie był w stanie ani się ubrać, ani rozebrać, chociaż wywijał ramionami z takim zapałem, że obie poły fraka obracały się, jak skrzydła wiatraka. Okrągłe zarumienione z powodu podniecenia oblicze i rokokowe nogi powiększały śmieszność jego wyglądu.

Gdy lord ujrzał go w tym pozałowania godnym położeniu, zmieszanie jego dosięgło zenitu. Silnym ruchem zamierzał przebić przeszkodę, gdy nagle rozległ się suchy trzask i czekoladowy frak pękł od kołnierza aż do spodu.

— Wiktoria! — wykrzyknął von Denhoff, klaszcząc w dłonie z wielkiej uciechy.

— Daj pokój żartom — upomniał go doktor — i pomóż Filipowi. Ciężko mu będzie znieść zagładę paradnego stroju. Nie bądź twardego serca!

— Tak?! — odparł młody baron z udaną niechęcią. — Nie bierzesz tego w rachubę, że on przez całe trzydzieści lat dręczył moje biedne oczy widokiem tego znieprawionego jaskółczego ogona? Właściwie powinienem za karę w tym ubraniu postawić go pod kloszem szklanym i za pieniądze pokazywać na jarmarkach! Ponieważ jednak kołysał mnie często na kolanach jako małego chłopca, przeto pójdę za głosem humanitarnej rady i podam mu pomocną dłoń!

Próbował rzekomo wydobyć swego sługę z kaftana wariatów, czynił jednak wszystko aby nieszczęsny frak w zupełności rozdzielić na dwie połowy.

Gdy mu się to udało, Filip ujął w dłonie resztki tego, co było dumą całego jego życia i jęknął boleśnie:

— Ja tego nie przeżyję! Nie, ja tego nie przeżyję, panie baronie! Frak zniszczył się całkowicie i to przez pana!

Po chwili jednak zapanował nad sobą i zaczął narzekać, wśród ciągłego śmiechu wszystkich obecnych

— Z pańskiej winy mój piękny frak jest całkowicie zniszczony!

Chciałbym wiedzieć, co by pan powiedział, gdyby pana ktoś wziął za obie nogi i rozdarł na dwie połowy, jak gdyby pan był śledziem wędzonym, a nie baronem von Denhoff! Wolałby pan, by sprowadzono żandarma i taki śmiałek musiałby całe życie w lochu więziennym przejechać, nie widząc słonka bożego! Gdy byłeś małym dzieckiem nosiłem pana dla zabawy na grzbiecie i dawałem słodziutkie ciasteczka, ale pan był zawsze swawolny i złośliwy! Chciałbym usłyszeć, co by pański ś.p. dziadek powiedział, gdyby teraz mógł mnie zobaczyć! On był szlachcicem w każdym calu, jakim nie jest dziś żaden książę ani król i miał szacunek dla ludzi. On wziąłby swoją laskę ze złotą gałką i sprząłby pana tak, że w porównaniu z tym deszcz ognisty byłby deszczykiem majowym. On znosił wszystko, ale nie znosił nigdy poniewierania godności ludzkiej! Lecz pan nie masz ani odrobiny czci dla naszego starego herbu i deptasz go swoimi nogami! Ja tego przeżyć nie mogę i dlatego najlepiej będzie, jeśli natychmiast wezmę bilet powrotny i pojedę do domu, do Saksonii, gdzie żyją jeszcze poczciwi ludzie, którzy spokojnie piją kawę i nie urządzają co chwila przerażających zamachów!

Potem może pan sam sobie polować na tygrysy, tresować okularniki i złościć się, ile razy pan zechce, gdy będzie pan musiał ubierać niewyczyszczone buciki i jeść palcami, ponieważ ta czarna banda ukradła panu srebrne łyżki. Lecz łyzy cisną mi się do oczu i serce zamiera ze zmartwienia. Pozwoli pan, że pójdę sobie, panie baronie! Nie czekając na pozwolenie, ukłonił się i zniknął za drzwiami. — Widzisz więc, jakie owoce przyniósł twój długoletni trud wychowawczy? — zwrócił się von Denhoff do doktora. — Na szczęście śmierć przerażającego fraka nie wywarła na mnie piorunującego wrażenia, w przeciwnym bowiem razie musiałbym natychmiast wskoczyć do Kagi i w jej głębinach utopić swój wstyd. Ale dość tego! Musimy zająć się naszymi gośćmi. Proszę zająć łaskawie miejsce, milordzie... — Przepraszam — przerwał mu lord, siadając — pan niezmiernie mi podoba, jak już to miałem zaszczyt powiedzieć, dlatego też proszę pana aby nazywał mnie lordem Arturem, jak to czynią moi przyjaciele. To tylko dla odróżnienia.

— Jak pan sobie życzy — odparli obaj Niemcy, a von Denhoff dodał:

— Przepraszam pana, lecz ja niezupełnie rozumiem..

— Mam kuzyna, musisz pan wiedzieć — wyjaśnił Anglik — typową tresowaną małpę, który stale chodzi w lakierowanych trzewikach a przy nosie zawsze trzyma jedwabną chusteczkę, ilekroć wychodzi z domu.

Nazywa się również lord Connaughton, lecz James, jeśli więc pan nie powie wyraźnie lord Artur, można mnie z nim pomylić, czego nie życzę sobie za nic w świecie. Nie mogliśmy się znieść już jako chłopcy, gdyż krzyczał zawsze, jak opętany, gdy strzelałem doń z łuku lub wciskałem jego głowę pod wodę, by się przekonać, jak długo wytrzyma. Uczyni mi pan tę przyjemność?

— Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy.

Von Denhoff wyszedł na próg i wydał głośny gwizd. Na ten sygnał nadbiegło dwunastu saisów.

Niemiec rzucił rozkaz, na co rozbiegli się w mgnieniu oka, aby w gąszczu nałamać bambusów i wybudować dwie nowe chaty.

Czterej sipajowie w milczeniu spojrzeli po sobie.

Wyrośli przecież w tym kraju, lecz nigdy nie widzieli, by cały tuzin saisów poruszał nogami z taką niesłychaną szybkością. Młody baron zauważył to wrażenie i cieszył się z góry, co powiedzą na to, gdy on zacznie tresować saisów lorda.

Ci tymczasem wyładowali gongi i powoli wśród śmiechów szli ścieżką. Gdy doszli do polany, rzucili niedbale pakunki na trawę i siedli kołem, by się zabawić rozmową.

Niemiec rzucił na nich spojrzenie, pełne zadowolenia i wrócił do domku. Porozmawiał z lordem, którego twarz zajaśniała zadowoleniem. Potem wziął bat w rękę i wyszedł w towarzystwie lorda i wielkiego doga.

— Hola, ludzie! — zawołał na ośmiu leniuchów.

Saisowie nie ruszyli się wcale.

— Wstawać — rozkazał, przystępując do nich.

Saisowie ze zdziwieniem patrzyli nań, lecz zanim się zdołali zastanowić, czy mają posłuchać tego rozkazu, czy nie, trzasnął bat i wszyscy z głośnym wrzaskiem zerwali się na równe nogi. Klnąc i wyjąc, poczęli się drapać po plecach.

— Siadać! — rozkazał von Denhoff.

Saisowie nie chcieli usłuchać. — Nero, huzia!

Olbrzymi dog szczeknął i rzucił się między brunatne nogi, tak, że w następnej chwili szesnaście pięt spojrzało w niebo.

Właściciele tych pięt chcieli znów się zerwać na równe nogi, ale Nero swoją wypróbowaną metodą zmusił ich do leżenia na ziemi.

Saisowie zrozumieli, że opór jest daremny i przestali się opierać.

— Wstawać! — krzyknął von Denhoff.

Bat świsnął w powietrzu i saisowie zerwali się z ziemi.

— Padnij!

Dog machnął tylko ogonem i Hindusi padli plackiem. W ten sposób Niemiec przez cały kwadrans komenderował „wstań” i „padnij!” — aż wreszcie saisowie się znużyli.

— A teraz do roboty! — zakończył ćwiczenie — Aghur wam wskaże, co macie robić!

Saisowie odeszli ze zwieszonymi głowami. Zaczęli się naradzać. Szczególnie jeden długi młodzian zdawał się być bardzo niezadowolony z powodu nowego stanu rzeczy. Lecz inni nauczyli nowicjuszków, że z Niemcem nie ma żartów.

Czterej sipajowie, którzy dotychczas stali rzędem, pokazywali w uśmiechu wszystkie zęby, tak bardzo cieszyli się całym zajściem.

— Możecie odejść i odpocząć — rzekł von Denhoff, przechodząc koło nich — do wieczora będzie gotowa wasza chata.

Sipajowie zasalutowali, ustawili karabiny w piramidę, następnie usiedli razem na ziemi.

— Bravo! — krzyknął lord Artur, gdy von Denhoff wrócił — pańska metoda jest niezrównana! Lecz teraz, proszę mi wybaczyć, mam do na prośbę. Wyruszyliśmy bardzo wcześnie i nie mieliśmy nic jeszcze w ustach. Czy może pan przygotować coś do zjedzenia dla naszego Boba? Ale dużo, bardzo dużo. Biedny chłopiec ma taki chory żołądek!

Dobroduszny lord! Myślał zaiste tylko o swoim „biednym” Bobie, który dużo, bardzo dużo musiał jeść, aby utrzymać się na nogach przy swoim „chorym” żołądku.

Von Denhoff zawołał kucharza i kazał mu przyrządzić dobry obiad. Następnie usiedli pod warangą (kryta galeria odbiegająca bungalow dokoła), aby porozmawiać.

— To istotnie nie do uwierzenia — odezwał się lord — w jak krótkim czasie pan zmusił do posłuszeństwa moich ludzi. A przedtem gryzłem się z powodu ich nieopisanego lenistwa! Pan jesteś czarodziejem!

— O, nie doszliśmy jeszcze do celu — odparł von Denhoff — jutro nastąpi dalsza lekcja, wiem to z góry. A będzie ona niestety nudna i uciążliwa. Lecz, gdy się ma do czynienia z takimi łotrami, trzeba zaraz na początku zdobyć sobie u nich respekt, bo w przeciwnym razie zdradzą i sprzedadzą człowieka.

— Sądzi pan może, że jutro będziemy mieli nową rebelię?

— Na pewno! Pan przez agenta postarał się o tych ludzi, nieprawdaż?

— Jak mogłem inaczej?

— Pojmuję! Ten człowiek dał panu ośmiu największych złodzieją i na nieszczęście znajduje się wśród nich „bystry” chłopak. Tamci już teraz, być może, przyzwyczailiby się do dżungli, ale ten brunatny łotr podbechta ich do buntu, przewiduję to.

Musimy w ogóle zwrócić baczenie oko na niego. Ludzie jego pokroju żywią szczególną miłość dla cudzej własności, a gdy on zniknie w dżungli z pańskim portfelem, wówczas nie pomoże ani bystrość Mambaziego ani nos Nera.

Gdy obiad był gotowy, pojawił się Filip, który miał go podać, zachowując przy tym, oczywiście cały ceremoniał. Zamiast fraka miał na sobie krótki, czarny żakiet, który podarował mu świętej pamięci dziadek obecnego pana. Nie był jednak zadowolony z tego stroju.

Wchodząc, rzucił krzywe spojrzenie na młodego pana, następnie zwrócił się do lorda z głębokim ukłonem:

— Proszę mi nie wziąć za złe, milordzie, że usługuję panom w tak bezceremonialny sposób, ale to nie moja wina!

Lord Artur, który nie umiał po niemiecku, sądził, że sługa mu życzy smacznego dlatego wręczył mu pół gwinei. Filip majestatycznym ruchem schował pieniądz do kieszeni i podał lordowi talerz z befsztykiem.

— A gdzie jest Bob? — spytał lord.

— Dostanie jeść w mojej izbie.

— Nie! nie! — zawołał Anglik. Bob musi jeść wraz ze mną. On jest chory, a ja muszę czuwać, aby nie przestał jeść zaraz przy pierwszej łyżce!

— Milordzie — rzekł Filip, gdy mu przetłumaczono życzenie Anglika.

— Przecież Bob jest tylko sługą i nie ma co robić przy stole panów! To urąga wszelkim zasadom dobrego tonu!

Takie było zdumienie w jego głosie, że nie trudno było wyczytać właściwą myśl, a mianowicie: „Jesteś wielkim panem z urodzenia, ale nie masz poczucia własnej godności i uczynisz lepiej, jeśli się spuścisz na moje długoletnie doświadczenie”.

Lord Artur jednakże zmierzył Filipa od stóp do głów takim spojrzeniem, że ten wyleciał za drzwi w jednej chwili.

— Gratuluję! — zawołał wesoło von Denhoff. — Pan umiesz tresować ludzi dziesięć razy lepiej niż ja.

Wezmę na siebie jeszcze tuzin saisów, lecz jeśli chodzi o Filipa, wykonałeś pan herkulesową pracę!

Po chwili zjawił się Bob i po niezgrabnym ukłonie w stronę panów — budowa jego ciała uniemożliwiała wszelki zgrabny i elegancki ruch — usiadł przy stole obok lorda.

Na pierwsze danie była znakomita zupa. Lord wziął dla siebie zaledwie dwie łyżki, resztę zaś, która mogła wystarczyć dla trzech, podał swemu słudze.

— *All right, milord* — rzekł Bob, przysunął sobie wazę i wypróżnił ją prędzej, niż jego pan zdołał się uporać ze swymi dwiema łyżkami.

Wielki Boże! — pomyślał Filip, widząc, jak pracuje ten człowiek o chorym żołądku.

Podano piezzonego bazanta. Lord odkroił sobie kawałeczek, reszta zaś zniknęła w żołądku Boba.

Wszechmocny Boże! — rzekł Filip półgłosem — i on jest chory na żołądek!

Podano ryby. Lord Artur pokosztował zaledwie tę potrawę i upomniał słodkim głosem Boba, aby nic nie pozostawił z tej potrawy, gdyż inaczej nie będzie mógł wytrzymać do wieczora.

— *All right, milord* — odparł posłusznie Bob i w mgnieniu oka uporał się z nią.

— Nie, nie! — myślał sobie Filip, kiwając głową — to istotnie straszne. Gdy pójdzie tak dalej on nas w ciągu dwóch dni obeżre do szczętu!

Postawiono na stole koszyk wypełniony wybornymi południowymi owocami. Lord wziął indyjską figę i ukąsił ją. Bob pożarł okazały melon, a gdy chciał odetchnąć z zadowoloną miną, jego pan upomniał go słodko, że nie czuwa nad swym zdrowiem i zmusił do zjedzenia kilku ananasów i tuzina fig.

— Dam się ogolić bez mydła, jeśli ten żarłok nie pęknie na miejscu, jak mój frak! Byłby to czyn prawdziwego miłosierdzia, gdyby pan, panie baronie, zwrócił lordowi uwagę na to, że dla mego kolegi, przy takim sposobie odżywiania, skóra z biegiem czasu okaże się za ciasna! — jęczał Filip.

— To jest istotnie zoologiczny problem dla ciebie — zwrócił się von Denhoff do doktora — czy człowiek bez szkody dla swego zdrowia może pożreć ilość pokarmu, ważącą tyle, ile czwarta część jego ciała? Co myślisz o tym?

— Wykazano już — odezwał się zagadnięty — że zawartość żołądka pewnych ptaków waży więcej, niż całe ciało, a taki boa np. może pożreć całą świnie lub młodego tapira, jak jeden kasek. Możliwe, że człowiek może się przyzwycząić do tak wielkiej ilości pokarmu. W każdym razie lord swego Boba musiał od dawna przyzwycząić do tak obfitego jedzenia, bo w przeciwnym razie w tym klimacie musiałby umrzeć już trzeciego dnia.

— Bob — zwrócił się tymczasem lord do swego Beniaminka — sądzę, że powiesz prawdę, twierdząc, że już jesteś syty.

— *O yes, milord.*

— W takim razie idź spać. Dziś jest bardzo gorąco i grozi ci udar słoneczny.

— *All right, milord* — odparł Bob i udał się do swej izby.

Lord udał się za nim, gdy ten się położył na szezlongu przykrył go kocem i siatką, aby muchy i moskity nie przeszkadzały w trawieniu.

— To ciekawe! — zawołał von Denhoff po odejściu lorda. — Ten osobliwy Anglik wozi wszędzie ze sobą swego sługę, aby móc mu usługiwać. Ja przynajmniej nie widziałem, by on ruszył

palcem dla swego pana, gdy tymczasem lord Artur, zdaje się, nawet we śnie troszczy się o swego biednego Boba.

— Moje studia prawdopodobnie ucierpią znacznie — zauważył doktor żartobliwym tonem.

— Dlaczego? — spytał zdumiony von Denhoff.

— Ponieważ obecnie zamiast jednego dziwaka muszę pilnować dwóch.

— Chcesz zapewne powiedzieć: — trzech — rzekł baron z przekąsem — jesteś bowiem największy z nas wszystkich! Zamykasz się w swej chatce wśród najrozmaitszych, cuchnących preparatów chemicznych, aby ludziom w swej ojczyźnie móc udowodnić, że także i tutaj, w Indiach, pająki pożerają muchy, a ptaki pająki! Warto zaiste, trudzić się dla tego celu!

Uścisnęli sobie dłonie ze śmiechem i doktor udał się do pracy. Von Denhoff zaczął na powrót lorda, po czym obaj położyli się na hamakach pod warangą i przypatrywali się saisom, który stawiali chatki.

Dzięki tej straży małe budynki były gotowe jeszcze przed zachodem słońca i goście mogli się tam sprowadzić. Jeden domek z dwiema izbami był przeznaczony dla lorda i Boba, drugi zaś dla sipajów.

Gdy zapadły ciemności — doktor przerwał swoją pracę i przyłączył się do dwóch innych panów — zawieszono pod warangą chińskie, papierowe latarnie i trzech panowie, paląc wonne cygara, poczęli omawiać plany myśliwskie na najbliższe dni. Mambazi otrzymał polecenie, aby wyszukał nowe ślady tygrysów.

Nadszedł czas wieczerzy. Usłyszano kroki Filipa, który zbliżył się aby zaprosić panów do stołu.

— Wielkie nieba! — krzyknął von Denhoff, skoro sługa stanął na progu — frak zmartwychwstał!

Zeskoczył na ziemię i zdumionymi oczami spoglądał na Filipa, który ukłonił się ze złośliwym zadowoleniem i rzekł:

— Za pozwoleniem pańskim, panie baronie, frak odżył na nowo, dla ceremoniału do stołu, jeśli łaska.

Von Denhoff był wściekły, a jego słowa mogłyby najczarniejszego grzesznika nawrócić.

Filip jednakże wysłuchał ich spokojnie i odparł:

— To wszystko bardzo pięknie, panie baronie, ale na służbie u książąt i szlachty rozumie się pan akurat tyle, za pozwoleniem, co i nic. Było dość sposobności do nauczenia, ale gdy pan przyszedł na świat, pański ś.p. dziadek już nie żył, a jego gruba laska ze złotą gałką stała w kącie. Pański ojciec był za miękki, a matka za łagodna, więc pańskie poczucie godności i stanu nie rozwinęło się wcale. To jest prawdziwy skandal i gdyby nie ja, biegałbyś pan po świecie jak ulicznik, z rozpiętą koszulą i z nieoczyszczonymi trzewikami. Przez całe popołudnie byłem zajęty tym frakiem, który znów jest cały i piękny, a pański zamach na nic się nie przydał, jeśli pan łaskaw, może pan się przekonać o tym na

własne oczy.

Z szyderczym uśmiechem obracał się wkoło, aby młody pan mógł się na własne oczy przekonać, że nie było najmniejszego śladu rozdarcia.

— Precz, potworny sługo! — krzyknął baron, zaciskając pięści. — Mam ochotę cały ten twój frak posmarować lepem, abyś przez całe życie się nie mógł z niego wydostać!

— To by było bardzo pięknie, panie baronie! — odparł niewzruszony Filip. — Ale to nie przyda się na nic. Nie tak łatwo tu kupić lep.

Von Denhoff załamał ręce i niemym wzrokiem spoglądał na niego, jak gdyby chciał je wziąć na świadka bezgranicznej bezczelności swego sługi. Następnie ujął lorda pod ramię i wyszedł. Zdało się, że frak sługi popsuł mu humor doszczętnie.

Rozdział III.

Życie w obozie.

Gdy saisowie nazajutrz rano mieli udać się do pracy, porozumieli się spojrzeniem. Następnie wystąpił długi, buntowniczy młodzian i w ten sposób odezwał się do barona:

— Sahib, proszę mi wybaczyć, ale my jesteśmy najęci tylko do wiosłowania, inna praca nas nie obchodzi. Twój przyjaciel powinien być wynająć więcej saisów, jeśli ma tyle do roboty. Pojmiesz, że upominamy się tylko o nasze prawa, o nic więcej.

— Istotnie, mój kochany — odparł uprzejmie von Denhoff — lecz pojmiesz, że my nie mamy najmniejszej ochoty was za darmo żywić. Tak dobroduszni nie jesteśmy. W takim zaś razie zamiast w inny sposób pracować, będziecie wiosłowali. Marsz go gong!

Saisowie szturchali się łokciami, a buntowniczy młodzian chrząknął znacząco, jak gdyby zamierzał wytoczyć nowy argument. Lecz sahib tak znacząco bawił się koniuszkiem bata, a wielki dog w tak wojowniczy sposób machał ogonem, że saisowie zdecydowali się ustąpić i gęsiego pomaszerowali do rzeki.

Wszak znacie się na rzemiośle, za które wam płacą? — zagadnął von Denhoff.

— Sahib — odparł buntowniczy młodzian — jesteśmy najlepszymi wioślarzami w całych Indiach!

— Przypuszczam, że macie słuszość — rzekł von Denhoff. Statek ruszył z miejsca. Saisowie uderzali wiosłami beładnie, nieregularnie, jak się bez wątpienia poprzednio umówili. Woda tryskała wysoko spod wiosła. Sahib w przeciągu pięciu minut był przemoczony do nitki, a woda w gondze stała na pół stopy wysoko.

Niemiec kazał wracać do brzegu. Saisowie wykonali ten rozkaz prędzej, niż się można było spodziewać.

— Czekać! — rozkazał von Denhoff i wysiadł na brzeg.

Wrócił do obozu i po chwili nadszedł w towarzystwie lorda i czterech sipajów. Ci przynieśli długi sznur, kłębek szpagatu, tudzież kilka bambusów, zajęli miejsca w barce w ten sposób, że każdy z nich miał przed sobą dwóch saisów. Von Denhoff usiadł przy sterze, a lord umieścił się na przodzie statku w roli widza.

Teraz przywiązano sznur do szczytu sterczącego drażka, w ten sposób, że lina przechodziła na wysokości głów przez cały statek. Baron trzymał w ręku jej koniec i mógł swobodnie ciągnąć ją we wszystkich kierunkach. Następnie sipajowie odcięli odpowiednie kawałki szpagatu, uczynili pętle na końcach, które założyli na szyje saisom, a przeciwnie końce przywiązali do liny.

— Teraz uważajcie, moje kochane dzieci — odezwał się von Denhoff, gdy tę pracę ukończono — albo nie umiecie wiosłować, więc w takim razie nie powinniście przyjmować służby, albo umiecie i chcecie mnie tylko drażnić. Na to nie mogę pozwolić, dlatego też dam wam lekcję na swój sposób i mam nadzieję, że nauczycie się należycie swego rzemiosła. Gdy powiem „raz”, przechylicie się ku przodowi, gdy powiem „dwa”, wstecz, tak, jak będę ciągnął za linę. Ten, kto się nie będzie poruszał dość szybko, sam sobie zaciśnie pętlę na szyi. Poruszajcie wiosła do taktu, równo tak, jak być powinno. Kto nie posłucha, dostanie batem. Sipajowie wiedzą, jakie jest moje życzenie. Uważajcie więc, by ani szyja ani grzbiet nie musiały cierpieć.

Saisom przeciągnęły się twarze. Z trwogą oglądali się na żołnierzy, którzy siedzieli za nimi. Nie odważyli się opierać. Jeden tylko „bystry” chłopak mrucał przekleństwa pod nosem i rzucał jadowite spojrzenia na barona.

— Raz! — zakomenderował tenże.

Osiem czarnych czaszek przechyliło się ku przodowi, daleko prędzej, niż Niemiec mógł pociągnąć za linę.

— Dwa!

Głowy i grzbiety przechyliły się w przeciwnym kierunku. Pod parciem wiosła barka przebyła przestrzeń dwóch metrów, na przebycie której saisowie przedtem potrzebowali całego kwadransa.

Von Denhoff starał się zachować całą powagę. Usta sipajów rozciągały się w kierunku uszu, co, jak wiadomo, u wszystkich śmiertelników oznacza początek wesołego śmiechu, a lord zacierał z radości ręce.

— Raz! — komenderował dalej Niemiec.

Tym razem „bystry” młodzian, czy to przypadkiem, czy umyślnie, nie był dość gibkim, skutkiem czego pętla zaciśnęła się dokoła jego gardła. Przestraszył się okropnie i chwycił rękoma za szyję, oczywiście, wiosło wpadło w wodę, a bambusowy kij nadzorczy spadł na jego grzbiet.

Młodzian podskoczył z głośnym wrzaskiem bólu, zapominając, że wisi na linie. Ta skutkiem tego ruchu podniósł się w górę a pętla zaciśnęła się na szyjach wszystkich wiosłarzy.

Ci, nie zważając na kije nadzorców, odrzucili wiosła, wyciągnęli głowy z pętli i rzucili się na buntowniczego młodziana, któremu zawdzięczali domniemane niebezpieczeństwo śmierci. To on ostatniej nocy podjudzał przeciwko straszliwemu sahibowi, więc teraz pytali go dlaczego?

Gonga okazała się oczywiście za ciasna dla ruchliwego tłumu. Kilku, wśród nich ów napadnięty, wpadło do wody, inni zaś dobrowolnie poszli w ich ślady, aby tam zakończyć walkę. Na szczęście rzeka w tym miejscu była dość płytka, więc ramiona, nogi, głowy, grzbiety i piersi poczęły się miotać konwulsyjnie, rzucać i szamotać w mule, podczas gdy ich właściciele wyli, pluli, przeklinali i wymyślali sobie.

Tymczasem sześciu ludzi w łodzi śmiało się do łez.

— Pięknie, wspaniale, bosko! — krzyczał lord, trzymając się za boki. — Czegoś takiego nie widziałem nigdy! Dlaczego nie ma tu mego kuzyna? Dlaczego nie mogę go wrzucić do wody? Wyprasowany kuzyn James w lakierkach i z jedwabną chusteczką na piersi! Jakby to wyglądało! Szkoda, prawdziwa szkoda!

— Uwaga, ludzie! — zawołał von Denhoff, chcąc „bystrego” młodzieńca uratować od utopienia — zdaje mi się, że nadpływają krokodyle!

Musiał to ostrzeżenie kilkakrotnie powtórzyć, zanim walczący go zrozumieli. Potem jednak w mgnieniu oka zaprzestali walki i z wrzaskiem trwogi poczęli uciekać na brzeg.

— Jak mi się zdaje, tym razem skutek przyszedł prędzej niż przypuszczałem — odezwał się von Denhoff, obserwując bacznie osiem postaci, oblepionych mułem. — Moich własnych ludzi musiałem przez pół godziny trzymać na linie, zanim zmiękli.

Kazał przybić do brzegu.

— A teraz, dzieci — spytał saisów — co słyszeć? Czy chcecie tutaj dalej wiosłować, czy też tam pomagać w pracy?

— Sahib — zawołali jednogłośnie — pozwól nam pracować! Przebacz nam, nie mieliśmy słuszności, lecz Gary nas podbechtał.

Gary, buntowniczy młodzieniec, stał na uboczu, jak parias i groźnie patrzył przed siebie. Jego towarzysze wymaglowali go tęgo, a przymusowa kąpiel wypłukała zeń wszystkie buntownicze myśli. Z nosem spuszczonego na kwintę wrócił do obozu i nie odezwał się przez cały dzień ani jednym słowem.

Von Denhoff małym czółnem w towarzystwie lorda popłynął rzeką, aby urządzić polowanie na ptactwo wodne.

Gdy wrócili około południa, Mambazi był już w obozie. Spędził całą noc w dżungli na drzewie i odkrył na wielkiej wyspie we wschodnim kierunku miejsce wodopoju, odwiedzane co noc przez kilka tygrysów.

— W takim razie jutro rano wyruszamy — rzekł von Denhoff — dojdziemy do tego miejsca przed południem i do wieczora urządzimy się odpowiednio. To się nazywa należyte polowanie na tygrysy, milordzie.

— Dopóki jeden z nich pewnego pięknego dnia nie połamie ci kości — dodał doktor, którego lekkomyślna śmiałość przyjaciela napełniała wielką troską.

— Nie wiadomo, kto z nas dwóch jest bardziej lekkomyślny — odciął się von Denhoff. — Zamknij lepiej swój dziób i nie gadaj głupstw, w przeciwnym bowiem razie z biegiem czasu staniesz się jeszcze bardziej nieznośny, niż Filip.

Od chwili porannego niepowodzenia Gary był traktowany przez saisów jak wyrzutek. Nie odzywali się doń wcale i nie przyjęli go wieczorem do swej chaty. Z tego powodu młodzian wślizgnął się w kupę liści, aby się zabezpieczyć przed ukąszeniami much.

Około pomocy cały obóz został zaalarmowany przeraźliwym krzykiem.

Gdy von Denhoff wybiegł na dwór z karabinem w ręku, spostrzegł, że te wrzaski wydobywają się z gardła lorda Artura. Zapalił szybko papierową latarnię i pobiegł do jego chaty.

Tutaj zastał dzielnego Anglika tylko w koszuli, i w korkowym hełmie, miał przy tym karabin i lunetę w ręku. Wrzeszczał ze wszystkich sił:

— Złodziej! Trzymajcie złodzieja!

Za nim pod kocem i siatką spał Bob snem sprawiedliwych.

— Co się stało? — spytał von Denhoff.

— Ukradł mi portfel! — jęknął lord.

— Kto?

— Czy ja wiem? Było całkiem ciemno. Lecz na pewne nie był to mój kuzyn. On siedzi teraz w Londynie w swoim salonie i nie ma odwagi przyjść tu do dżungli. Lecz biada mu, gdy go schwycę!

— Kogo? Kuzyna?

— Ależ nie, złodzieja!

— Ach, tak! Ile pan miałeś w portfelu?

— Co mi zależy na pieniądzach! Nędzne dwa tysiące funtów! Lecz tam znajdowały się także powinszowania noworoczne, które mi napisał Bob, zanim wstąpił na służbę. Osiem sztuk, a biedny chłopiec musiał się za każdym razem męczyć przez całe dwa dni, zanim zdołał napisać! To są unikatki! Każę go powiesić, jeśli oddarł z nich choćby jeden rożek!

— Kogo? Boba?

— Ależ nie! Złodzieja!

Von Denhoff całą siłą wstrzymywał się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— A teraz — rzekł — przekonamy się, czy to był jeden z naszych. Pan tymczasem możesz uzupełnić swoją toaletę, jeśli bowiem Filip zobaczy pana w takim kostiumie, wygłosi przynajmniej całogodzinne kazanie.

— Masz pan słuszność — rzekł lord Artur — jest rzeczą nieroztropną w ten sposób pokazywać się

ludziom. Proszę mi wybaczyć! Do widzenia!

Począł szukać innych części ubrania, lecz Boba wcale nie wezwał do pomocy, gdyż oszczędzał mu wszelkiego trudu.

Nadeszli inni mieszkańcy obozu i spytali barona, co się stało. W krótkich słowach przedstawił im całą sprawę i kazał saisom zaświecić światło.

Ci zapalili tuzin pochodni i przy ich blasku von Denhoff uczynił przegląd.

— Gdzie Gary? — spytał nagle.

Saisowie pobiegli do kupy, gdzie on spędzał noc, ale go nie znaleźli.

— Wiedziałem! — zawołał von Denhoff. On był tym złodziejem! Nero! Dog nadbiegł, kiwając ogonem.

Baron zaprowadził go do sterty liści, które pies obwąchał.

— Chwytaj złodzieja! — rozkazał pan.

Nero szczeknął i zniknął wśród gęstwiny bambusów, z nozdrzami przy ziemi.

— Chciałbym wiedzieć — myślał von Denhoff — w jaki sposób łotr skorzystał z tej sposobności. Ale to mu nic nie pomoże. Zanim w ciemnościach dojdzie do rzeki, Nero go chwyci! Naprzód! — krzyknął, zwracając się do otoczenia — nie będziemy go długo szukali!

Sipajowie porwali za karabiny. Ukazał się lord ubrany, jak zwykle.

Von Denhoff chwycił jedną z pochodni i chciał już wejść między zarośla, gdy nagle z domku wyszedł Filip.

— Panie Baronie! Panie Baronie! — zawołał na widok swego pana.

— Co tam? — spytał zagadnięty, oglądając się.

— Wielki Boże! — zaczął, zatrzymując się przed baronem z zaczerwienioną wskutek biegu twarzą — to nie do wiary, jak pan zapomina co moment o zasadach dobrego tonu! Wszak pan wiesz doskonale, że lord angielski jest wyższy o dwa stopnie od saskiego barona, jakżeż więc pan możesz dopuścić, aby lord szedł za panem? To nie do wiary!

— Idź precz, do stu tysięcy diabłów! — krzyknął rozsierdzony baron i pobiegł na czele towarzyszy pozostawiając Filipa samotnego na polanie, pogrążonego w nieruchomym zdumieniu.

— Nie, nie! — westchnął tenże — terazniejsza młodzież nie ma żadnych cnót! Najlepiej będzie, jeśli jutro zaraz wezmę bilet powrotny i wrócę do domu, do Olbersdorfu koło Zittau w Saksonii. To jedyny kraj, gdzie jeszcze żyją obyczajni ludzie.

Zbieg nie oddalił się zbyt daleko. Dog dopadł go w dżungli i obalił na ziemię. Gdy pościg przybył do tego miejsca, von Denhoff spostrzegł, że pies leży na grzbiecie złodzieja i trzyma w zębach jego prawe ramię. Gary prawdopodobnie bronił się zbyt wytrwale, dlatego też Nero tym razem nie postąpił według swego zwyczaju.

Von Denhoff związał złodziejowi nogi powrozem i kazał mu się podnieść.

Lord Connaughton znalazł swój portfel w zanadrzu młodziana i przekonał się, że zawartość jego jest nienaruszona.

Złodzieja doprowadzono do obozu.

— Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli badanie odłożymy do jutra — rzekł von Denhoff. Sen jest dla mnie ważniejszy, niż ten łotr.

— W takim razie natychmiast zbudzę Boba — rzekł lord.

— Dlaczego? — spytał zdumiony baron.

— Będzie pilnował jeńca!

— Ach, daj pan pokój biednemu chłopcu! Będą pilnowali złodzieja dwaj sipajowie.

— Nie, nie, Bob nadaje się do tego o wiele lepiej. On jest niezrównany pod tym względem. Gdybyśmy byli jeszcze młodymi chłopcami, pewnego razu zamknąłem swego kuzyna w starym chlewie jego ojca, to znaczy ojca Boba. Krzyczał i odgrażał się, lecz Bob go nie wypuścił z więzienia. Dopiero po trzech dniach, gdy wszyscy szukali zaginionego, przypomniałem go sobie, gdyż zupełnie o nim zapomniałem. Widzi pan, Bob jest istotnie niezrównany jako dozorca więźniów.

— Pański przykład dowodzi, że to prawda — rzekł von Denhoff — mimo to jednak proponuję, aby złodzieja powierzyć żołnierzom.

Lord nie chciał o tym słyszeć i dopiero gdy baron wyraził obawę, że nocne powietrze może odebrać apetyt biednemu Bobowi, Anglik ustąpił. Gary został przywiązany do drzewa. Dwaj sipajowie usiedli przy nim i zapalili papierową latarnię, w celu uniemożliwienia ucieczki.

Nazajutrz po śniadaniu odbyło się badanie.

Gary nie wypierał się wcale złodziejstwa, a ponieważ noworoczne powinszowania były nienaruszone, lord okazał mu łaskę i nie kazał powiesić.

Po krótkiej naradzie postanowiono odesłać go do Surkhail pod strażą dwóch sipajów. Tamtejsi sędziowie mogą z nim uczynić, co zechcą.

Żołnierze owinęli młodziana słomianymi matami owiązali sznurami i zanieśli do murpunki. Zabrawszy ze sobą odpowiednią ilość ryżu, odjechali. Mieli nadzieję, że przed wieczorem osiągną cel.

W pół godziny później lord wraz z baronem Mahrattą i tuzinem saisów wsiadł do gongi, aby popłynąć do wodopoju, gdzie Mambazi odkrył ślady tygrysów.

Lord oczywiście, nie odpłynął, zanim gorąco doktorowi nie polecił Boba. Doktor przyrzekł, że będzie go pielęgnował, jak własne dziecko i zaczął opiekę od zaaplikowania Irlandczykowi jeden dzień ścisłego postu, na co ten chętnie się zgodził. Biedak obżerał się od wielu lat, wcale nie odczuwając głodu, byle tylko dogodzić kaprysom swego pana. Gdy lord się oddalał, nie brał do ust ani kęsa.

Gdy myśliwi doszli do wodopoju, saisowie wzniesli osłonę z trzciny dla trzech panów. Po zachodzie słońca saisowie odpłynęli gongą na środek rzeki, gdzie zarzucili kotwicę.

Cierpliwość śmiałych myśliwych była wystawiona na długą próbę.

Ledwie księżyc wypłynął na niebo, gdy nagle zachrząściło coś w zaroślach bambusowych i ukazał się wspaniały tygrys.

Lord Artur, który miał pierwszy strzelać zachował się na swój sposób.

Ledwie spostrzegł groźnego drapieżnika podniósł się z hałasem zza swojej trzcinowej ściany i gwizdnął głośno.

Tygrys, jak gdyby batem uderzony, przysiadł na ziemi i zwrócił roziskrzone oczy w kierunku miejsca, skąd doszedł hałas. Zanim jednak zdołał coś spostrzec, nagle rozległy się dwa strzały dzielnego Anglika — i straszliwa bestia runęła, miotając się w kałuży krwi.

— Bravo! — krzyknął von Denhoff, wychodząc z ukrycia — to był mistrzowski strzał!

— Ba! — odparł niedbale lord — nie ma o czym mówić. Gdybym tylko wiedział, jak się mój Bob miewa. Dziś rano źle się czuł.

— Och, nie troszcz się pan zbytnio o niego — roześmiał się von Denhoff. — Znajduje się w najlepszych rękach, doktor jest prawdziwą siostrą miłosierdzia, gdy chodzi o chorego. Wiem o tym z własnego doświadczenia.

— Mam nadzieję — westchnął lord i znowu zniknął poza trzcinową ścianą.

Tym razem czekali nadaremnie. Aż do północy nie ukazał się żaden zwierz.

Przywołano gongę, saisowie ściągnęli skórę z tygrysa i całe myśliwskie towarzystwo wróciło do obozu nad Kagą.

Zanim wsiedli, Mahratta przystąpił do Anglika, zajrzał mu głęboko w oczy i rzekł:

— Przed czterema dniami Mambazi podał ci dłoń dlatego, że życzył sobie tego jego przyjaciela. Dziś czynię to z własnej woli. Jesteś dzielny, śmiały człowiekiem, więc Mambazi będzie dumny, jeśli będzie mógł cię nazwać swoim przyjacielem!

Lord Artur, który w gruncie rzeczy miał złote serce i tylko z przyzwyczajenia przywdziewał sztywny pancerz arystokratycznej dumy, wzruszył się bardzo tymi słowami. Serdecznie uściskał dłoń Mahratty.

— *O yes* — rzekł — *o yes*, będziemy dobrymi przyjaciółmi, na honor!

Nazajutrz przed południem przybyli do obozu.

Ledwie wysiedli na ląd, lord pobiegł prosto do swego Boba, obmacał go trwożnie od stóp do głów i spytał o samopoczucie.

Ponieważ jego pupil dał uspokajającą odpowiedź i istotnie dzięki postowi lepiej wyglądał, niż zazwyczaj, przeto lord był przekonany, że doktor dał mu zjeść podwójną porcję. Z tego też względu czuł się mocno zobowiązany i serdecznie podziękował doktorowi.

Wieczorem wrócili obaj sipajowie.

— No i cóż? — spytał ich von Denhoff. — Co porabia więzień?

— Oddaliśmy go w ręce sędziego, sahib — odparli żołnierze, salutując po wojskowemu.

— Cóż więcej?

— Zamknął go do więzienia.

— No i cóż?

— W godzinę później zniknął stamtąd, zabrawszy sobie na drogę ubranie dozorca.

— Bardzo dobrze — roześmiał się von Denhoff. — Moglibyśmy go tutaj puścić wolno, a wy oszczędzilibyście sobie drogi do Surkhail. Lecz gdy ja tam pojedę...

— Ba, cóż to znaczy? — przerwał lord. — Gdybyśmy chcieli zamykać do więzienia wszystkich złodziei w Indiach, to cały półwysep musiałby się zamienić w jeden wielki kryminal. Lecz nie mówmy o tym. Ten człowiek dość nas drażnił, dopóki był z nami.

— Może wkrótce będzie nas martwił na nowo i to daleko więcej, niż przedtem — zauważył von Denhoff w zamyśleniu.

— Sądzi pan, że on wróci? To byłoby bardzo smutne.

— Hindusi są w najwyższym stopniu mściwi, kochany lordzie, zarówno wytrwali w złym jak leniwi w dobrym. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyśmy ujrzeli po kilku dniach tego czarnego łotra tutaj wśród zarośli. Lecz Nero będzie czuwał i ostrzeże nas w porę.

— W takim wypadku — zawołał lord — dajmy mu jasno do zrozumienia, że jego towarzystwo jest dla nas w najwyższym stopniu niemiłe. Znam się na tym doskonale.

— Tak? — spytał ciekawie von Denhoff. — Co pan zamierza uczynić?

— Jeszcze nie wiem. Lecz na pewno przyjdzie mi coś do głowy. Mego kuzyna także przekonałem.

— Ach, ten zły kuzyn!

— Tak. Już jako chłopcy nie mogliśmy się znieść. Gdy tylko dałem mu szcztka w nos, krzyczał, jak gdybym go żywcem ze skóry obdzierał. Mimo to trzymał się zawsze mej osoby, bo inni chłopcy go prali. To mnie drażniło, a gdy już miałem dość wziąłem go na strych gdzie znajdowały się dwie stare skrzynie z książkami. Wywierciłem w każdej otwór, włożyłem kawałek lontu, który mi wuj darował, Bob musiał nas do nich przywiązać, a potem oznajmiłem memu kuzynowi, że wewnątrz jest proch strzelniczy i że musimy się pojedynkować, ponieważ mnie obraził. On zaczął krzyczeć, lecz ja kazałem Bobowi zapalić lonty. Te paliły się przez dziesięć minut, mój kuzyn kwiczał i jęczał, jak całe stado wieprzków, a ja mu tłumaczyłem, że jest tchórzem i nie ma serca. Ostatecznie uszy poczęły mnie boleć z powodu jego jęków. Odwiązałem go, sprąłem porządnie i zagroziłem, że wrzucę go do studni, jeśli będzie biegał za mną. Od tego czasu nie zbliżył się do mnie.

— Wierzę! — zawołał wesoło von Denhoff. Nie sądziłem jednak, że pan jesteś takim barbarzyńcą, który potrafi się znęcać nad słabszym!

— Kto panu powiedział, że on był słabszy? — obruszył się lord. — Był o dwa lata starszy ode mnie i o całą głowę wyższy. Brakło mu jednak odwagi i jeszcze dziś wstrząsa się cały, jak nerwowa lady, gdy zobaczy mysz. On jest, jednym słowem, okropnym człowiekiem i nie życzę sobie, by brano mnie za niego. Absolutnie sobie tego nie życzę, na honor! Potrząsając znacząco głową, udał się do swej chaty, aby pocieszyć się widokiem Boba.

Dwa następne dni zeszyły na małych wycieczkach myśliwskich w najbliższe okolice.

Rozdział IV.

Synowie bogini Bhawani.

Gdy trzech nierozłączni myśliwi, a mianowicie von Denhoff, lord i Mambazi, zamierzali trzeciego dnia rano wsiąść do murpunku i popłynąć na polowanie, usłyszeli nagle słabe wołanie o pomoc. Oglądnięli się i w oddali na rzece ujrzeli wielkie drzewo, unoszone falami. Nie był to wcale niezwykły widok. Ganges często porywa z brzegów ogromne pnie drzew. W wąskich rozwidleniach delty utykają w mule, leżą czas jakiś, potem znowu ruszają w dalszą podróż, lądują na nowo, i tak dalej. Z biegiem czasu przyłączy się drugie i trzecie drzewo, między nimi osadza się piasek, kiełkują trawy i zioła, i w ten sposób tworzą się małe, bagniste wysepki, które ciągle zmieniają ugrupowanie delty.

— Może tam tkwi jakiś biedak? — rzekł von Denhoff, skoro spostrzegł osobliwy statek.

— Możliwe — odparł krótko Mambazi.

Wydał przeraźliwy gwizd, któremu odpowiedziało nowe wołanie o pomoc. Mężczyźni poczęli szybciej płynąć czółnem, chcąc zbliżyć się do drzewa.

Gdy się zbliżyli, znaleźli człowieka — Bengala — trzymającego się kurczowo gałęzi. Był śmiertelnie słaby i wycieńczony.. Myśliwi wzięli go do czółna i zawieźli do obozowiska.

Skoro łyknął nieco wódki ryżowej, przyszedł do siebie na tyle, że mógł swoim wybawcom opowiedzieć swoją przygodę.

Był to majtek okrętowy, nazwiskiem Sankua, który ostatniej nocy we śnie spadł ze statku tak zniecka, że jego towarzysze tego nie zauważyli. Płynął czas jakiś wśród ciemności, nie mogąc się zorientować, a nie miał odwagi krzyczeć, gdyż obawiał się krokodyli. Na koniec wdrapał się na pływające drzewo i ukrył wśród jego gałęzi, gdzie czekał świtu. Rano przekonał się ku swemu bezmiernemu przerażeniu, że płynie środkiem głuchej i pustynnej dżungli, gdzie bardzo rzadko zjawiają się okręty. Sądził, że śmierć czeka go nieuchronna. Na koniec spostrzegł kilku ludzi w czółnie i zawołał o pomoc.

— Gdzie się stało to nieszczęście? — spytał von Denhoff.

— Sahib, tego nie mogę dokładnie powiedzieć. Całe życie spędziłem na Hugli i po raz pierwszy płynąłem deltą.

— Przypominasz może sobie jakieś większe miasto, koło którego przepływałeś ostatnio?

— Tak — odparł Bengal — przedwczoraj zatrzymaliśmy się koło Khulny!

— Ta historia brzmi bardzo pięknie — zwrócił się von Denhoff do swoich przyjaciół — lecz czas

się nie zgadza. Mówi, że ostatniej nocy wpadł do wody, a był do tego stopnia wycieńczony, że ledwie mógł dychać. A do tego z zadziwiającą szybkością musiały go nieść fale, jeśli w tak krótkim czasie zdołał aż tu dopłynąć.

— Masz jakie podejrzenie? — spytał doktor barona.

— Nie, choć zdaje mi się, że ten człowiek coś przed nami ukrywa. Nie mam wątpliwości, że w tej historii jest coś niezgodnego z prawdą, lecz co, to się okaże z biegiem czasu. Na razie musimy się tutaj zatrzymać, jeśli nie mamy zamiaru dać mu czółna, by sam odpłynął. Poza tym każdy krajowiec ma coś do ukrycia.

Bengal zgodził się chętnie pozostać i pomagać saisom w pracy za codzienną porcję ryżu.

— Jestem biednym człowiekiem, sahib — odparł na propozycję Niemca — muszę szukać chleba tam, gdzie go mogę znaleźć. Na okręcie nie żyje się bynajmniej, jak w rajku.

Przydzielono go do saisów. Już pierwszego dnia okazał się chętnym i dobrym robotnikiem.

Od dnia, w którym umknął Gary, von Denhoff w porozumieniu z przyjaciółmi zarządził, że każdej nocy żołnierze mają czuwać nad bezpieczeństwem obozu.

Dotychczas tego rodzaju zarządzenie nie było potrzebne. Obozowisko wraz z małą zatoką leżało ukryte wśród nadbrzeżnych zarośli i setki ludzi mogło przepłynąć w pobliżu, nie domyślając się niczego. Gary jednak mógł knuć zemstę i wraz z kilku podobnymi mu łotrami spłatać złośliwego figla obozowi.

Z tego więc powodu na środku polany urządzono strażnicę, która z zewnątrz wyglądała, jak zwyczajny stos chrustu. Stos ten jednak wewnątrz był pusty i posiadał otwory, przez które można było obserwować okolicę.

Każdej nocy ukrywał się w środku jeden z sipajów, aby przez dwie godziny czuwać nad snem pozostałych członków wyprawy. Każdy ze strażników dostawał flaszkę rumu i dobre cygaro i dlatego nie narzekał na ten nowy obowiązek.

Cała ta ostrożność zdawała się zbyteczna, gdyż sześć dni minęło już od chwili ucieczki Garego, a nawet cień jego nie pojawił się w pobliżu obozowiska. Nie myślano już nawet o nim.

Siódmej nocy rozległ się wystrzał gdzieś około godziny jedenastej w nocy a zarazem dał się słyszeć przeraźliwy wrzask człowieka.

Co się stało?

W jednej chwili cały obóz był na nogach.

Biali wybiegli z bronią w rękę, a saisowie w kilka minut potem ukazali się z pochodniami i latarniami w rękę.

Straszny widok ukazał się ich oczom.

Niedaleko chaty, w której spali sipajowie, klęczał jeden z nich przy towarzyszu i starał się nieprzytomnego przywrócić do życia. O trzy kroki od nich leżał z przestrzeloną głową uratowany Bengal.

— Zabiłeś tego człowieka? — spytał von Denhoff żołnierza.

— Tak, sahib, zabiłem! — odparł zagadnięty, zgrzytając zębami.

— Na Boga, dlaczego?

— To był Thug, sahib i zadusił mego towarzysza. Tam leży pętla, którą zdjąłem z jego szyi.

— To straszne! Doktorze, może będziesz mógł pomóc temu biedakowi?

Doktor zajął się natychmiast leżącym, rytmicznie wyciągał i kurczył jego ramiona, aby wywołać oddech.

Udało mu się to po upływie pięciu minut. Leżący otworzył oczy, następnie zacharczał okropnym głosem, chwycił się dłońmi za szyję, a oczy jego miały wyraz przerażenia.

Otaczający starali się go uspokoić i częściowo się to udało.

— Opowiedz, co właściwie zaszło — zagadnął von Denhoff strzelca.

— Nagor miał pierwszą straż, a o godzinie jedenastej przyszedłem go zastąpić. Nic podejrzanego nie mogłem ani zobaczyć ani usłyszeć. Wślizgnąłem się do sterty chrustu, a on poszedł w stronę domku. Wyciągnąłem cygaro, aby odpędzić sen. Na to zdaje się liczył ten Bengal. Ponieważ nie mogłem znaleźć zapalek przypadkowo spojrzałem przez otwór. Spostrzegłem, że za Nagorem wynurzyła się jakaś ciemna postać, która mu zarzuciła coś niewidocznego na głowę, potem obaliła na ziemię i zaczęła ciągnąć za domek. Pojąłem natychmiast, o co tu chodzi, wyciągnąłem rewolwer i zastrzeliłem dusiciela. Na szczęście trafiłem od razu, bo w przeciwnym razie ratunek dla biednego Nagora byłby spóźniony.

— Jestem tego samego zdania — rzekł doktor — Pętla nadwerężyła krtań. Gdyby ucisk trwał chwilę dłużej, byłoby za późno. Teraz zobaczymy skrytobójcę.

Na wszelką pomoc było za późno. Doktor jednak odchylił ubranie i na piersi tego człowieka ukazał się zagadkowy tatuaż: wąż z głową kobiety oraz przeróżne nieczytelne napisy.

— Bez wątpienia jest to Thug — rzekł doktor — a to dopiero piękny podarek!

— W każdym razie — odparł von Denhoff z lekkim westchnieniem — jest to najgorsze, co nas mogło w dżungli spotkać. Błogi spokój naszego obozowiska należy do przeszłości. Hej! — zwrócił się do saisów — odnieście na bok trupa i idźcie spać, nic nie możecie teraz pomóc. Wy zaś — rozkazał sipajom — trzymajcie baczenie straż w dalszym ciągu. Pilność wasza będzie nagrodzona.

Zwłoki odniesiono na skraj zarośli. Saisowie zniknęli w domku, a czterej sipajowie usiedli dokoła stosu chrustu z rewolwerami w ręku. Biada Thugowi, który ośmieliłby się pojawić w okolicy.

Gdy von Denhoff z doktorem i Mambazim zamierzali odejść do domu mieszkalnego, lord podał im dłoń i rzekł ziewając jak młody wieloryb.

— *Good night!* Nie wyspałem się należycie i cieszę się, że...

— Co?! — zawołał zdumiony baron. — Tak mało wagi przywiązujesz pan do swego życia, że nie chcesz nawet dlań poświęcić godziny snu? Dłużej bowiem nasza narada trwać nie będzie.

— O czym wy właściwie chcecie radzić? — spytał zdumiony lord. Nasz człowiek się uratował, i ten drugi jest trupem i żadne obrady niczego tu nie zmieniają.

— To prawda, lecz jeśli nie zastanowimy się nad przyczyną tego smutnego wypadku, wówczas łatwo kilku z nas lub z naszych ludzi może to przypłacić życiem. Czyś pan nie słyszał, że zastrzelony należał do sekty Thug?

— Thug? Co to właściwie jest? Nigdy nie słyszałem o takim klubie.

— W takim razie chodź pan z nami. Doktor objaśni panu wszystko i przekona, że mamy w tym wypadku do czynienia z niebezpieczną bandą zbrodniarzy.

— Tak, tak — rzekł doktor, gdy wszyscy usiedli w domku — z sektą Thugów nie ma żartów. To jest krwiożercza banda, która łączy w sobie fanatyzm religijny wraz ze zbrodniczą nikczemnością.

— Pan mnie przerażasz — zażartował flegmatyczny Anglik. — Niech się wreszcie dowiem, dlaczego te draby tak pana niepokoją. Na razie nie wierzę w te okropności.

— Niech pan najpierw posłucha — odparł doktor.

— Pod nazwą Thug lub raczej Thag ukrywają się od wielu stuleci członkowie towarzystwa na wpół religijnego, wyrosłego pierwotnie z kultu Sziwy. Towarzystwo to obejmuje całe Przedgangesowe Indie, a rzemiosłem jego jest skrytobójczy mord dziedzicznie przechodzący z pokolenia na pokolenie. Pierwsze jego ślady, pojawiają się w Delhi już w dwunastym stuleciu. Członkowie tego sprzysiężenia mordują swoje ofiary za pomocą uduszenia; z zasadzki zarzucają pętlę na głowę ofiary. Czasem wcześniej ogłuszają uderzeniem w kark. Zowią ich często phansigar, dusicielami, od phansi pętla. Przez długi czas nie można było ich odkryć z powodu ostrożności i chytryści. Na koniec w r. 1831 gubernator lord Bentiuck zastosował ostre zarządzenia przeciw nim, a w r. 1835 zasądzono 1562 osoby — członków tej sekty. Należą do niej Hindusi wszystkich stanów, szczególnie zaś czciciele Sziwy i jego małżonki, Bhawani, zwanej także Durga lub Parvati, przyjmują do siebie także i mahometan. Porozumiewają się językiem hinduskim z właściwymi zwrotami, które nazywają ramasi. Jest to rodzaj żargonu, podobnie jak język europejskich zbrodniarzy, który rozumieją tylko wtajemniczeni. Posiadają oczywiście, jak każdy tajemny związek, rozmaite stopnie hierarchii. Thug zaczyna swą działalność jako szpieg, potem jest grabarzem zmarłych, potem szamsia, a na koniec bhartote (dusicielem).

— I to wszystko? — spytał lord. — W takim razie muszę wyznać, że londyńscy apasze więcej mi imponują. Oni potrafią nawet konstablowi rozbić czaszkę. Lecz jeżeli członkowie bandy Thug uderzają wyłącznie tylko na ludzi swej rasy, to czego my się mamy obawiać?

— A nasi saisowie?

— Wielki Boże, cóż u nich można zrabować?

Thugowie nie są przecież tak głupi, by sądzić, że u tych nędzarzy znajdą bodaj kilka groszy.

— Pan zapomina, że ta sekta uważa mord jako religijną ofiarę. Oni mordują za każdą cenę i jeśli przy okazji mogą się wzbogacić, w takim wypadku uważają to za podwójny zysk. Lecz łup wchodzi w rachubę dopiero w drugiej linii. Saisowie wiedzą o tym bardzo dobrze. Od tego momentu począwszy żaden z nich nie odważy się wejść do dżungli, a z nastaniem nocy nie opuszczą ani na krok chaty, chyba, że obok każdego z nich postawimy dwóch sipajów jako straż. Jeśli ich nie przekonamy natychmiast, że jesteśmy w stanie ich ochronić, to w przeciągu 24 godzin rozbiegną się na wszystkie strony świata. Pan widział jaki nastrój zapanował wśród sipajów, a to są przecież żołnierze, przyzwyczajeni do niebezpieczeństw.

— Pozwólmy saisom rozproszyć się — rzekł lord. — Jeśli będziemy sami starali się zaspakajać nasze potrzeby, wyjdziemy na tym lepiej, niż gdybyśmy ufali, tym łotrom. Ja np. zająłbym się kuchnią, na której znam się wybornie. W wolnych chwilach udamy się na polowanie, aby się zaopatrzyć w zapasy żywności. Nasza służba będzie trzymała w porządku nasze ubrania i chaty. Sipajowie obejmą straż nocną, za to w dzień mogą spać...

— A ja? — przerwał doktor.

— Ach o panu bym zapomniał — odparł lord.

— To duży problem panie doktorze. Albowiem szczerze mówiąc, nie nadaje się pan do niczego...

— Brawo, brawo! — krzyknął von Denhoff, klaszcząc w dłonie.

— W takim razie najlepiej będzie, jeśli wyjadę stąd wraz z saisami — odparł doktor.

— Nie, nie, kochany doktorze! — zawołał lord. — Nie mogę pozwolić na to pod żadnym warunkiem! Któż bowiem będzie czuwał nad moim biednym Bobem, jeśli my wszyscy będziemy nieobecni? Znalazłem już posadę dla pana: będzie pan czuwał nad naszym zdrowiem. Oczywiście bez gaży.

— Przyjmuję — rzekł uradowany doktor. — Nawet najwięksi uczeni musieli zaczynać karierę naukową jako niepłatni docenci prywatni. Z tego też powodu nie będzie dla mnie hańbą, jeśli uczynię to samo. Jednak nasuwa się dość poważna kwestia: za żadną cenę nie powinniśmy pozwolić, by saisowie się oddalili.

— Tak?! — zawołał zdumiony lord. — Ciekaw jestem dlaczego? Może z powodu kontraktu?

— Bynajmniej! O ile chodzi o zatargi, wypływające z umowy, tutaj przyznaje się zawsze rację Europejczykom.

— To się rozumie samo przez się! — zawołał zadowolony lord, widząc, że zarząd Indii chwala nawet obcokrajowcy. — Zresztą zwracam uwagę na tę okoliczność, że wicekról jest kuzynem mej ciotki i z tego powodu we wszystkich wypadkach będzie słuszość po naszej stronie. Lecz cóż może obciążać pańskie sumienie? Może ci ludzie winni są panu trochę pieniędzy? W takim wypadku nawet sam wicekról nie pomoże na ich odzyskanie.

— Nie! Tak nieostrożny nie jestem, by swoje oszczędności lokować nawet na procent w kieszeniach indyjskich saisów.

— A może pragnie pan by któryś z nich został pańskim teściem?

— To świetna myśl! — zawołał baron. — Ty doktorze i hinduska dama stanowilibyście niesłychanie piękną parę! Ty, biały, jak mleko, i jaśniejący uczonością, a ona głupia, jak stołowe nogi i czarna jak but juchtowy, który trzeba czyścić codziennie czernidłem!

— Jestem ci bardzo zobowiązany, za tę życzliwą radę, ale zamiary moje tak daleko nie sięgają.

— Więc z jakiego powodu chcesz pan zatrzymać tych czarnych drabów? — spytał lord.

— To bardzo proste. Jest ich dwudziestu. Sądzisz pan, że wszyscy dojdą zdrowo do zamieszkałych okolic?

— Bynajmniej — odparł obojętnie lord. — Przynajmniej pół tuzina z nich wpadnie w ręce Thugów i zginie, jeśli ci panowie istotnie są tak groźni i krwiożerczy, jak pan mówiłeś. Lecz cóż nas to może obchodzić? Pójdą w świat na własny rachunek, więc muszą ponieść straty, chyba jasne!

Sądziłem, że będzie pan miał dla nich pewne względy, milordzie...

— Ba! Gdybym chciał się interesować każdym kto niepotrzebnie wkłada swoją głowę w stryzynek to musiałbym prędzej swoją własną stracić.

— Lecz kwestia naszego bezpieczeństwa zmusza nas do zatrzymania saisów za wszelką cenę!

— Wyznam otwarcie, że pana nie rozumie — rzekł lord potrząsając głową.

— Więc pozwól mi pan objaśnić wszystkie okoliczności i powody.

— Proszę bardzo, z tej właśnie przyczyny nie poszedłem spać. Doktor zamilkł na chwilę, aby zebrać myśli i zaczął w te słowa:

— Nie mógłbym przysiąc, czy Thugowie w dawnych czasach nie czynili zamachów na Europejczyków. Do tego stopnia nie jestem zaznajomiony z ich dziejami. Jest jednak pewne, że w ostatnich latach odstąpili od swoich pierwotnych zasad, mianowicie odkąd biali wystąpili przeciwko nim, jako ich wrogowie. Jeśli któregoś napadną to tylko wśród okoliczności, uniemożliwiających

odkrycie mordu i wówczas zarzucają mu stryczek na szyję, jak pierwszemu lepszeemu Hindusowi, a zwłaszcza wtedy jeśli ma przy sobie gruby, wypchany portfel. Myślę tak, że Gary dopuścił się kradzieży, którą wykryto. Wówczas udało mu się uciec. Przyłączył się do bandy Thugów, chcąc uzyskać pomoc dla wykonania swych zbrodniczych planów, lecz Thugowie całą sprawę wzięli we własne ręce.

Lord kiwnął łaskawie głową i rzekł:

— Do tego momentu podzielam pańskie zdanie. I jeśli Gary wpadnie w moje ręce, ukarzę go srogo za przyłączenie się do tych łotrów.

— Może pan w tym wypadku uczynić, co się panu podoba, obawiam się jednak, że pan go już nigdy nie zobaczy.

— A to dlaczego? — spytał zdumiony lord. — Musi się zjawić, jeśli chce mieć mój portfel! A może on sądzi, że sam mu go pocztą pošlę?

— Nie. Lecz Thugowie musieli doskonale to zrozumieć, że tym mniej zależy im na każdym współuczestniku przedsięwzięcia, im większa jest ich liczba. Dlatego musieli z naszego buntowniczego młodziana wyciągnąć wszystkie potrzebne wiadomości, i gdzieś po cichu łeb jemu ukreć.

— A to łotry! — wybuchnął rozsierdzony i oburzony lord. — Jeśli oni wszyscy bez wyjątku zasługują na szubienicę, to przynajmniej między sobą powinni być uczciwi. A do tego jeszcze to dowód nieroztropności. Wszak on mógł im służyć jako szpieg.

— Właśnie że nie! Nero znał go dobrze i mógł go łatwo zwietrzyć. Thugowie wiedzieli, że nie będą mieli z niego więcej pożytku, więc się go pozbyli.

— W takim razie są mądrzejsi niż przypuszczałem — rzekł lord. — Mów pan dalej, panie doktorze.

— Z największą przyjemnością. Zgodzi się pan, że Thugowie wybrali jako naczelnika najprzebieglejszego i najodważniejszego spośród siebie.

— Hm — mruknął lord, podnosząc wysoko w górę swoje brwi — Europejczycy wybierają zazwyczaj człowieka, posiadającego najpiękniejszy tytuł. Inteligencja schodzi na drugi plan. Ponieważ jednak Hindusi posiadają niższą kulturę, przeto można przypuścić, że oni stawiają na czele istotnie najodpowiedniejszego człowieka.

— Pan jest dzisiaj strasznie rozmowny, kochany lordzie — wtrącił von Denhoff.

— Tak jest u mnie zawsze, gdy jestem bardzo senny.

— Co pan mówi! U innych śmiertelników jest właśnie odwrotnie.

— Z tego też powodu są tylko przeciętnymi ludźmi. Każdy potrafi z jasnym umysłem przez trzy

godziny grać rolę Cicerona lub Demostenesa, lecz spróbuj pan to mając w żołądku trzy funty opium!

— Ba! — roześmiał się von Denhoff. — Pan fantazjuje! Gdyby pan miał w sobie tak wielką ilość trucizny, to pańskie usta zamilkłyby na wieki!

— Zapewniam pana, że moje pragnienie snu warte jest tyle, ile funty opium. A zatem spiesz się, kochany doktorze, abym mógł prędko iść na spoczynek.

— Byłbym już skończył, gdybyś mi pan nie przerywał, milordzie!

— To błaga! Lecz będę się starał być nieco spokojniejszym. Dalej, naprzód!

— Zobaczymy. Naczelnik Thugów więc...

— Można powiedzieć: naczelny dyrygent, nieprawda? — przerwał lord Artur, zapominając się.

— Jak pan sobie życzy — odparł doktor. — Ach ja pana nie poznaję, milordzie, istny gramofon!

— To wszystko przez tę senność. Lecz teraz będę już milczał.

— Naczelnik tutejszego oddziału Thugów musiał zrozumieć, że wszelkie działanie przeciwko nam będzie daremne, dopóki nie uspi czujności Nera, gdyż ten wyczuje w pobliżu obozowiska każdego obcego. Z tego więc powodu, nie mogąc użyć szpiegów, wymyślił podstęp przy pomocy Bengala. Ten człowiek musiał wśliznąć się do naszego obozu, co mu się udało, dzięki naszej naiwności i tutaj miał sprzątnąć jednego z naszych ludzi, bez względu na zdemaskowanie. Chodziło o to, aby saisowie byli pewni, że w pobliżu znajdują się dusiciele oraz żeby uległ panice. Thugowie wyłapią potem pewną część saisów, przy pomocy odpowiednich pogroźek zmuszą ich do wstąpienia do związku i dzięki temu będą mieli najlepszych szpiegów, o jakich tylko mogą marzyć.

— Oho! zawołał lord. — W tym rachunku jest błąd, kochany doktorze. Skoro bowiem jeden ze zbiegów wystawi nos, postaram się już o to, aby w przyszłości jego cień w okolicy głowy miał małą, okrągłą dziurkę. Znam się na tym.

— Wiemy o tym bardzo dobrze, a tygrysy w okolicy obozowiska mogą nawet o tym śpiewać piosenkę. Lecz te draby się nie pokażą.

Czy nie mamy Nera? On w ostateczności przyciągnie ich tutaj za spodnie.

— W tym właśnie sęk! Nero zna saisów, uważa ich za przyjaciół i pozwala im spokojnie dniem i nocą wałęsać się wśród okolicznych zarośli.

— *The death!* — mruknął lord — zapomniałem o tym! Lecz wiesz pan, kochany doktorze, że masz pan świetne warunki, by zostać wodzem zbójcekim?

— A to z jakiego powodu?

— Bo pan umiesz to wszystko tak świetnie przewidzieć, jak gdybyś cały ten plan sam ułożył. A

więc musimy koniecznie zatrzymać tutaj tych czarnych łotrów?

— Bezwarunkowo! A będziemy mogli tego dokazać tylko w tym wypadku, jeśli ich przekonamy, że nigdzie w świecie nie będą tak bezpieczni jak właśnie u nas. Lecz w jaki sposób udowodnimy im to?

O, to biorę dla siebie! — rzekł lord. — Znam się na tym doskonale. Będę jutro miał do nich mowę i na samą myśl o ucieczce dostaną gęsiej skórki.

— Będzie może lepiej — zauważył doktor — jeśli w tym wypadku będziemy działali wszyscy razem.

— Nie to dotyczy tylko mnie jednego — zaprotestował lord Artur. — Zdecydowałem się na to i uważam za punkt honoru przeprowadzić całą sprawę sam. Nie mówmy więcej o tym!

Doktor chciał wysunąć nowe trudności, lecz von Denhoff mrugnął nań, aby milczał. Znał już tego człowieka i wiedział dobrze, że dzielny Anglik tym bardziej będzie się upierał przy swoim, im usilniej będzie się go przekonywało.

I po co dłużej obradować? — mówił dalej lord. — Proszę działać szybko, bo inaczej spadnę z krzesła.

— Przede wszystkim chodzi o straż nocną — zauważył doktor.

— Sądzę, że dziś czterech sipajów pozostawimy tam, gdzie są. Jutro wymyślimy coś lepszego.

— Zgadzam się — rzekł von Denhoff.

— W takim razie „*good night*” po raz drugi — rzekł lord, podnosząc się z miejsca. — Mam nadzieję, że nie zasnę po drodze.

I z tymi słowy wyszedł z domku.

Nazajutrz, ledwie zaświtało, wyszedł z domku Aghur, naczelnik saisów, i bacznie rozglądał się dookoła. Następnie skinął na innych, aby poszli za nim.

Gdy przechodzili koło żołnierzy, którzy spoglądali na nich ze zdumieniem, rzekł:

— Sahib dziś w nocy rozkazał nam, abyśmy o świcie byli w pogotowiu koło gongi, gdyż chce śledzić Thugów.

Ponieważ von Denhoff istotnie po naradzie jeszcze raz udał się do saisów, aby ich na noc uspokoić, przeto sipajowie uwierzyli słowom Hindusa i przepuścili saisów. Ci udali się ścieżką do zatoki.

W pół godziny potem von Denhoff ukazał się na progu domku i wydał gwizd. Lecz ani jeden sais się nie ukazał.

Potrząsnął głową ze zdziwieniem i powtórzył sygnał. Znowu żadnej odpowiedzi! To nie zdarzyło mu się nigdy.

— Do diabła — pomyślał — czy oni śpią jeszcze tak mocno lub nie mają nawet za dnia odwagi wyjść z chaty?

— Czy pan szuka saisów, sahib? — spytał jeden z sipajów.

— Tak.

— Oni udali się nad rzekę, do łodzi.

— Co? — zawołał przerażony baron — Do łodzi? Co mają tam do roboty?

— Czy pan sam ich nie posłałeś? A przynajmniej tak mówili.

— Do króćset...! — zawołał von Denhoff, zaciskając zęby i pobiegł do zatoki.

Stało się to, czego się obawiał: brakowało dwóch gong, a po saisach nie było ani śladu. Wszyscy zbiegli.

Pobiegł czym prędzej na wzgórze i zawołał: Lordzie Arturze, Mambazi, doktorze, halo! Doktor i Mambazi zjawili się przed drzwiami.

— Saisowie uciekli! Cóż wy na to? — spytał von Denhoff.

Na czole Hindusa pojawiła się zmarszczka, doktor się zarumienił.

— Oni za wszelką cenę muszą wrócić — rzekł Mahratta z naciskiem.

— Oczywiście — odparł von Denhoff. Następnie rzucił rozkaz sipajom:

— Bierzcie broń i amunicję, spakujcie zapas żywności na dwa dni, a potem przygotujcie wielkie murpunky. Tam jest dość miejsca dla nas wszystkich.

Żołnierze pobiegli, aby wykonać rozkaz.

— Gdzie lord? — spytał baron, zwracając się znowu do swoich przyjaciół.

— Prawdopodobnie jeszcze śpi.

— Hallo, lordzie Arturze! — zawołał von Denhoff stając na progu, przed drzwiami jego domku.

— Ci się stało? — spytał lord ziewając serdecznie. — Jeszcze się nie wyspałem.

— Mniejsza o to. Wszyscy saisowie uciekli!

— O, nic z tego! — zawołał lord, zrywając się na równe nogi. — Oni muszą wrócić!

Bezwarunkowo! Jakże inaczej mógłbym mieć do nich mowę, którą im przyrzekłem?

— Za pięć minut wyruszamy stąd, będziemy ich ścigać! Czekamy, aż pan będzie gotów!

Anglik, wbrew swemu zwyczajowi, począł się szybko ubierać. Następnie chwycił karabin, lunetę i rzekł:

— Dlaczego zwlekamy?

To mówiąc chciał wyjść z chaty, gdy nagle wzrok jego padł na śpiącego Boba.

Zatrzymał się. Na twarzy miał wyraz największego zakłopotania.

— Co się stanie z Bobem? — wyjąkał.

— Na Boga, zapomniałem o nim i o Filipie! — krzyknął von Denhoff, chwytając się za włosy. — Nie możemy ich zabrać ze sobą, łódź nie pomieści tak wielu ludzi! Chodź pan ze mną! — rzekł. Dowiemy się co tamci o tym myślą!

— Jeśli wrócimy do wieczora, ci dwaj mogą pozostać — rzekł Mambazi po namyśle. — Thug jest niebezpieczny tylko w nocy.

Obaj Niemcy skinęli głową na znak zgody.

— Zbudź pan Boba — odezwał się von Denhoff do lorda.

— Kto będzie pielęgnował tego biednego chłopca, jeśli mnie tu nie będzie? — spytał lord.

— Nie mamy czasu zajmować się drobiazgami — rzekł szorstko von Denhoff. — Pański Bob nie umrze z głodu w przeciągu dwunastu godzin. Poza tym może pan w zupełności polegać na Filipie.

Lord zrozumiał, że opór nic tutaj nie pomoże. Niemniej jednak z bolesnym westchnieniem poszedł obudzić Boba. Delikatnie dotknął go ręką.

Bob, kochany — zaszczebotał, jak słowik w maju.

— *All right, milord* — rozległo się spod koców.

— Wstań, Bob — prosił słodko lord.

— *All right, milord* — odparł sługa, wystawiając głowę.

— Muszę cię dziś zostawić samego, kochany Bobie — rzekł lord z rozrzewnieniem.

— *All right, milord.*

— Tylko jeden Filip pozostanie przy tobie!

— *All right, milord.*

— Przysięgnij, że będziesz na siebie uważał!

— *O yes, milord.*

— Że będziesz się dobrze odżywiać!

— *O yes, milord.*

— I że będziesz unikał przeciągów.

— *O yes, milord.*

— Jestem już spokojny, Bob. Byłeś zawsze porządnym chłopcem i dotrzymasz słowa. A teraz musisz się przenieść do wielkiego domu, do Filipa.

— *All iright, milord.*

— W okolicy są bardzo niebezpieczni rabusie, Bob!

— *No matter (to nic), milord.*

— Nie boisz się?

— Wierzę ci — rzekł lord z widocznym zadowoleniem — ty zawsze byłeś bardzo odważny!

Lecz mimo to należy zachować środki ostrożności. Z tego względu zabarykadujecie się...

— *All right, milord.*

— I zostawcie tylko dwa otwory, celem obserwacji.

— *All right, milord.*

— A wiem, że ty umiesz świetnie strzelać, Bob, nieprawdaż?

— *O yes, milord.*

— Dobrze. Skoro ujrzysz tego czarnego łotra...

— Skoro zatem ujrzę tego łotra, milordzie? — trwożnie spytał Bob.

— Strzelisz doń natychmiast rozumiesz, Bob?

— *All right, milord* — odparł z widoczną ulgą Irlandczyk, widząc, że nie potrzebuje czarnego łotra ani smażyć, ani piec na rożnie; wszystko inne poza tym było mu zupełnie obojętne.

— A teraz pójdz ze mną, Bob. — rzekł lord.

Opuścił chatę a Irlandczyk szedł za nim. Udali się do dużego domku.

W tym samym czasie von Denhoff udzielał Filipowi odpowiednich instrukcji.

— Filipie — rzekł — ty i Bob musicie tutaj zamknąć się i zabarykadować, bo przyjdą Thugowie.

— Co to za ludzie? — spytał Filip.

— Poczciwi Hindusi, którzy na cześć swej bogini innym ludziom skręcają karki.

— Jezu Chryste! — zawołał Filip, odskakując z przestachem. — I pan ich nazywa pocziwymi ludźmi?! Zamiast spokojnie siedzieć w domu i pić kawę lub czekoladę, biegnie pan, panie baronie, między ludożerców i brodzi po szyję we krwi, chociaż to jest tylko krew tygrysia. To straszne i ja mogę tylko wzdychać — jęczeć, jak prorok Jeremiasz nad gruzami Jerozolimy!

Może się boisz Filipie? — zakpił jego pan. Ja, bać się? — zawołał sługa, prostując się dumnie. — Panie baronie, wszyscy Sasi są odważni, a ja jestem przecież z Olbersdorfu czy mamy wytrzymać obleżenie, jak Turcy w Jerozolimie?

— Tylko do wieczora.

— To wszystko jedno. Pozwoli pan na chwilę.

— Dokąd chcesz odejść?

— Tylko chwileczkę — odparł Filip tajemniczo.

Zniknął w swej izbie i pojawił się w dziesięć sekund później w czekoladowym fraku.

— Do diabła, co ma znaczyć ta maskarada? — krzyknął gniewnie von Denhoff.

— Przepraszam pana, panie baronie, ale pan nie rozumie się na formie. Jeśli jest wojna, wszyscy żołnierze, od generała począwszy aż do ostatniego pospolitaczka ubierają paradny uniform, a hełmy przyozdabiają liśćmi dębowymi. My mamy tutaj być oblegani, czyli, że jest stan wojenny, dlaczego więc nie miałbym ubrać mego fraka?

— Niech i tak będzie — rzekł von Denhoff. — Może przyjdzie jakiś Thug i odetnie ci ogony od tego nieszczęsnego fraka, wtedy będę miał ostateczny spokój. A teraz posłuchaj, jak się macie zachować.

Wyjaśnił mu wszystko i spytał:

— Lecz wy się nie dacie pobić? Thugowie są najgorszymi łotrami na świecie.

— To nic! — zawołał Filip.

— Saisi są mężni, jak już panu powiedziałem, a ja jestem z Olbersdorfu koło...

— Dość już, dość! — przerwał von Denhoff, zatykając sobie uszy. — Daj pokój znam to na pamięć!

Wszedł lord i Boba opiece zacnego Sasa powierzył. Ten przyjął go uprzejmie i poprosił, by raczył usiąść.

Lord Artur wyjaśnił jeszcze staremu słudze, w jaki sposób ma się obchodzić z Bobem, jak pielęgnować jego chory żołądek.

Doktor przetłumaczył to w ten sposób, że Filip nie śmie Irlandczykowi nic dać do jedzenia, nawet i wtedy, gdyby zażądał.

— Nie sądzę, by to uczynił — dodał — on się najadł przynajmniej na pół roku.

Panowie podeszli do łodzi, gdzie sipajowie zajęli już miejsca.

Czółno pędzone przez czternaście silnych ramion pomknęło po mętnych falach, jak strzała.

Gdy panowie odeszli, Filip zamknął drzwi, zatkał wszystkie otwory, oprócz dwóch, przez które można było widzieć, co się na dzieje zewnątrz.

Następnie wziął karabin w rękę i usiadł koło jednego z nich, a Irlandczykowi kazał obserwować okolice obozowiska przez drugi.

— To skandal — mrucał sam do siebie — Na starość muszę strzelać do żywych ludzi!

Przez dwie godziny panowała głęboka cisza dokoła domku. Nagle w oddali pojawił się półnagi Hindus, który ostrożnie i przezornie wychylił się z zarośli.

Bob, który na tym padole płaczu umiał tylko jedno, a mianowicie na ślepo wypełniać rozkazy swego pana, podniósł natychmiast karabin i nacisnął cyngiel. Thug skoczył z okrzykiem bólu i zniknął w zaroślach.

W pół godziny potem drugi Thug próbował tego samego eksperymentu i z tym samym skutkiem.

Minął dłuższy czas i nic się nie ruszyło.

Nagle Filip usłyszał lekki szelest. Zdawało mu się, że ktoś poza nim otworzył drzwi. Odwrócił głowę, a ponieważ oczy jego były oślepięte blaskiem, przeto nic nie mógł zobaczyć. Poczł, że dwie silne ręce chwyciły go za gardziel i obaliły na ziemię.

Padając zdołał spostrzec kątem oka, że Irlandczyka spotkał ten sam los, potem stracił przytomność.

Gdy odzyskał świadomość, poczuł, że owinięto mu głowę szmatami, a teraz na plecach krępują ręce.

Dwa mężczyźni wynieśli go z domku i rzucili na ziemię.

— Wielki Boże! — jęczał stary lokaj — w ten sposób traktują tutaj człowieka dobrodusznego i światowego! Ja tego nie przeżyję! Nie przeżyję!

Na polanie kręciło się około trzydzieści brunatnoskórych postaci w turbanach na głowie; każda z nich miała na piersiach wytatuowanego węża o głowie niewieściej. Dokoła bioder mieli sznury — owe osławione phansi. Ciało ich było wychudłe, zżarte nadużywaniem opium, oczy dzikie, świecące szaleństwem i fanatyzmem, twarze zwierzęce.

Tylko jeden z nich miał w twarzy wyraz wyższej inteligencji. Był to siwowłosy starzec, który stał na środku placu, oparty o platan i w milczeniu przypatrywał się temu, co się dokoła działo. On jeden ze wszystkich był dostatnio odziany, miał na stopach lekkie trzewiki z cienkiej skóry, z końcami zadartymi do góry, obszerne spodnie i obcisłą kurti (bluzę).

Osobliwe były jego oczy: górne powieki w środku podniesione do góry, tworzyły ostry kąt, dolne natomiast biegiły poziomo prawie, tak, że gałka oczna wyglądała przez trójkątną szparę. Spojrzenie tych dziwnych oczu było srogie i bezlitosne. Źrenice były, jak u kota, pionowe i owalne zarazem.

To ten człowiek pokierował atakiem na obóz myśliwski.

Sankua skrytobójczym mordem wywołał popłoch wśród saisów i zmusił ich do ucieczki. Starzec, oparty o platan, znał dobrze liczbę i charakter mieszkańców obozowiska, gdyż Gary zdał dokładną relację. Z tego też powodu doszedł do wniosku, że biali będą ścigać zbiegłych saisów. Nie wszyscy, oczywiście. Pozostanie dwóch lub trzech celem pilnowania obozu. Miał nadzieję, że ci w czasie nieobecności swoich towarzyszy wpadną mu w ręce.

Plan ten udał mu się znakomicie.

Gdy Europejczycy i Mambazi wraz z sipajami wyruszyli w pościg za zbiegłymi (jego szpiedzy obserwowali to z drugiego brzegu rzeki), wiedział dokładnie ilu pozostało w twierdzy. Otoczył całą polanę, a jego ludzie, uniesieni fanatyzmem, chętnie narażali życie, byle się tylko przekonać, jak funkcjonuje obrona fortu.

Chytry Filip pilnował tylko jednej strony domku. Thugowie zbliżyli się z przeciwnej, wywiercili dziurę w ścianie, dość dużą, by człowiek mógł przez nią przejść. Przez tę dziurę wcisnęli się i obezwładnili obu naszych bohaterów. Jeńców przyprawiono przed groźne oblicze wodza.

— Asanga — rzekł jeden z Hindusów — czcigodny kapłanie bogini Bhawani, twoje rozkazy zostały wykonane. Co ma się teraz stać? Czy wolno nam rabować i puścić z dymem chaty?

Asanga skinął głową i Thug zamierzał odejść.

— Stój! — zawołał nagle wódz — inaczej postanowiłem! Weźcie tylko rzeczy kosztowne, przede wszystkim pieniądze i klejnoty, wszystko inne pozostawcie. Jeśli zburzymy ich chaty, to cofną się do wielkich miast, gdzie my będziemy bezsilni, i na dodatek będziemy mieli na karku policję z Kalkuty. Jeśli pozostawimy im tę kryjówkę, pozostaną tutaj, aby szukać śladów zaginionych. Nocą pozostawię

im listy, przybite do drzwi, a skoro podpiszą żadaną zamianę, zwabię ich na inne miejsce, które lepiej będzie się nadawało do napadu. Wszyscy muszą wpaść w moje ręce, ci zbóje i złodzieje! Bhawani gniewa się już od dawna, że jej tak rzadko składamy ofiary!

— Jah Bhawani! — zawołał Thug.

— Jah Bhawani! — powtórzyli inni z dzikim, fanatycznym wrzaskiem.

Asanga rzucił na nich pogardliwe spojrzenie, następnie skinął, aby wykonano jego rozkazy.

Przetrząsnęto starannie wszystkie domki, lecz łup był bardzo nędzny, gdyż właściciele zabrali ze sobą wszystkie wartościowe przedmioty. Jeńców zaniecono do łodzi, która szybko z nimi odpłynęła. Pozostała banda rozproszyła się w dżungli.

Asanga pozostał sam. Przez dłuższą chwilę spoglądał przed siebie, głęboko zamyślony, następnie udał się do domu mieszkalnego. Tutaj wyciągnął z kieszeni chińskie przybory do pisania i na drzwiach wymalował węża o niewieściej głowie, jak również cały szereg znaków, które mówiły: „Asanga, wielki kapłan bogini Bhawani był tutaj. Przekleństwo wam, którzy wyśmiewacie świętą religię!”

Asanga miał swoją dumę. Pozostawił kartę wizytową, aby myśliwi po powrocie nie podejrzewali kogo innego o porwanie sług.

— Prawdziwy dżentelmen! — jak później powiedział lord Connaughton.

Rozdział V.

Ciemności pierzchają.

Von Denhoff i jego towarzysze z wyczerpaniem wszystkich sił płynęli przez całe przedpołudnie w górę rzeki, lecz chociaż nieustannie przy pomocy lunety przeszukiwali okolicę, nie mogli odkryć ani śladu saisów ani dwóch uprowadzonych łodzi.

Daremny trud — rzekł von Denhoff, który siedział przy sterze. — Albo oni od razu wpłynęli w boczne, małe ramię rzeki albo też wpadli już w ręce Thugów, co mi się zdaje daleko prawdopodobniejsze. Radzę więc abyśmy wrócili, zwłaszcza, że przecucie mówi mi, że coś niedobrego dzieje się w naszym obozie.

— Sądzi pan może, że mego Boba mogło spotkać nieszczęście? — spytał lord z trwogą.

— Nic nie sądzę, kochany lordzie. Trzymam się tylko faktów i mogę powiedzieć, że byliśmy głupi, pozostawiając służących samych. Jeden z nas mógł przecież pozostać.

— O, Bob jest dzielny, mogę pana zapewnić — rzekł lord.

— Możliwe. Czy jednak zdoła się oprzeć Thugom to pytanie. Filip zaś da się z pewnością wziąć bez oporu do niewoli, pod warunkiem, że nic złego nie stanie się jego czekoladowemu frakowi. Co sądzisz, Mambazi?

— Możliwe, że Thugowie czekali na moment naszego odjazdu, aby napaść na nasz obóz — odparł zagadnięty. — Postąpiliśmy, jak nierozważne dzieci. Wracajmy!

Dziób łodzi zwrócił się w przeciwnym kierunku.

— Wszystkie nasze łodzie są nienaruszone! — zawołał von Denhoff, gdy myśliwi wysiedli w małej zatoce na ląd.

— Tak, lecz w czasie naszej nieobecności byli tu jacyś ludzie! — rzekł Mambazi, wskazując na dużą ilość odcisków stóp na piasku.

— Moje przecucie się sprawdza! — zawołał von Denhoff z niepokojem w głosie. — Naprzód, Nero!

Dog szczeknął i pobiegł naprzód, mężczyźni ruszyli spiesznie za nim.

Zbliżyli się do domku. Napis na drzwiach i otwór w tylnej ścianie powiedział im wszystko.

Nie da się opisać rozpaczki lorda, gdy się przekonał, że Bob wpadł w ręce Thugów. Biadał jak matka po stracie najdroższego dziecięcia i dopiero po długich staraniach udało się przyjaciółom

niecgo go uspokoić. — Moi kochani — odezwał się von Denhoff. — Pozwolicie, że powiem kilka ważnych słów. Popełniliśmy bardzo wielkie głupstwo. Pozwoliliśmy by ten nędzny szpieg, Sankua, wywiódł nas bezczelnie w pole, a gdy go zdemaskowaliśmy wczoraj w nocy, było to tylko pyrrusowe zwycięstwo! Zgubiliśmy naszych służących, naszych saisów i nowe gongi po dwadzieścia funtów sztuka.

— Zrozumcie, że tak dalej być nie może, bo wszyscy damy się złowić. A może sądzicie, że zasłużyliśmy sobie na dyplom uznania w złotych ramach i z podpisem wszystkich współuczestników?

— Dziwi mnie, że pan może jeszcze żartować — rzekł lord z wyrzutem. — Wszak utraciłeś długoletniego i wiernego sługę...

I muszę go odzyskać! — odparł von Denhoff. — Filip należy do tych ludzi, co, jak koty, zawsze na cztery łapy spadają, dlatego jestem o niego spokojny.

— A jeśli Thugowie tych biedaków natychmiast zamordowali? — spytał lord załamując dłonie.

— Co o tym sądzisz? — spytał von Denhoff zwracając się do doktora.

— Sądzę, że żyją — odparł zagadnięty po krótkim namyśle.

— To jest także moje zdanie. A ty, Mambazi?

Mahratta skinął głową potakująco.

— Sądzę, że ich wprowadzili ze sobą, bo tu nie ma żadnego śladu morderstwa.

— Tak, lecz w jaki sposób przekonasz się, gdzie są ukryci? — spytał von Denhoff.

— Pozwól mi się nad tym zastanowić — odparł Hindus. — Postaraj się raczej o to, byśmy mogli bezpiecznie spędzić noc. Słońce zajdzie niebawem, więc Thugowie mogą nas podejść pod osłoną ciemności.

Po tych słowach Mahratta usiadł na krześle i pogrążył się w zadumie.

— Pójdź pan ze mną — zwrócił się von Denhoff do lorda — mój żołądek już mruczy z głodu, a pan mówił wczoraj, że zna się na kulinarnej sztuce. To pana trochę rozerwie.

Lord poszedł za baronem do kuchni, choć z ciężkim sercem.

— Pozostawiam panu czysto artystyczną stronę kulinarnej sztuki — zażartował baron — sam natomiast wezmę na siebie grubą robotę, jak rąbanie drewna i mycie kotłów. Zabierz pan się natychmiast do pracy, zapasy są na szczęście nienaruszone.

Po tych słowach przykucnął koło małej, glinianej kuchenki i rozniecił ogień.

Lord przewracał w kufrach i skrzyniach, lecz nie mógł znaleźć tego, czego potrzebował.

— Czego pan właściwie szuka? — spytał von Denhoff. — Bawi się pan w Fabiusa Kunktatora!

— Niestety, tu nie ma nic! — rzekł lord, kiwając głową.

— Co?! — krzyknął von Denhoff, zrywając się na równe nogi. — Te draby zabrały nam może wszystkie zapasy?

Zbadał natychmiast zawartość skrzyń i szuflad i rzekł:

— Czego pan właściwie chce? Wszak tu jest ryż, groch, fasola, cukier, sól, pieprz, ocet, suszone owoce, drób — i pan mówisz, że nic nie ma?

— Lecz z tego wszystkiego nie mogę usmażyć befsztyka!

— Któż panu każe smażyć befsztyk?

— Nie umiem gotować nic innego, kochany przyjacielu.

— Przykro mi bardzo, kochany lordzie, gdyż wśród takich okoliczności musimy zamienić się rolami. Ja będę gotował, a pan będzie pilnował ognia, gdyż sipajowie muszą trzymać straż, a doktor pakuje skrzynie i swoje zbiory na wypadek napadu. Zgodził się pan być kuchcikiem?

— Obojętnie, jaką pracę mi pan powierzy, jeśli nie mogę smażyć befsztyka — odparł Anglik grobowym głosem i przykucnął przy ogniu.

Von Denhoff zabrał się rażno do pracy i przyrządził smaczny obiad, który zjednał mu powszechne uznanie.

Gdy panowie po obiedzie siedzieli razem przy stole paląc cygara, nagle pies, który ustawicznie okrążał obozowisko, począł zajadle szczekać. Był to znak niezawodny, że Thugowie się zbliżają.

Mambazi zerwał się z krzesła jak sprężyna i krzyknął:

— Mam go! Skoczył do drzwi.

— Kogo? co? jak? — spytał von Denhoff.

— Mambazi nie lubi dużo mówić — odparł Mahratta — zobaczysz wnet wszystko.

To mówiąc chwycił pochodnię, zapalił ją i udał się do komory, w której były zapasy. Po chwili wrócił z młotem i z blachą cynkową w rękę.

— Chcesz sporządzić, sidła, aby wylapać wszystkich Thugów, jak lisy? — spytał von Denhoff. — W takim razie musisz przyczepić gruby kawał sadła.

— Czekaj — rzekł krótko Mambazi.

Odkroił z blachy dość długi pas, szerokości dłoni i zrobił zeń coś w rodzaju pierścienia.

— Co ci strzeliło do głowy?! — krzyknął baron, który teraz dopiero począł pojmować zamiar Mahratty. — Jeśli stryk pójdzie trochę za wysoko lub za nisko, jesteś zgubiony!

— Nie ma obawy! — odparł Mahratta, uśmiechając się z lekka. — Mambazi wie, co robi. A na wszelki wypadek ma sztylet.

Owinął szyję blachą, jak gdyby metalowym kołnierzykiem, po czym związał ją sznurkiem. Następnie osłonił ją kawałkiem materii, jak gdyby szalem, aby zakryć barwę metalu, na koniec skierował się ku drzwiom.

— Jeszcze raz ci mówię, Mambazi — upomniał von Denhoff. — idziesz naprzeciw prawie pewnej śmierci! Nie ma żartów z Thugami! Oni są chytrzejsi od lisów!

— Mambazi kpi z Thugów! — rzekł dumnie Hindus. — Pamiętaj o tym mój przyjacielu!

Von Denhoff wzruszył ramionami.

Mahratta wyszedł i po chwili w zaroślach począł się czołgać na czworakach. Ostrożność jego była tylko pozorna. Właśnie chodziło mu o to, aby szpiedzy go spostrzegli.

Po jakimś czasie podniósł się i siedł wśród gęstwiny, starając się czynić jak najmniej hałasu.

Nagle ponad jego głową świsnęła pętla i Mambazi runął na ziemię z głuchym łoskotem. Daremnie się mიაł. Wkrótce głuche rżenie oznajmiło oprawcy, że jego ofiara traci przytomność.

Thugowie zawlekli go prawie do brzegu polany, gdzie zatrzymali się. Było ich dwóch.

— Uważaj, by nikt się nie zbliżył, a ja go tymczasem zaduszę! — rzekł jeden z nich.

Drugi usłuchał i oddalił się nieco.

Pierwszy pochylił się, aby wykonać zamiar. Nagle Mambazi chwycił swego oprawcę za gardło i obalił na ziemię prędzej niż ten zdołał wydać okrzyk. Wywiązała się krótka walka, którą rozstrzygnął sztylet Mahratty. Zwycięzca podniósł się i bez szeptu zbliżył się do drugiego Thuga. Ten stał na końcu ścieżki i nadśłuchiwał. Nagle otrzymał potężny cios rękojęścią sztyletu w kark i runął na ziemię jak ciężka kłoda.

Nie stracił świadomości, ale był sparaliżowany uderzeniem. Nie mógł ani krzyczeć, ani się poruszyć. Mahratta związał mu ręce, podniósł, zarzucił sobie na plecy i zaniósł do domu.

— Dzięki Bogu — zawołał von Denhoff, oddychając z ulgą — że sprawa dobrze się zakończyła! Jak go schwytałeś?

Mahratta zrzucił Thuga na podłogę i w krótkich słowach opowiedział przebieg swojej wyprawy.

— Co z nim uczynimy? — spytał von Denhoff wskazując leżącego Thuga.

— Musi nam oczywiście powiedzieć, dokąd zawleczono naszych służących — rzekł doktor.

— Wiem o tym — odparł baron — ale w jaki sposób zmusisz go do tego? Popatrz, nie wygląda na tchórza!

Istotnie mina jeńca wyrażała wszystko, ale nie trwogę. Leżał z zaciśniętymi kurczowo zębami i rzucał na obecnych spojrzenia śmiertelnej nienawiści.

— Ba! — odezwał się baron — można się go wystraszyć.

— Odpowiednie pogróżki zmiękczą go.

— Nie sędzę. Lecz spróbować można.

Baron począł grozić Thugowi najstraszniejszymi i najokrutniejszymi torturami, ale jedyną odpowiedzią były przekleństwa.

— Co uczynić? — spytał von Denhoff. — Przecież nie możemy się pastwić nad nim!

— Ja to zrobię! Ja mu kości połamię! Ja go upiekę na wolnym ogniu! Usmażę, jak befsztyk! — krzyknął lord. — Muszę mieć mego Boba!

— Cierpliwości! — rzekł spokojnie Mambazi. — On będzie mówił, ale jutro. Teraz musimy się przespać i odpocząć.

Jeńca umieszczono między nogami stołu i przywiązano do nich. Potem czterej mężczyźni poszli spać.

Sipajowie czuwali nad bezpieczeństwem obozu. Noc minęła spokojnie.

Rano Mambazi obudził doktora i popłynęli czółnem. Gdy wrócili przywieźli wiązkę osobliwych roślin, które krajowcy nazywają yauma.

Mahratta przyrządził z wody, cukru i cytryny zwyczajną lemoniadę i wcisnął do niej sok z kilku lodyg yauma, na koniec dorzucił drobną kulkę opium. Tymczasem jeńcowi podano silnie opaprykowany pokarm, a gdy poczuł pragnienie, dano mu się napić lemoniady. Nie widział, w jaki sposób ją przyrządzano, dlatego też bez wahania wychylił kubek.

Przywiązano go do deski i czekano na wynik.

Po dziesięciu minutach na czole jeńca wystąpił perlisty pot, a oczy nabrały szklanego wyglądu. Szyderczy uśmiech znikł, natomiast pojawił się na obliczu wyraz niemal obłądny. Na koniec wybuchnął szaleńczym śmiechem, a z ust wyrwały się urywane, beładne słowa.

— Widzicie, że mam słuszność — odezwał się Mambazi do trzech panów, którzy z napięciem

przypatrywali się jeńcowi — teraz dowiemy się wszystkiego!

— Sok rośliny yauma wywołuje stan oszołomienia — wyjaśnił doktor — w którym człowiek mimo woli wszystko mówi. Co prawda, trzeba do tego trochę szczęścia, gdyż oszołomiony chwytą tylko to lub owo słowo, które się doń mówi. Do tych słów przyłącza swe myśli i wypowiada wszystko, co mu ślina na język przyniesie. Lecz gdy się ma pewną zręczność w postępowaniu, można skierować tok jego myśli na właściwą drogę.

Tymczasem Mahratta ukląkł przy jeńcu.

— Psie! — krzyknął mu do ucha. — Dokąd zawlekliście obu jeńców?

Thug przestał bełkotać i przez kilka sekund spoglądał na mówiącego. Następnie wybuchnął szaleńczym śmiechem i zaczął mówić:

— Ha, ha! złapani... obaj... dwaj biali... Asanga jest chytry... innych chwycimy!... Ha, ha, oni ukryci... doskonale ukryci... muszą umrzeć ... w czasie uroczystości... Bhawani pragnie ofiar ... udusimy ich w czasie święta, gdy księżyc się zakryje ... a potem tamtych ... trzech białych... jeden Mahratta ... wszyscy muszą umrzeć... wszyscy... wszyscy... Bhawani tego pragnie... tak Bhawani!
...

— Gdzie jest Bhawani? — spytał Mahratta.

— Bhawani?... O, Bhawani jest wielka ... daleko większa niż inne boginie... ona jest najpotężniejsza i ma olbrzymią świątynię... piękną świątynię... głęboko, gdzie żaden obcy jej nie zobaczy... Żaden obcy... nie... tylko jej synowie mogą ją widzieć!...

— My jej poszukamy, psie!

— Psie?... Ty jesteś pies!... ja cię znam... ty jesteś Mahratta... zdrajca, który służy białym... ale ty musisz umrzeć... bez litości... Bhawani tego chce... Bhawani jest wielka...

— My ją znajdziemy!

— Znajdziecie?... Ha, ha!... jak ty ją znajdziesz?... żaden człowiek nie może jej znaleźć... ona mieszka w świątyni... głęboko... i żaden obcy nie wie... żaden...

— My wiemy!

— Ha, ha!... muszę się śmiać... żaden człowiek nie wie, gdzie świątynia... żaden...

— Ona jest na ... — i przebiegły Mahratta przyciszonym głosem wymówił kilka niewyraźnych zgłosek.

— Co? — wrzasnął Thug, próbując się zerwać, zdawało mu się bowiem, że usłyszał właściwą nazwę. — Ty znasz Radżmangal?... Ty kłamiesz!... żaden człowiek nie zna Radżmangalu!...

— Znam!

— Bądź przeklęty!... Lecz to nic!... ty znasz Radżmangal!... dobrze... ale nie znasz ścieżki do pagody... nie znasz pustego bananu... nie znasz nic...

— Znam banan!

— Lecz straż cię zamorduje!...

— Nie ma straży!

— O tak!... ha, ha, ha!... dwóch strażników!... na drzewie i pod spodem w lochu... żaden obcy tam nie wejdzie... muszą umrzeć!... wszyscy!... Bhawani tego chce!...

Mambazi powstał.

— Wiemy już dość — rzekł — obaj pojmani znajdują się w Radżmangal.

— Znasz to miejsce? — spytał baron.

— Ja znam także — wtrącił doktor. — To jest jedna z dużych wysp, szósta lub siódma na wschód od Hugli. Byłeś już tam, Mambazi?

— Przejeżdżałem tylko raz, lecz się nie zatrzymałem. Tam rozciąga się czarna dżungla wraz ze wszystkimi swymi okropnościami. Nic, tylko bagna i puszcza pełna jadowitych węży i dzikich zwierząt. Któż mógłby się spodziewać, że tam się znajduje świątynia!

— Da się to wyjaśnić — odparł doktor. — Gdy w Indiach zaczęło się prześladowanie buddyzmu, wyznawcy tej nauki ukryli się w bezludnych okolicach.

Stąd też w dżungli mogła powstać świątynia. Z biegiem czasu zatarła się pamięć o niej wśród okolicznych mieszkańców, jedynie tylko wyznawcy Bhawani wiedzą dziś o niej. Świątynia ta doskonale odpowiada ich zbrodniczym celom, dlatego się tam zagnieźdźdźli. Tam odbywają zgromadzenia, stamtąd idą na swoje zbrojeckie wyprawy, tam się chronią przed karzącą ręką sprawiedliwości. Nie lada to zadanie uwolnić z tego piekła naszych służących!

— Czy mamy przynajmniej na to dość czasu? — spytał von Denhoff.

— Mają być uduszeni na ołtarzu, w czasie święta bogini Bhawani, gdy ona zakrywa księżyc. A więc prawdopodobnie w czasie najbliższego nowiu. Mamy zatem około dziesięciu dni czasu. Co myślisz o tym, Mambazi?

Mahratta skinął potakująco głową.

— A więc uratujemy ich! — zawołał wesoło von Denhoff. — W ciągu dziesięciu dni można zburzyć ogromną twierdzę!

— Przede wszystkim musimy się tam dostać. Jak długo może to trwać. Mambazi?

— Sześć do siedmiu dni.

— A więc — rzekł von Denhoff — pozostają nam tylko trzy dni. Wciągu tego czasu wykurzymy chyba bandę!

Przywołano sipajów i spytano, czy pragną wziąć udział w ekspedycji, czy też raczej wolą wrócić do miejsc zamieszkania. Dzielni chłopcy oświadczyli, że są gotowi pomagać w ratowaniu porwanych.

— To nie może być — wtrącił lord ku zdumieniu wszystkich obecnych — dwóch spośród was musi bezwarunkowo pozostać!

— A to dlaczego? — spytali inni.

— Muszą odwieźć list do wicekróla.

— A to w jakim celu?

— Musi na tę wyspę wysłać statek z armatami i kompanią żołnierzy!

— Nie możemy tego wymagać od Jego Ekscelencji! Ma ważniejsze sprawy na głowie!

— To nic! — twardo powiedział lord. — On musi przysłać mi kanonierkę z oddziałem żołnierzy, bo tu chodzi o wyratowanie mego biednego Boba ze szponów skrytobójczych morderców! Ja tak chcę! Wicekról powinien lepiej zarządzać tym krajem i nie dopuszczać, by wykradano żywych ludzi z domów!

— Pan mu to wszystko napisze?

— Oczywiście — odparł lord — wszystko, punkt za punktem!

— W takim razie wicekról nie przyśle nic, a my stracimy cztery krzepkie ramiona.

— Pozwól mu — rzekł doktor po niemiecku, zwracając się do barona — wszak musimy także schwytanego Thuga odstawić do Surkhail!

— Racja! W takim razie niech sfabrykuje ten swój list, co mi do tego?

Lord istotnie napisał list do wicekróla, który w tonie przypominał rozkaz dyktatora dla prefekta, a na kopercie czternaście razy wykaligrafował słowo: „express”.

Dwaj sipajowie mieli ten list oddać we właściwe ręce.

Mambazi z jednym z nich i z psem udał się ścieżką wiodącą ku zachodowi. Na dawnym miejscu znaleźli małą łódź, wsiedli do niej i popłynęli na północ.

Pozostali tymczasem zakopali skrzynie z preparatami doktora, zabrali ze sobą najpotrzebniejsze przedmioty i śpiącego Thuga, i umieścili to wszystko we wielkim murpunku. Inne łodzie zatopili.

Gdy po upływie dwóch godzin tamci nie wrócili, ruszyli w drogę. Obie grupy spotkały się w miejscu rozwidlenia Kagi. Popłynęli dalej w kierunku północnym, aż wreszcie zapadła noc i wszystko zakryła swoim czarnym całunem. Stało się to na środku szeroko rozlewającej rzeki. Gdy członkowie wyprawy zabezpieczeni byli przed szpiegami, zamieniono członków załogi. Mambazi wrócił do swoich przyjaciół, a drugi z sipajów zajął jego miejsce. Przeniesiono na tamtą łódź jeńca, lord Connaughton wręczył żołnierzom drogocenny list i rzekł:

— Znacie adres: „Do Jego Ekselencji lorda N.N. wicekróla Indii”. Wiecie też, co was czeka, jeśli ten list nie dojdzie do rąk adresata, a w dodatku obetnę wam uszy!

— I powiedzcie sędziemu w Surkhail — dodał von Denhoff — by tym razem więźnia lepiej pilnował, bo inaczej...

— Bądź miłościw, sahib! — rzekli obaj sipajowie i odpłynęli. Nero oczywiście pozostał przy swym panu.

Gdy Hindusi zniknęli w ciemnościach, murpunku zwróciła się i w innym kierunku zagłębiła w labirynt wysp, wśród których Mambazi doskonale się orientował.

— Co porabia mój biedny, nieszczęsny Bob! — wzdychał lord Artur. On ma taki słaby żołądek mój dobry, kochany Bob!...

Rozdział VI.

Śladem uprowadzonych.

— Tam jest Radźmangal! — rzekł Mambazi wskazując ciemny pas, który szóstego dnia wieczorem wyłonił się nad falami.

— Chwała Bogu! — odpowiedział von Denhoff ocierając sobie pot z czoła. — Już mam dość tego błąkania się wśród dżungli.

Towarzystwo miało pożałowania godny wygląd, a trudy, które członkowie wyprawy znieśli w ciągu tej krótkiej podróży, wryły wyraźne ślady na ich twarzach.

Dopłynęli więc do Mangal, do jednego z wielkich ramion delty Gangesu, pomiędzy Hugli i Huringatha.

Wszyscy zwrócili twarze w tym kierunku, aby przypatrzeć się wyspie, która kryła w sobie przedziwne tajemnice.

— Dzisiaj tam się jednak nie dostaniemy — rzekł von Denhoff.

— Nie — odezwał się Mambazi — spędzimy noc na tamtej wyspie.

— Dlaczego właśnie na tamtej? Czy tam jest dobra woda pitna?

— Nie.

— Dlatego uważam, że będzie roztropniej, jeśli dziś zbliżymy się o ile możności do Radźmangal. Tam dalej są inne małe wyspy.

— Lecz na tej nie będziemy musieli łamać bambusu, aby urządzić obóz. Poza zaroślami nadbrzeżnymi znajduje się obszerna polana.

— Skąd o tym wiesz? — spytał zdumiony von Denhoff.

— Spałem tam razu pewnego przed trzema laty — odparł Mambazi.

— Mambazi — zawołał baron — w ciągu trzech lat mógł tam wyrosnąć las podzwrotnikowy! Wszak powinieneś o tym wiedzieć! Z polany zapewne nie ma ani śladu.

— Nie — odparł Mambazi — tylko brzegi tej wyspy są moczarowate, wewnątrz grunt jest skalisty.

— Co? Skały w środku delty?! To niemożliwe! Pomyśl, doktorze, tutaj, są skały!!

— Jeśli Mambazi spał na nich, więc zapewne tak istotnie jest — odparł doktor — mnie zresztą w czasie żeglugi nasunęły się rozmaite ciekawe obserwacje, dotyczące tutejszej okolicy. A teraz do wyspy!

Po upływie godziny łódź przybiła do lądu.

Podróżnicy z trudem przez jakiś czas przebijali się przez zwartą gęstwinę bambusów, aż wreszcie otworzyła się przed nimi wolna przestrzeń, która po chaosie czarnej dżungli wydawała się niemal rajem.

Polana mogła mieć pięćset kroków długości, a dwieście szerokości. Miejscami widać było twarde, kamienne podłoże, powleczone tylko cienką warstwą ziemi, na której rosły rozmaite trawy i piękne kwiaty.

— Tu jest istotnie wspaniale! bosko! — zawołał von Denhoff wyciągając się na miękkiej trawie.

— Prześliczna polana! Prawdziwy zakątek raju! — dodał doktor. Najważniejsze, aby tutaj natychmiast uciszyć głód, który porządnie daje mi się we znaki.

Sipajowie zapalili małe ognisko. Przyrządzono wieczerzę, a gdy ją spożyto, całe towarzystwo rozciągnęło się na trawie.

— Dzieci — odezwał się von Denhoff. — Czuję się tak dobrze usposobiony, że nie mogę się rzucić od razu w objęcia Morfeusza. Możebyśmy tak natychmiast odbyli walną naradę? Tutaj żaden Thug nie wystawi nosa z gęstwiny? Jak sądzisz, Mambazi?

— Mambazi uczyni wszystko, czego sobie życzą jego przyjaciele — odparł Mahratta.

— Dobrze. Przede wszystkim powiedz, czy ktoś może nas tutaj podsłuchać?

— To niemożliwe! Jeden tylko Mambazi zna to miejsce!

— Doskonale! — rzekł von Denhoff — Najważniejsze, byśmy mogli spokojnie leżeć na brzuchu w czasie obrad. Czy to nie rozkoszne, lordzie Arturze?

— Ja chciałbym, aby był tu mój biedny Bob — jęknął głęboko zmartwiony Anglik.

— Nie pleć pan głupstw! Bob jest za gruby, aby mógł zniknąć bez śladu. Gdzie on tylko usiądzie, tam pozostawia plamę tłuszczu, więc te jego ślady prędzej lub później muszą nas zaprowadzić do jego więzienia. Przede wszystkim, co ma być jutro? Czy w lewo czy w prawo mamy opłynąć wyspę, w poszukiwaniu za wydrążonym bananem?

— To zależy od tego — wtrącił doktor — którą część wybrzeża zna Mambazi i czy zauważył banan.

— Jechałem z Kalkuty przez Mutlę wzdłuż Matwalu — odparł Mahratta — i chciałem wrócić przez Goasabę. Lecz to ujście było tak rwące i trudne do przebycia, że wolałem dalej popłynąć przez

Mangal.

— Co to za nazwy? — spytał Von Denhoff. — Nie słyszałem ich z wyjątkiem Kalkuty i Mangalu. Czy są może oznaczone na jakiejś mapie, doktorze?

— Oczywiście! to są główne arterie wodne ujścia Gangesu.

— W takim razie wyciągnij szybko mapę z kieszeni, abym to wszystko mógł zobaczyć.

Rozłożono na ziemi wielką mapę delty Gangesu i przy słabym blasku świeczki von Denhoff zobaczył wyżej wzmiankowane punkty.

— Wybornie! — zawołał. — Teraz tę okolicę znam lepiej, niż własną kieszeń. Mambazi, ty znasz południową i wschodnią stronę Radzmangal; czy nie zauważyłeś tam gdzieś bananowca?

— Nie przypominam sobie — odparł Mahratta. — Wprawdzie płynąłem wzdłuż dżungli, lecz nie mogłem widzieć, co poza nią leży.

— Nie przypuszczam zresztą, czy po tej stronie wyspy można znaleźć to drzewo — wtrącił doktor.

— Tak? — spytał baron. — A to dlaczego?

— Bo grunt tutaj jest bardzo skalisty.

Sądysz więc, że na Radzmangal są skały, a może nawet i góry? — spytał baron drwiąco.

— Jeśli nie ma gór, to w każdym razie są pagórki.

— Lecz jaki związek z tym wszystkim ma banan?

— Zaraz on wystąpi na scenę. Tylko trochę cierpliwości. Jak wiemy, na Radzmangal jest ta świątynia, jak przypuszczam, podziemna, może taka, jak w Eilorze. Thug zresztą wcale nie fantazjował, gdy kilkakrotnie powiedział: „głęboko, bardzo głęboko”. To dowodzi, że buddyści ją wybudowali w tym celu, aby się uchronić przed okrucieństwem swoich wrogów. Podziemnych korytarzy nie można drążyć w gruncie bagnistym, zwłaszcza, jeżeli w pobliżu znajdują się wielkie masy wody. Założyciele świątyni znaleźli twardy, skalisty grunt — inaczej nie byłoby tutaj wcale przyszi. Środków żywności nie mogli brać z okolicznych wsi, właśnie z religijnych względów.

— Bardzo dobrze — rzekł von Denhoff — Nie doszliśmy jednak mimo wszystko do naszego bananowca.

— Mamy go już. Pierwsi mieszkańcy świątyni żarliwi buddyści oczywiście, przywieźli tutaj według odwiecznego zwyczaju jako relikwię gałąź ze świętego bananu rosnącego koło Bodh Gaya, pod którym ongiś Gautama otrzymał powołanie na Buddę. Tę gałąź zasadzili w pobliżu świętego miejsca, aby późniejsze generacje mogły się modlić w cieniu drzewa. To się nie mogło stać w środku dżungli, lecz na solidnej i urodzajnej ziemi, która mogła zapewnić swobodny rozrost drzewa.

— I cóż dalej? Proszę cię bardzo, połącz logicznym węzłem banan, świątynię i wyspę Radżmangal!

— Ależ to proste! Banan rośnie w pobliżu świątyni, a świątynia jest umocniona w twardym, skalistym gruncie. Kamienny grunt może się znajdować jedynie tylko w północnej części wyspy, dlatego też musimy poszukać tego bananowca na północy.

— Co też ty mówisz! — zawołał von Denhoff. — Można dojść do podobnego wniosku w daleko prostszy sposób. Mambazi nie znalazł nic na południu i wschodzie, z tego powodu musimy szukać na północy i zachodzie.

— Dobranoc! — rzekł doktor. — Ty dziś uwziąłeś się, aby ludziom zatruwać życie kpinami.

— To robi twoja chinina, doktorze. Jest ona tak gorzka, że zniechęciłaby nawet Filipa do jego czekoladowego fraka. Czy pan jest tego samego zdania, lordzie?

Lecz lord Artur nie przysłuchiwał się wcale tej dyspacie myśląc o swoim biednym Bobie słodko zasnął.

— A więc, jeśli wszyscy mnie opuszczają, nie mogę rozmawiać ze sobą samym — rzekł von Denhoff z rezygnacją. — Trzeba się rzucić w objęcia Morfeusza!

Gdy nazajutrz rano wpłynęli do zachodniego ramienia Mangalu, baron przypadkowo zauważył na południu czarny punkt, który zdawał się poruszać na wodzie.

— Stój! — zawołał. — Co to za ichtiozaurus pływa tam na falach? Czy to pień drzewa, wieloryb czy też łódź, napełniona ludźmi?

Mambazi, który siedział przy sterze, odwrócił się, spojrział we wskazanym kierunku i rzekł:

— Łódź!

Doktor wyjął lunetę i przez nią począł przyglądać się podejrzanemu przedmiotowi.

— Łódź! — potwierdził po kilku sekundach. — Dwunastu wioślarzy i sternik! Wszystko czarni!

— Lecz skąd oni wzięli się na bezludnym Mangalu? — spytał zdumiony von Denhoff.

Mambazi zastanowił się na chwilę.

— Ci ludzie wiozą obu jeńców! — wyjaśnił twardym tonem.

— Mego Boba?! — krzyknął lord i podskoczył aż łódź się zachwiała gwałtownie.

— Spokojnie, spokojnie, lordzie Arturze — upomniał baron. — Jeśli pan będzie tak krzyczał, zdradzi pan nas przedwcześnie, i tamci umkną!

Ale — odparł lord. — My musimy ich dopędzić! Bezwarunkowo!

— Co pan plecie! — zawołał baron szorstkim tonem. — Nawet gdybyśmy, jak małpy, pracowali rękami i nogami, tamci przewyższają nas liczbą dwudziestu czterech ramion, tam jest dwunastu wiosłarzy, a u nas tylko pięciu. Co mamy uczynić? — zwrócił się do pozostałych. — Popłyniemy naprzeciw nich i ukryjemy się, aby napaść na nich, lub może pozwolimy im płynąć przodem a sami podążymy za nimi? Ja byłbym za tym drugim. Oszczędzilibyśmy sobie trudu szukania.

Głosowanie co do tego jest niepotrzebne — wtrącił doktor, który znów podniósł lunetę do oka. — Zauważyli nas właśnie i zatrzymują się, naradzają się! A teraz zawracają i uciekają!

— Za nimi — ryknął lord, uderzając wiosłem w wodę. — Muszą oddać mi mego Boba!

— Niech i tak będzie! — rzekł von Denhoff, widząc, że w tym momencie nie ma sposobu na Anglika.

— Jeśli pan chce za wszelką cenę grać rolę niewiernego Tomasza, fakty pana pouczą!

Murpunkci począł ścigać uciekających, lecz ci rozwinęli daleko większą szybkość i po upływie pół godziny zniknęli z widnokregu.

— Stop — rzekł Mambazi. — Umknęli. Nic nie widać.

— Mój Bob! mój biedny Bob! — jęknął lord, załamując ręce z rozpacz. — Byliśmy już tak blisko!

— Uspokój się pan — pocieszał go von Denhoff. — Nieszczęście nie jest tak wielkie. Bez wątpienia płyną teraz wraz z nim po drugiej stronie wyspy. Jeśli doktor ma rację, mówiąc, że kryjówka Thugów leży w północnej części, w takim razie mamy krótszą drogę, możemy przygotować zasadzkę i napaść na nich, skoro tylko zechcą wysiąść na ląd.

— Miejmy nadzieję — odparł lord.

— Jednego tylko nie pojmuje — mówił dalej baron. — Jak mogliśmy się zbliżyć do nich w tak krótkim czasie? Wyprzedzili nas cały dzień prawie i przewyższają nas znacznie pod względem szybkości.

— Walka z falami morskimi jest bardzo trudna — odparł Mambazi.

— Czy oni, jako Thugowie, nie znają drogi w poprzek delty, że płynęli dokoła Sunderbund?

— Na Kadzę i na wybrzeżu przejazd jest zawsze wolny, a powietrze daleko czystsze.

— Dlatego też dziwi mnie to bardzo, dlaczego pędziłeś nas przez diabelski kocioł czarnej dżungli. Mambazi! Nasze nosy także cieszyłyby się chętnie czystym powietrzem!

— Byliśmy za słabi, aby walczyć z gwałtownością przyływu. On rzuciłby nas między

niebezpieczne ławice piaskowe ujścia Gangesu.

— Masz na wszystko odpowiedź! — odparł von Denhoff z komicznym oburzeniem. — A teraz wracamy na dawną drogę!

Murpunkci zwrócił się znów w kierunku północno-zachodnim i w popołudniowej porze wpłynął do kanału, który łączy zachodnie ramię Mangalu z Goasabą.

Po jakimś czasie nasi podróżnicy wyszli na brzeg i tym razem noc spędzili wśród zarośli bambusowych.

Nazajutrz rano, ledwie wypłynęli, gdy nagle w niewielkiej odległości od nich, po stronie Radzmangalu, rozległ się przeraźliwy dźwięk mosiężnej trąby, zwanej ramsing. Natychmiast w pobliżu odpowiedziała na ten sygnał druga trąba. Trzecia, o ledwo słyszalnym dźwięku, płynącym aż gdzieś zza horyzontu, zakończyła ten koncert.

— Hola! — zawołał zdumiony baron. — Cóż to za szaleni strażnicy nocni? Czy oni chcą wśród jasnego dnia obudzić ze snu nieistniejących ludzi?

— To sygnał ostrzegawczy. Thugów! — rzekł Mambazi. — Spostrzegli nas!

— Co?! — spytał von Denhoff. — Sądysz może, że oni mają stałą straż i za pomocą trąb porozumiewają się, gdy pojawia się obcy?

— Ależ to naturalne! — wtrącił doktor. — To się samo przez się rozumie! Czy i ty nie masz portiera przy bramie zamku?

— Tak! tak! — rzekł von Denhoff. — Logiczne, ale w takim razie należało wypłynąć na zwiady w nocy!

— Ależ w nocy, wśród ciemności, żaden człowiek nie zauważy bananowca! — rzekł Doktor. — Czy wyziewy bagien do tego stopnia podziały na twój mózg, że pleciesz same głupstwa?

— Masz nieomal słusność — odparł von Denhoff, potrząsając głową. — Lecz teraz weź w rękę lunetę i przyglądnij się zaroślom. Może będziesz mógł odkryć tych drabów, którzy urządzą koncerty pod gołym niebem bez policyjnego zezwolenia. Zapłacę im za bilet wstępu ołowianymi pieniędzmi!

Płynęli dalej powoli, a doktor badał (można powiedzieć) każdy bambus, lecz nie odkrył po nich ani śladu.

Gdy w kilka godzin później ukazał się północno — zachodni róg Radzmangalu, Mambazi nagle podniósł dłoń i zawołał, wskazując lewe wybrzeże:

— Banan!

Jego towarzysze zwrócili twarze w tym kierunku. Istotnie! W pewnym oddaleniu, nad pasmo nadbrzeżnej dżungli wyrastało olbrzymie drzewo, o wiele bardziej wyniosłe niż wszystkie inne

rośliny.

— Nie powinniśmy długo tu czekać — upomniał Mambazi — bo przedwcześnie obudzimy podejrzenie, że znamy tajemnicę drzewa!

— Tak jest! — zgodził się von Denhoff. — Będziemy tutaj siedzieć i rozdziawiać gębę, jak chłopci na widok budy jarmarcznej? Naprzód!

Łódź popłynęła dalej i niebawem osiągnęła miejsce, gdzie kanał łączy się Goasabą.

Mambazi bez wahania skierował murpunka ku północy.

— Co uczynimy tam w górze? — spytał baron. — Czóło z naszymi służącymi ma przecież nadpłynąć z południa!

— Thugowie muszą na razie sądzić, że my nic nie wiemy o ich kryjówce — odparł Mahratta. — W nocy popłyniemy na południe, ukryjemy się w zaroślach nadbrzeżnych i schwytemy łódź.

Tak też zrobili. Zaczekali w ukryciu aż nadeszła noc, po czym pod osłoną ciemności popłynęli w dół wzdłuż wybrzeży Radzmangal. Zdawało się, że Thugowie niczego nie zauważyli, a przynajmniej ramsing nie odezwał się wcale.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, ukryli się wśród niskich bambusowych zarośli.

Następny dzień minął spokojnie, nikt się nie pokazał na rzece.

— Ja się nie dziwię — rzekł Mambazi, gdy lord zaczął tracić cierpliwość. Oni jeszcze nie mogą tu być. Spotkaliśmy ich przedwczoraj rano, wieczorem osiągnęli otwarte morze, wczoraj musieli pokonać nadbrzeżne prądy, które zwłaszcza koło ujścia Goasaby są bardzo silne, a dziś płyną pod prąd, wciąż w górę rzeki. Nie mogą przybyć tu prędzej niż jutro przed południem.

— Gdyby mój biedny Bob nie był z nimi — jęknął boleśnie lord — mogliby nawet zjawić się dopiero na przyszłe Boże Narodzenie. Lecz muszę odzyskać mego biednego Boba, bo inaczej ...

Uderzył zaciśniętą pięścią w ster łodzi z taką siłą, że czóło aż zatrzeszczało.

— Jeśli pan rozbije murpunka, kochany lordzie — rzekł von Denhoff to nie zobaczy pan swego Boba nigdy! Proszę o tym pamiętać!

Gdy zapadły ciemności, nasi przyjaciele odważyli się znowu wypłynąć i płynęli tak aż do północy, aż Mambazi kazał się zatrzymać. Mając doskonały słuch usłyszał w niewielkim oddaleniu plusk wody.

Wszyscy nadstawili uszu.

— Oni mogą być w odległości pięciuset lub sześciuset metrów — szepnął von Denhoff.

— Sądzi pan, że tam jest mój Bob? — spytał lord Artur przyciszonym głosem, w którym czuć było silne wzburzenie.

— Oczywiście! — szepnął baron. — Któż inny mógłby tędy płynąć, jeśli nie nasi Thugowie? Teraz zachowujmy się cicho, bo nas przedwcześnie zauważą — chciał jeszcze dodać, lecz już było za późno.

Lord skoczył, przyłożył dłonie do ust i krzyknął potężnym głosem:

— Hallo, Bob!

— Aj, aj, milord! — rozległo się w oddali słabe wołanie.

Dały się słyszeć zmieszane głosy. Równocześnie na wybrzeżu zaczęły grać dwa ramsingi. Jedna trąba grała w pobliżu olbrzymiego bananu, druga zaś w południowej stronie.

— Naprzód, choćby wiosła miały pęknąć! — wrzasnął rozgniewany von Denhoff. — Lordzie Arturze, to głupstwo powinieneś pan kazać opatentować!

Łódź przyspieszyła. Zanim Thugowie zdążyli zawrócić biali zbliżyli się do nich na odległość trzystu metrów. Lecz to była jedyna korzyść, bo liczniejsza załoga uzyskała wnet przewagę — i ścigani poczęli się oddalać.

Górny ramsing umilkł a dolny ciągle grał.

— Stój! — krzyknął von Denhoff, skoro osiągnął mniej więcej jednakową wysokość tamtego. — Nie dogonimy ich! Lecz jeśli ramsing podaje im kierunek, gdzie mają wylądować, w takim razie my też musimy to usłyszeć! Mambazi?

— Tak — odparł Mahratta — czekajmy!

Przypuszczenie barona potwierdziło się. Przez krótką chwilę można było słyszeć szybkie uderzenia wiosła, następnie rozległy się słowa niezrozumiałej komendy i zaraz szelest, jak gdyby jakiś ciężki przedmiot przesuwiał się w suchych szuwarach.

Żałosne dźwięki trąby brzmiały jeszcze przez minutę, następnie urwały się znienacka, a grobowa cisza zapanowała w dżungli i na rzece.

— Zgoda — szepnął von Denhoff. — Dżungla ich pochłonęła. Teraz musimy posuwać się o ile możliwości jak najostrożniej tak, aby jutro o świcie można było nastąpić im na pięty.

— Ja zaproponowałbym — wtrącił doktor — byśmy popłynęli do tamtego wybrzeża i tam rozważyli wszelkie możliwości.

— Tak będzie lepiej — rzekł Mambazi. — Oni muszą sądzić, że nie zauważyliśmy ich zniknięcia i że wciąż jeszcze szukamy ich na wodzie.

— Dobrze! Naprzód — krzyknął von Denhoff. Mambazi skierował łódź na południe i nasi podróżnicy płynęli jakiś czas wzdłuż wybrzeży, tak, że szpiegowie mogli słyszeć ruchy ich wiosł. Następnie czółno zakreśliło wielki łuk w kierunku prawej strony Goasaby, i zatrzymało się w małej zatoce.

— Dam wam dobrą radę — rzekł doktor. — Możecie sami osądzić, czy ją przyjąć, czy też nie.

— Słuchamy! — rzekł von Denhoff.

Przede wszystkim sędzę, że nie należy szukać miejsca gdzie Thugowie zniknęli w dżungli z naszymi służącymi, ani też tam rano wychodzić na ląd.

— A to dlaczego? — spytał v. Denhoff.

— Bo myślę, że jeśli Thugowie nie popłynęli dalej, to trzymają potrójnie czujną straż. Skoro tylko wychylimy głowy z dżungli, te przekłete trąby zaczną na nowo ryczeć i całą bandę będziemy mieli na karku w przeciągu pięciu minut!

— Dzięki za to pouczenie — rzekł baron — ale ja to wiem i tak doskonale.

— I co?

— Tak, czy owak musimy znaleźć kryjówkę Thugów, dlatego też musimy iść ich śladem!

— Nie wolno nam tego uczynić! Takim postępowaniem rozdrażnimy całe gniazdo os!

— No i co z tego? Wszak mamy dziesięć razy lepszą broń, nasz dzielny lord strzela szybciej niż karabin maszynowy, a i ty czasem trafiasz w bramę stodoły. Nic nam nie zaszkodzą ich stryczki!

— W razie ostateczności chwycą z pewnością za łuki i strzały, a może nawet za strzelby...

— Co na mogą zrobić ich przedpotopowe strzelby!

— W każdym razie ich kule trafiają w cel!

— Widzę, że boisz się marnej garstki drabów...

— Garstki? Założę się, że w tym ukryciu znajduje się dwustu do trzystu Thugów! Lecz gdyby nawet tylko pięćdziesięciu uderzyło na nas.

Tyłu jest z pewnością — rzekł von Denhoff.

— Nieprawdaż? Wyobraź sobie, że ta banda uderza znienacka na nas ze wszystkich stron! W takim wypadku cały nasz arsenał nie zda się na nic! A zwłaszcza jeśli to stanie się w nocy...

— Co więc mamy czynić? — spytał baron.

— Musimy nasze sługi uwolnić podstępem i w tym celu zejść potajemnie przez wydrążony banan...

— Ależ do niego nie możemy się zbliżyć, bo ci przekłęci muzykanci natychmiast rozpoczną swój piekielny koncert!

— W takim razie musimy ich wyciąć w pień nagle i niespodziewanie! To jest możliwe tylko wtedy jeśli Thugowie nie będą przeczuwali naszej obecności. W przeciwnym razie ukryją w jakimś zakątku jeńców, a gdybyśmy uderzyli na ich zbójce gniazdo, to znajdziemy tylko najwyżej ich zwłoki.

— Do diabła, lecz w jaki sposób osiągniemy nasz cel? Przyznaję, że brak mi już konceptu...

— Ja mam chyba dobry! — rzekł doktor. — Przede wszystkim przypuszczam, że we wnętrzu Radżmangalu znajdują się lesiste wzgórza a miejscami także uprawne pola, które mieszkańcom dostarczają pożywienia. Musi się także znajdować woda do picia, bo inaczej tak znaczna ludź nie mogłaby tam mieszkać. Te pola leżą zapewne w pobliżu starej świątyni, może nawet dokoła bananowca. Tam nie może być ani dżungli, ani bagien, ani nieprzeniknionej puszczy — co najwyżej niskie zarośla. W tych zaroślach możemy się łatwo ukryć, a potem pod osłoną ciemności przyczołgać się do bananowca.

— Ale w jakież sposób się tam dostaniemy — zawołał baron. — Czy to możliwe?

— Możliwe! — odparł doktor. — Ta sprawa nie jest tak trudna jak się na oko wydaje, nieprawda Mambazi?

— Ścieżki strażników — rzekł krótko Mahratta.

— Racja! Ścieżki strażników! — powtórzył doktor. — W takim razie proponuję, abyśmy wysiedli na ląd koło ostatniego strażnika i od tego punktu rozpoczęli naszą wyprawę! — zawołał von Denhoff.

— Którą ścieżkę strażników masz na myśli? — spytał doktor.

— Tę, która od trębacza prowadzi do świątyni, uważam za zbyt niebezpieczną. Myślałem o innej.

— O innej? Może o tej, która od świątyni prowadzi do trębacza? — szydził baron.

— Proszę cię, daj spokój kpinom — odparł doktor — żarty udają ci się rzadko i tylko wówczas, gdy twoi słuchacze są wyjątkowo usposobieni do śmiechu. Mam na myśli te ścieżki, które łączą strażników ze sobą.

— Co?! — krzyknął zdumiony von Denhoff — Sądzisz, że dokoła...

— Tak, dokoła! — rzekł doktor. — Topografię Radżmangalu, to jest jego północnej części, przedstawiam sobie mniej więcej w kształcie koła. Świątynia środkiem tworzy piastę czyli oś całości. Z tego punktu wybiega przez dżunglę, na kształt szprych, pewna ilość ścieżek do strażników, a ci są znów ze sobą połączeni. To tworzy mniej więcej koło, nieregularne oczywiście, ale w każdym razie koło. Sądzę przeto, że jeśli się posuniemy w gęstwinę nadbrzeżną, natkniemy się na obwód koła, na

ścieżkę, która wzdłuż wybrzeża ciągnie się od strażnika do strażnika...

— Więc Thugowie musieliby w ten sposób wyrąbać w bambusowych gęstwinach labirynt ścieżek, ciągnących się kilometrami?

— Dlaczego nie? Czasu im przecież nie brakło, ani dobrej woli. Prócz tego dzięki labiryntowi mogą z łatwością zniknąć bez śladu, w razie, gdyby rząd chciał wysledzić ich główne gniazdo, to jest świątynię.

— Hm — mruknął von Denhoff zastanawiając się nad słowami doktora. — To wszystko możliwe. Pytanie tylko, czy będziemy mogli przedrzeć się przez nadbrzeżną dżunglę nie spostrzeżeni przez trębaczy?

— Mógłbym prawie przysiąc, że nas nie zauważą.

— Tak — zawołał zdumiony baron. — Jesteś może generałem-inspektorem tych muzykantów, że tak dokładnie znasz ich rozmieszczenie?

— Nie — odparł doktor — ale posłuchaj mnie — gdy lord Artur wpadł na roztropny pomysł zawołania Boba...

— O, to było istotnie bardzo roztropne! — zgodził się lord.

— Wówczas odezwały się dwie trąby na punktach, oddalonych od siebie o mniej więcej cztery kilometry. To byli prawdopodobnie dwaj ostatni strażnicy po tej stronie, górny na stałym i twardym lądzie, dolny zaś wśród dżungli, jako najdalsze ogniwo łańcucha strażników. Z dalszego punktu żaden człowiek nie może zbliżyć się do świątyni. Jeśli więc między tymi dwoma strażnikami prześlizgniemy się przez zarośla nadbrzeżne, to oni nie mogą nas ani słyszeć, ani też spostrzec w gęstwinie.

— Chcesz zatem w nocy dostać się na wybrzeże, a jutro iść przez zarośla, aż do ścieżki?

— Tak!

— A jeśli między tymi dwoma trębaczami stoją inni i to tam właśnie, gdzie pragniemy wydostać się na ląd?

— Niemożliwe! Oni z pewnością także odezwaliby się!

— Racja! Nie myślałem o tym. A gdy znajdziemy ścieżkę, co dalej?

— Uprzedzasz wypadki! Przede wszystkim musimy ustalić: kiedy, gdzie i jak? — a potem możemy rozstrzygnąć inne sprawy. W każdym razie chodzi o dostanie się do bananowca i to wszystko co w obecnym momencie można powiedzieć. Czy masz jeszcze coś do dodania?

— Na razie nie.

— W takim razie możemy wyruszyć.

— Stop! — zawołał nagle lord Artur i zwrócił się do barona. — Chciałbym pana poprosić o jedną drobną przysługę!

— Służę — o cóż chodzi?

— Daj mi pan w gębę! — poprosił lord grobowym tonem.

— Co? — spytał zdumiony baron.

— Proszę o mocny policzek — rzekł lord — za tę głupotę, którą niebaczenie popełniłem. Zasłużyłem nań w zupełności i nie pocieszę się tak długo, aż za tę głupotę rzetelnie zapłacę! Zgadza się pan?

— Kochany lordzie — odparł von Denhoff, kryjąc wesoły uśmiech pod maską powagi. — Mam dla mego przyjaciela, lorda Connaughtona zbyt wiele szacunku, bym mógł panu pozwolić w ten sposób mówić o sobie. Co z tego, że on dał się ponieść swej porywczoci? To świadczy tylko o śmiałym sercu, a pan przy stu innych sposobnościach dowiódł, że umie postępować jak należy!

— Tak pan sądzi? — spytał lord Artur, nie do końca przekonany.

— Oczywiście! Daję słowo, że tak jest istotnie, i nie myślmy już o tym więcej!

— Dobrze, spróbuję. Lecz biada tym czarnym złodziejom — dodał Anglik, zaciskając gniewnie pięści — jeśli wpadną w moje ręce! Muszą dać satysfakcję za to, że lord Connaughton był zmuszony prosić o policzek!

Z taką siłą chwycił za wiosło, jakby jednym uderzeniem chciał pchnąć łódź aż do świętego drzewa, a może jeszcze i trzy mile dalej.

Rozdział VII.

W sercu czarnej dżungli.

Gdy na niebie ukazał się srebrny sierp księżyca, nasi podróżnicy osiągnęli już cienisty brzeg Radżmangalu.

Wkrótce znaleźli miejsce, gdzie zarośla były mniej gęste. Ukryli się i czekali świtu, nie myśląc krwiożerczych moskitach, które ich tłumnie opadły.

Gdy zaświtał ranek, przystąpili do wykonania planu.

Początkowo posuwali się bez trudu. Trzciny dawały się łatwo odchyłać na bok, więc łódź mogła przepływać między nimi bez pomocy noża.

Lecz dwadzieścia metrów dalej zaczął się gęsty bambusowy las. O pokonaniu go nie mogło być mowy. Ale i wysiąść z łodzi nasi podróżnicy nie mogli, gdyż natychmiast wpadliby po szyję w bagno.

Wzięto wielkie nożyce i poczęto nimi torować drogę wśród gęstwiny bambusowej. W ten sposób powstała wąska dróżka, przez którą wspólnymi siłami, posunęli łódź nieco naprzód. Lecz i to się skończyło. Bambusy stawały się coraz grubsze, i tygodnie całe musiałyby minąć, zanim zdołaliby łódź przesunąć o sto metrów dalej.

Lord parsknął, jak młody nosorożec, który po raz pierwszy w życiu irytuje się dlatego, że istnieje. Doktor tarł czoło i burzył fryzurę, chcąc koniecznie wynaleźć dobry i zbawienny pomysł. Jeden tylko von Denhoff gwizdał po cichu przez zęby. Obaj sipajowie martwo spoglądali przed siebie, z istic indyjską obojętnością i pilnie żuli betel.

Tak minęła długa chwila. Nagle Mahratta zerwał się z miejsca.

— Musi być jakiś sposób! — rzekł, rozglądając się bystrym wzrokiem dokoła.

Skoczył w gęstwiny i zniknął. Wrócił po pół godzinie.

— Tam z przodu — rzekł — może sto metrów przed nami jest ścieżka, której szukamy. Poszedłem kawałek w lewo i w prawo, aby się przekonać, czy jesteśmy sami. Pusto tam i cicho. Tam trzeba iść.

Jeszcze raz rozglądnął się dokoła, następnie wskazał jeden bambusowy pień grubości uda męskiego.

— Zetnijcie ten bambus! — rozkazał sipajom.

Rozkaz wykonano natychmiast przy pomocy siekiery i piły i wyniosły szczyt z donośnym szelestem osunął się w zarośla.

— Teraz odetnijcie dwa kawałki długości psa! — rozkazał Mahratta.

Rozkaz spełniono. Mambazi oba kawałki drzewa związał na końcach sznurami, wrzucił do wody i dla próby stanął na nich. Ponieważ pnie bambusowe są puste między węzłami, przeto działają, jak komory powietrzne pływającego doku. Oba kawałki drewna trzymały Mahrattę nad wodą, nie zanurzając się całkowicie.

— Teraz dać psa tutaj! — rzekł Mambazi, wskazując do łodzi. Zwierzę nie miało wielkiego zaufania do tej miniaturowej tratwy, lecz zachęcone przez swego pana, zajęło na niej miejsce i położyło się posłusznie z głową między dwiema przednimi łapami. Von Denhoff nie wahał się aż po pierś zanurzyć się w bagno, byle tylko swemu ulubieńcowi zapewnić pewne i wygodne położenie.

Następnie wszyscy podróżnicy zaczęli się przygotowywać do dalszej drogi. Zarzucili karabiny na plecy, przygotowali zapasy amunicji, a Mambazi opasał się dwiema linami, które miały być pomocne we wdrapywaniu się na banan. Teraz mogło się zacząć przedzieranie się przez czarną dżunglę.

Nie było ono bardzo niebezpieczne, chociaż tu i ówdzie pękła gałąź, a ten, co ją przydeptał, aż po kolana zanurzał się w szlamie, to jednak nie pociągało to za sobą tragicznych skutków. Tak samo nasi podróżnicy mało troszczyli się o ubrania rozdierane kolcami w gęstwinie, a i skóra niejednego przy tym ucierpiała. Najgorszy był upał! Ten przerażający, nieludzki skwar i ten straszny zaduch pod liściastym dachem!

Na czele posuwał się Mambazi, który wyszukiwał najlepsze przejścia, a zarazem śledził wrogów. Zaraz za nim szli obaj sipajowie, którzy za pomocą wielkich nożyc torowali drogę w gęstwinie dla tratwy Nera. Następnie szedł lord, dźwigający węzełek z narzędziami, potem doktor, a na końcu von Denhoff, który stale trzymał się na odległość ramienia od swego ulubionego psa i uspokajał go pieszczotliwymi słowami.

W ten sposób wszyscy podróżnicy niezmordowanie przedzierali się przez dżunglę i około południa zbliżyli się do szukanej ścieżyny na odległość czterech lub pięciu metrów. Tutaj Mambazi ostrzegającym gestem przyłożył palec do ust i znów zniknął na kilka minut. Na razie nic nie rusza się na ścieżce — rzekł po powrocie. — Trzeba na nią wejść, nie pozostawiając najmniejszego śladu w gęstwinie.

Zastanowił się chwilę, po czym zwrócił do barona:

— Ty na razie pozostaniesz tutaj wraz z psem. Inni pójdą ze mną.

Znów stanął na czele kolumny i pokazywał innym, w jaki sposób należy przeciskać się przez gąszcz i gdzie stawiać stopy, aby nie złamać gałęzi. Tak dotarli do upragnionej ścieżki.

Thugowie poobcinali tutaj grube pnie, które położyli wszerz na ziemi. W ten sposób przez cały obszar bagien biegł pomost, szerokości metra przypominający historyczne budowle na palach a pod

względem trwałości nie ustępujący nawet żelaznym kładkom. Wprawdzie elastyczne bambusy ugięły się pod stopami idących i trzeszczały niepokojąco, lecz ci co tę osobliwą ścieżkę wybudowali, osiągnęli swój cel: mogli szybko poruszać się po obszarach czarnej dżungli i w każdej sekundzie zniknąć w gęstwinie, skoro tylko zaszła potrzeba. Była to olbrzymia lisia jama o tysiącach tajemniczych kryjówek.

Mambazi wysłał lorda z jednym sipajem na prawo, a doktora z drugim na lewo.

— Idźcie na odległość około trzystu kroków — rzekł im — następnie zatrzymajcie się i nadstawcie uszu. Skoro się ktoś zbliży, skryjcie się w dżungli. Wszak znacie nawoływania argillaha (wielki i brzydki ptak, podobny do bociana) spytał żołnierzy.

Zapytani skinęli głowami.

— Dobrze. W takim razie to będzie znak ostrzegawczy dla innych. Tamci odeszli. Mahratta zaś wrócił do barona.

— Nie możemy teraz ścinać bambusów — rzekł Mambazi — bo powstaną luki, a gdy jakiś Thug przejdzie tędy, domyśli się wszystkiego.

— Lecz w jaki sposób przeprowadzimy psa?

— Pozostaw to mnie! — odparł Mambazi.

Mahratta wyszukał najodpowiedniejsze do przejścia miejsce wygiął pędy bambusowe w jedną i w drugą stronę, a von Denhoff tratwę z psem posunął nieco naprzód.

W ten sposób posuwali się krok za krokiem wśród niewypowiedzianych trudów, aż wreszcie Nero mógł wyskoczyć na ścieżkę.

— Jestem ogromnie spragniony! — rzekł baron.

— Gdyby tu było choć małe źródło świeżej wody!

— Mam nadzieję, że je znajdziemy — odparł Mahratta. — A teraz naprzód! Co człowiek musi wykonać, to może!

Zatarli ostatnie ślady przejścia w dżungli, a potem wszyscy podróżnicy uformowali kolumnę. Nero ruszył przodem, dwadzieścia kroków przed kolumną, jako straż przednia. Za nim szedł jego pan, który — ponieważ nie można było głośno wołać — dawał mu potrzebne znaki palcem. Następnie Mambazi, który miał objąć dowództwo, gdy tylko pies zauważy coś podejrzanego, dalej szedł doktor, lord i obaj żołnierze, którzy teraz nieśli pakunek z narzędziami.

Roztropny dog szedł ostrożnie, jak na polowaniu na kuropatwy, bez ustanku wietrząc nieprzyjaciela. Za nim posuwało się sześciu mężczyzn, tak cicho, jak tylko można było. Ponieważ jednak suche trzciny trzeszczały pod nogami idących, von Denhoff po kilku minutach odezwał się do Mahratty:

— Jeśli musimy przejść obok strażnika, to on nas usłyszy już na sto kroków mimo całej ostrożności. Co uczynimy? W jaki sposób zatkamy mu uszy?

Mahratta nic nie odpowiedział, tylko chwycił za głównię sztyletu, tkwiącego za pasem.

— Niech nas Bóg uchroni przed morderstwem! — mruknął doktor. — Oni są także ludźmi!

W ten sposób nasi podróżnicy posuwali się ścieżką dobre dwa kilometry — gdy nagle Nero zatrzymał się i oglądął się na swego pana, wymachując ogonem.

— Aha! coś się popsulo w państwie duńskim — szepnął von Denhoff i skinął na psa.

Mambazi oddał przyjaciołom wszelką swą broń, i począł z największą ostrożnością czołgać się na czworakach.

— Mambazi! ty jesteś jedynym naszym wybawieniem! — szepnął mu von Denhoff w ostatniej chwili.

— Precz z trwogą! — odparł Mahratta i szepnął baronowi do ucha kilka słów.

Ten skinął potakująco głową i uspokojony czekał na powrót brunatnoskórego przyjaciela.

Mambazi był nieobecny dłużej, niż pół godziny. Zjawił się idąc swobodnie, bez zachowywania jakichkolwiek środków ostrożności. Na jego zazwyczaj poważnym obliczu jaśniał uśmiech zadowolenia.

— Zaraz za pierwszym zakrętem — oznajmił — zaczyna się twardy grunt, a kilka łokci dalej, jak wczoraj nasz przyjaciel przepowiedział, krzyżuje się z naszą ścieżką inna, która idzie z prawej strony, bez wątpienia ze świątyni. Poszedłem tą ścieżyną. Około trzysta kroków dalej kończy się ona małą platformą, wplecioną wysoko między wierzchołkami dwóch ogromnych bananowców. Tam siedzi jakiś Thug, który gorliwie obserwuje rzekę.

— Czy on mógłby nas usłyszeć, gdybyśmy chcieli przemknąć się w pobliżu? — spytał doktor.

— Myślałem nad tym przez dłuższy czas, a ponieważ nie mogłem zdecydowanie odpowiedzieć „nie”, przeto wpadłem na inny pomysł — odparł Mambazi.

— Jaki?

— Cofnąłem się troszeczkę, tak, że mnie już nie można było dojrzeć, a potem naśladowałem ziewanie zgłodniałego tygrysa. Lekki okrzyk trwogi i gwałtowny trzask zdradził, że ten człowiek złudzenie wziął za prawdę i w zaroślach się ukrył. Tam będzie z pewnością siedział, nie ruszając się, dopóki nie przyjdzie zmiana straży.

Możemy więc bez przeszkody iść naprzód. Choćby bowiem on usłyszał odgłos naszych kroków, będzie sądził, że to król dżungli i uczyni wszystko byle tylko nie zdradzić swej obecności.

Wysłano Nera przodem, a skoro nasi podróżnicy osiągnęli stały grunt, mogli szybciej iść naprzód, niż dotychczas. Miękka, czarna ziemia tłumiła wszelki szelest kroków.

— W którą stronę się zwrócimy? — spytał Mambazi. — Na prawo, do wnętrza, gdzie znajdziemy wodę do picia, czy dalej, wzdłuż wybrzeża, w kierunku wydrążonego bananowca?

— A ty co radzisz? — odparł von Denhoff.

— Radzę to ostatnie. Na ścieżce do świątyni w każdej chwili możemy natknąć się na ludzi, którzy idą zmienić straż, a w takim wypadku byłoby dla nas niemożliwe dość szybko uskoczyć w bok i ukryć się po obu stronach w zaroślach.

— To nas może i tutaj spotkać — rzekł von Denhoff.

— Lecz prawdopodobieństwo jest daleko mniejsze. W dodatku musimy dojść do pustego bananowca...

— Od świątyni wiedzie także z pewnością droga.

— Lecz za dnia nie możemy na niej nic szukać, a o północy musimy się znajdować pod spodem w jaskini ofiar.

— Co tam, w razie konieczności zejdziemy w głąb przez samą świątynię.

— Lecz tam znajduje się silna straż, gdy tymczasem koło bananowca, jak wiemy, jest tylko dwóch strażników.

— A świeża woda? Jeśli Nero nie otrzyma zaraz świeżej wody, zginie niechybnie. Patrz, jak wygląda i jaki jest wycieńczony!

— Do jutra jeszcze wytrzyma, dziś w nocy jeszcze coś znajdziemy.

— Może jeszcze wcześniej — wtrącił doktor.

— Jak to? — spytał von Denhoff. — Sądysz, że ten labirynt jest urządzony na modłę Wersalu, gdzie co pięćdziesiąt kroków tryska fontanna?

— Nie. Lecz jeśli we wnętrzu znajduje się woda do picia, to przecież musi gdzieś tryskać. A może sądzisz, że Thugowie wypijają ją sami do ostatniej kropli, byle tylko nie mieszała się z brudnymi falami rzeki?

— O nie, bo w takim wypadku brzuchy wzdęłyby się im, jak balony, a oni, przeciwnie są chudzi, jak szkielety. Nero, naprzód!

Dog pobiegł wolno naprzód, a panowie za nim, jeden za drugim.

Ścieżka biegła ciągle jednostajnie wśród dżungli, która rozpościerała dokoła wilgotne, ponure

cienie.

Po upływie kwadransa Nero zatrzymał się nagle, wciągnął chciwie powietrze w nozdrza, podbiegł do swego pana, radośnie wymachując ogonem.

— Czego on może chcieć? — spytał von Denhoff. — Można by sądzić, że zwietrzył sklep masarski ze zwojami kielbas kilometrowej długości.

— Lub świeżą wodę — rzekł doktor. — Pozwól mu swobodnie biegać.

— Dobrze — odparł von Denhoff i dał znak psu, że może iść, dokąd pragnie.

Dog w wesołych podskokach pobiegł naprzód a panowie szybkim krokiem ruszyli za nim.

Po upływie pięciu minut dog wrócił zupełnie zmieniony. Sierść była zmoczona, oczy świeciły się radośnie, a ogon pięknym łukiem wznosił się w górę.

— Dzięki Bogu, Nero przyszedł do siebie! — rzekł von Denhoff, uradowany tym widokiem. — Wygląda jak odrodzony! To dobry znak na przyszłość. A teraz naprzód! Także i nam drogocenny i upragniony napój użyczy świeżych sił!

Pies pobiegł naprzód, aby na nowo się orzeźwić świeżą wodą, a nasi podróżnicy ruszyli jego śladem.

Wkrótce dotarli do małego zagłębienia, pełnego wody. Dog kąpał się w niej z rozkoszą.

— Tutaj wprawdzie pies może pić — rzekł doktor — lecz dla człowieka ta woda jest zbyt mętna.

Może będziemy mogli między bambusami wdrzeć się do wnętrza wyspy; krótka zwłoka nam nie zaszkodzi.

Po tych słowach spojrzął na Mahrattę, który milcząco skinął głową.

Na szczęście bambusy były w tym miejscu trochę rzadsze. Nasi podróżnicy z niewielkim trudem posuwali się naprzód, idąc biegiem wąskiego strumyczka, a po upływie pół godziny doszli do miejsca, gdzie strumyczek się rozszerzał, tworząc mały stawek.

W najgłębszym miejscu mógł mieć kilka stóp głębokości, mimo to na dnie świecił biały piasek poprzez jasną jak kryształ, przezroczystą wodę.

Nasi podróżnicy w jednej sekundzie rzucili się na ziemię i poczęli pić chciwie orzeźwiająca wodę. Tylko Mambazi poszedł kilka kroków dalej i obejrzał się wkoło, z palcem na cynglu, szukając ukrytych wrogów.

— Brawo, Mambazi! — zawołał von Denhoff, podnosząc głowę z nad powierzchni wody. — Ty jeden jesteś roztropny, a my prawdziwe półgłówki! Gdyby tam za gałęziami leżał tuzin Thugów, bez ciebie schwytałiby nas na swoje pętle, jak wróble!

Nasi podróżnicy napełnili swoje manierki świeżą wodą i zawrócili. Gdy dotarli do ścieżki skierowali się na północ.

Wieczorem po prawej stronie ukazała się znów ścieżka, która na lewo nie miała żadnego przedłużenia. Tutaj Mambazi zatrzymał się.

— Zdaje mi się, że dotarliśmy do wysokości bananowca, więc musimy zwrócić się ku wnętrzu — rzekł Mahratta, wskazując tę dróżkę.

— Jeśli tak ci się zdaje, masz widocznie słusność — rzekł von Denhoff. — Czemu zwlekamy?

Już po chwili natknęli na nową ścieżkę, która zdawała się bieć z pierwszą równolegle wzdłuż wybrzeża. Lecz nie szli nią długo, gdy nagle zawróciła ku wschodowi;

Mahratta zatrzymał się na nowo i znacząco spojrzął na uczonego.

— Istotnie — szepnął swoim trzem przyjaciółom — tutaj na prawo poza gęstwiną musi leżeć polana, na której stoi pagoda lub banan. Ścieżka biegnie dokoła niej i łączy się z nią za pomocą ukrytych przejść. Szukajmy za nimi!

Chociaż tutaj pod liściastym dachem panowała prawie zupełna ciemność, przenikliwe oczy Mahratty nie szukały długo. Niebawem w pewnym miejscu odsunął gałęzie i otworzył dostęp do zamkniętej uliczki wiodącej w południowym kierunku, długości około dwudziestu kroków. Poprzez listowie, zamykające jej ujście, przeświecało z góry jasne wieczorne niebo.

Mambazi rozsunął ostrożnie gałęzie i wyjrzał.

— Banan! — rzekł, cofnąwszy się. — Lecz teraz cicho, ani słowa! Dopiero o zmierzchu, w półmroku, możemy ośmielić się zbadać to miejsce!

Gdy zapadł wieczór i zarysy wszystkich przedmiotów poczęły się zlewać Mambazi skinął na barona i pokazał mu małe okienko wśród liści, przez które można było wygodnie obserwować całą połknę.

Była ona okrągła, jak koło i mogła mieć dwa tysiące kroków obwodu. Porastała ją miękka trawa. Na środku wznosił się potężny, tajemniczy banan, w którego pniu ukrywało się wejście do podziemnej świątyni bogini Bhawani.

Rozdział VIII.

Wydrążony banan.

Von Denhoff nie mógł oderwać oczu od olbrzymiego drzewa. Po chwili Mambazi pociągnął go lekko za poję surduta, trzeba było bowiem pomyśleć o posuwaniu się naprzód.

Von Denhoff odwrócił się zbyt szybkim ruchem, i natknął na pień bambusowy, który głośno zatrzeszczał; szczyt jego zachwiał się gwałtownie. Jeśli na zewnątrz byli strażnicy, to cały ich — plan mógł być zniweczony wskutek tej nieostrożności.

Mambazi natychmiast zbliżył się do otworu między liśćmi i wyrżał. Istotnie, w ostatnich blaskach gasnącego dnia można było rozróżnić głowę, która wystawała z korzeni drzewa i ciekawie obserwowała miejsce, gdzie jakaś istota mąciła spokojną samotność zacisznego ustronia. Czy ten człowiek się zbliży? Lub może jego podejrzliwość zniknie, gdy wszystko będzie spokojne?

Mambazi chciał dać znak innym, aby zachowywali najgłębszą ciszę, gdy nagle jeden ze sipajów nastąpił na gałąź, która pękła z głośnym trzaskiem. Stało się nieszczęście!

Thug gwizdnął, a na ten znak zjawiło się dwóch innych z dzidami w rękę. Wszyscy trzej zbliżyli się w nieco pochylonej postawie. Jeśli się ich dopuści do naszych podróżników, to odkrycie jest nieuniknione, a wybawienie obu służących wprost niemożliwe. Lecz jaki na to sposób?

Mambazi, jak zwykle, uratował sytuację. Zamruczał głośno, a potem ziewnął, jak rozszrożony tygrys. Następnie podniósł doga w górę, między najbliższe gałęzie.

Skutek był natychmiastowy. Trzej strażnicy usłyszeli tylko dobrze im znany, straszliwy pomruk, spostrzegli żółte futro, wyłaniające się z mroków dżungli, lecz nie przypatrywali się temu zjawisku długo.

— O Bhawani, Dusicielko! — krzyknął jeden i uciekł tak szybko, jak gdyby ziemia paliła jego stopy.

— O wielki Sziwo, Pożeraczu! — jęknął drugi i poszedł za przykładem pierwszego.

— O Parwati, Dusicielu! — zakwicział trzeci.

Ten był najbardziej przerażony ze wszystkich. Oszczep wypadł mu z dłoni, a piersiom brakło tchu. Po chwili jednak odzyskał siły, i pomknął naprzód z taką szybkością, że prześcignął w biegu tamtych dwóch, zanim zdążyli dopaść do drugiego brzegu polany.

— Chwała Bogu! — rzekł von Denhoff, ścierając sobie pot z czoła. — Mambazi, ty zasługujesz na najwyższe odznaczenie! Bez ciebie bylibyśmy niechybnie zginęli, a mój biedny Filip i Bob lorda Artura dziś w nocy przenieśliby się do swoich ojców w niebie! Przez całą sekundę drżałem

formalnie z trwogi, wyznają to otwarcie.

— *You are my brother!* — rzekł lord, obejmując Mahrattę ramionami. — Uratowałeś mego Boba, a to znaczy więcej niż moje życie!

Oczy Mahratty zabłysły dumą. Na sto lat raz tylko mogło się zdarzyć, że Anglik Hindusowi wyraził tak gorące uznanie.

— Nie mów tak, przyjacielu — odparł po chwili Mambazi. — Spełniłem tylko swój obowiązek.

Zaczekajcie tu. Muszę zbadać wejście do bananowca.

— Chcesz iść sam jeden? — spytał von Denhoff. — To może być bardzo niebezpieczne jeśli więcej szpiegów znajduje się poza pniami.

— Wcale nie! Pokazaliby się wraz z tamtymi. Miejsce jest puste i pozostanie takie aż do jutra rana. Wszystkich będzie trzymać w przyzwoitym oddaleniu obawa przed tygrysem.

Wyczołgał się z ukrycia na czworakach i wkrótce znikł pozostałym z oczu, gdyż ciemności rozpostarły się dokoła. Dopiero po długiej chwili wrócił Mahratta.

— Dotarłem do pnia, nie natknąwszy wcale na wroga — szepnął swoim przyjaciółom.

— Znalazłeś wejście? — spytał Von Denhoff.

— Oczywiście! Słaby odblask światła przenikał z wnętrza, więc nie musiałem długo czekać.

— Jak wygląda?

— Na wysokości człowieka wyrasta pierwsza wielka gałąź. Pień jest nacięty, co ułatwia wspinanie się. Mogłem to wyczuć rękami. Właśnie w miejscu, skąd wyrasta gałąź, otwiera się w pniu wielka dziupla, mająca łokieć szerokości i o połowę wyższa, tak, że z gałęzi można się tam z łatwością dostać. Prawdopodobnie Thugowie rozszerzyli ten otwór, gdyż ma dość regularną jajowatą formę...

— Dobrze. Lecz w jaki sposób wywabimy strażników, ukrytych w pniu?

— Mam sposób i na to. Spróbuj naśladować gwizd, za pomocą którego strażnik przywołał swoich towarzyszy! Ale po cichu, aby strażnicy nas nie usłyszeli zbyt wcześnie.

Von Denhoff naśladował ton sygnału, a Mahratta uznał, że modulacja jego była trafna.

— Bardzo dobrze! — rzekł. — A teraz słuchaj!

— Zaprowadzę cię w pobliże pnia. Ty się zatrzymasz, ja tymczasem wdrapię się na wielką gałąź i usiądę przy wejściu. W dziesięć minut później zagwizdasz sygnał Thugów, ale tylko półgłosem, aby się zdawało, że pochodzi z większej odległości. Strażnik wystawi głowę...

— A jeśli tego nie uczyni?

— W takim razie w inny sposób wzbudzę w nim zaciekawienie. Skoro usłyszycie krakanie kruka, będzie to znaczyło, że trzymam go za gardło. W tym wypadku zbliż się do mnie, ja ci oddam jeńca, a ty go zwiążesz. Wy zaś — Mambazi zwrócił się do doktora — weźcie teraz psa na smycz. Skoro rozlegnie się krakanie kruka, położycie sobie wzajemnie dłonie na barki, pies zaprowadzi was do swego pana. Skoro zaś wszyscy będziemy razem, będziemy mogli się naradzić, co dalej czynić. Podoba się wam ten plan?

— Wyśmienity! — rzekł baron, a inni byli tego samego zdania.

— A więc pójdźcie za mną! — rozkazał Mahratta. Odsunął gałęzie i wszyscy podróżnicy wyszli na polanę.

Tutaj usiedli razem na ziemi, aby ich nie można było zauważyć w razie, gdyby jakiś Thug przechodził obok. Mambazi ujął barona za dłoń i obaj ostrożnie poszli w kierunku świętego gaju.

Zbliżyli się do pnia i znaleźli się pod gęstą koroną liści. Ciemności panowały tutaj nieprzeniknione, lecz Mambazi orientował się doskonale i prowadził świetnie swego białego przyjaciela wśród płataniny pni i korzeni.

Na koniec lekki uścisk dłoni oznajmił von Denhoffowi, że należy się zatrzymać. Mambazi zniknął.

Baron czekał w miejscu bez ruchu i po jakimś czasie zagwizdał, jak Mahratta sobie życzył. Ten tymczasem bez szmeru wspiął się na gałąź i przykucnął przed otworem, aby wroga natychmiast obezwładnić.

Strażnik musiał z nastaniem ciemności wyglądać przez otwór w drzewie i nadśłuchiwać, czy nie rozlegną się jakieś podejrzone głosy wśród nocy; ponieważ jednak usłyszał sygnał swoich towarzyszy oznajmiający zbliżanie się domniemanego tygrysa, ukrył się w pniu głębiej, niż mu było wolno. Przycupnął w trwożnym oczekiwaniu, że „pożeracz” może zwęszyć pieczeń w drzewie i ukazać się w otworze, Oglądał się także poza siebie. W głębi podziemnego korytarza, przy ognisku, którego odbłask aż do niego dochodził, siedział jego towarzysz, w przyzwoitym oddaleniu i żuł betel, a może nawet spał. Chętnie zamieniłby się z nim!

Nagle usłyszał dobrze sobie znany gwizd. Co to mogło znaczyć?

Po chwilowym wahaniu, stłumiwszy w sobie trwogę, wychylił głowę przez otwór.

W pierwszym momencie oczy jego nie mogły niczego rozróżnić, gdyż były oślepienie światłem, bijącym z dołu. I nie starczyło mu czasu, by się .dokładniej rozejrzeć dokoła.

Dwoje rąk, nieubłaganych, jak stalowe obcęgi chwyciły go za gardło z taką siłą, że momentalnie brakło mu tchu. Zatrzepotał ramionami, nogami i stracił przytomność.

Mambazi wyciągnął strażnika z drzewa i położył go przed sobą na gałęzi. Następnie dał swemu przyjacielowi umówiony znak.

Musiał go dwukrotnie powtórzyć, zanim von Denhoff zdołał w ciemności po omacku się doń zbliżyć. Na koniec Mahratta poczuł go pod sobą, podał mu z góry jeńca, i zeskoczył na ziemię.

Już na górze skrępował Thuga starannie powrozami; teraz jeszcze trzeba mu było nałożyć knebel. W tym celu obaj użyli trawy i chusteczki barona, i poczęli oczekiwać zbliżenia się pozostałych towarzyszy.

Ci przybyli po upływie niedługiego czasu.

Mambazi pierwszy usłyszał ich ciche kroki i zwrócił na to uwagę swego towarzysza.

— Doktorze! — szepnął ten w ciemnościach.

— Jestem tu! Co słyszać? — odpowiedział zagadnięty również przyciszonym głosem.

— Spokojnie! — przerwał Mambazi. — Ja muszę przede wszystkim unieszkodliwić drugiego strażnika, czekajcie tu na niego.

— Pozwól mi iść ze sobą — prosił go von Denhoff — możesz potrzebować pomocy.

— Nie! — odparł Mahratta. — Dam sam jeden radę dziesięciu Thugom, lecz dwaj wywiadowcy łatwo mogą wywołać zbyt wiele hałasu.

Wspiął się na gałąź i zniknął w słabo oświetlonym otworze.

We wnętrzu drzewa była drewniana drabina, przy pomocy której można było wygodnie zejść na dół. Mniej więcej dziesięć stóp pod powierzchnią ziemi znajdował się ostatni dolny szczebel. Wąski korytarz biegł jeszcze może dwadzieścia kroków w dół, po czym rozwidłał się w lewo i w prawo.

Mambazi czołgał się tym lekko pochyłym korytarzem na brzuchu, jak wąż, a doszedłszy do końca, wysunął ostrożnie głowę poza brzeg ściany skalnej, gdyż stamtąd bił odblask i tam mógł siedzieć drugi strażnik.

Nie pomylił się. Kilka łokci dalej płonęło na ziemi niewielkie ognisko przy którym siedział na słomianej macie kościsty Hindus oparty plecami o ścianę podziemnego chodnika, tak, że lewą stroną zwrócony był do Mahratty. Patrzył przed siebie bezmyślnie a od czasu do czasu pluł w ogień sokiem betelu. Widać było, że nie spodziewa się wcale napadu. Skąd zresztą mógł się go spodziewać, jeśli towarzysz z góry nie dał mu żadnego sygnału?

Mambazi liczył na lenistwo i opieszałość strażnika.

Teraz pomyślał sobie, że szczęście sprzyja śmiałym. Bez szelestu podniósł się z ziemi, wyjął z zanadrza malutki kamyczek i szybko rzucił go ponad głowę strażnika w głąb korytarza. Kamyczek ze szmerem potoczył się dalej.

Thug ocknął się i spojrzał na to miejsce, skąd dochodził podejrzany głos.

Tych kilka sekund wystarczyło Mahrattcie. Bez najmniejszego szelestu, jak cień wysunął się z ukrycia i jak pantera przeskoczył ognisko. Thug, rażony potężnym ciosem, runął na ziemię. Krótka, gwałtowna walka, chrapliwy charkot, jak gdyby się ktoś dusił — strażnik został obezwładniony.

Mambazi związał go i zakneblował mu usta, tak jak pierwszemu, po czym zawlókł go aż do drabiny. Tutaj zostawił go na ziemi, sam zaś wspiał się po drabinie aż do otworu.

Co słyhać nowego? — spytał go szeptem von Denhoff, gdy ujrzał w ciemnościach głowę Mahratty.

— Wszystko dobrze! Niech się zbliżą sipajowie!

Obaj żołnierze wykonali rozkaz. Mambazi kazał im zejść na dół. Tutaj jeden z sipajów odpassał sznur od bioder i skrępował jeńcowi ramiona i pierś, a Mambazi z drugim końcem liny wyszedł po drabinie na górę, gdzie na gałęzi siedział von Denhoff.

— Ciągnij! — rzekł Mahratta, wręczając mu sznur. — ja będę popychał go z dołu.

— Kto chce tu się dostać, choć nie może chodzić?

— Drugi strażnik.

— Zrozumiano! — rzekł wesoło von Denhoff. — Prawdopodobnie nie jadł jeszcze nic na kolację, bo w przeciwnym razie ważyłby pół kilo więcej, a my jesteśmy już bardzo zmęczeni.

W pięć minut potem Thug leżał obok swego towarzysza pod otwartym niebem. Na rozkaz Mahratty odciągnięto ich nieco na bok i przywiązano do dwóch różnych pni. Skutkiem tego po obudzeniu nie mogli się zbliżyć do siebie ani też rozplatać węzłów.

— Teraz psa trzeba spuścić na dno! — odezwał się Mambazi.

— Bardzo pięknie, kochany przyjacielu — odparł baron — lecz powiedz mi łaskawie, w jaki sposób?

Jest on zbyt duży, by go można, jak pieska pokojowego wsadzić do kieszeni.

— Myślałem już nad tym, — rzekł Mambazi — jakoś to będzie!

Na jego polecenie trzej Europejczycy zdjęli surduty. Dwoma owinięto piersi i brzuch psa, trzecim przykryto grzbiet. Uczyniono to dlatego, aby sznury, przy pomocy których Nero miał być spuszczone na dno lochu, nie wpiły się w jego ciało.

Dzięki wspólnym wysiłkom udało się w końcu naszym podróżnikom wykonać to niełatwe zadanie. Gdy pies stanął na dnie lochu, wszyscy, a szczególnie Mambazi, byli śmiertelnie znużeni.

Mahratta zażądał wody, a gdy się napił, chciał natychmiast iść dalej. — Za żadną cenę! — odparł baron. — Nie pozwolę, byś się tak wysilał z naszego powodu. Jesteśmy tak zmęczeni, że ledwo

stoimy na nogach, choć dopiero wykonaliśmy połowę zamierzonego dzieła. Minęła godzina dziewiąta, więc możemy spokojnie pół godziny odpocząć. Trzeba koniecznie, byś chwilę wypoczął!

Mambazi chciał się sprzeciwić, ale Europejczycy uparli się. Lecz skoro upłynął umówiony czas, począł natychmiast nalegać, by wszyscy udali się w dalszą drogę.

— Idziemy teraz do mego Boba? — spytał lord z niepokojem.

W czasie spoczynku pięćdziesiąt razy wyciągnął zegarek, aby się przekonać, że czas istotnie upływa i drżał, że mogą przybyć za późno.

— Wyruszamy niezwłocznie, lordzie Arturze — pocieszał go doktor. — Idziemy prostą drogą do Boba i Filipa.

— O ile ich znajdziemy — wtrącił baron, gdyż chciał troszeczkę lorda podrażnić.

Lord porwał się z miejsca, jak gdyby mu ktoś wbił sztykiel pod skórę.

— Są... są... są... sądzi pan, że... wyjąkał. — Oczywiście, sądzę, że... — rzekł von Denhoff z poważną miną.

— Że... że my ich nie znajdziemy...? — mówił dalej lord z przerażeniem.

— Przeciwnie, że ich znajdziemy! — odparł baron z miną zdumionego niewiniątka.

Anglik otworzył usta i spoglądał zdumiony na dwóch swoich towarzyszy.

Wesoły ich uśmiezek uświadomił mu, że sobie zeń zażartowali, lecz on nie wziął im tego za złe. Zrozumiał, że sprawa źle nie stoi, a to było przecież najważniejsze.

— Lecz teraz powiedzcie na serio — zaczął doktor na nowo — czy macie już plan, w jaki sposób moglibyśmy odkryć naszych zaginionych?

— To bardzo proste — odparł szybko baron. — Damy Nerowi powąchać jednego ze strażników!

— W takim razie musielibyśmy go spuścić na dół, a to przecież niepodobna.

— To zbyt cenne! Mata słomiana, na której ten drab siedział, odda nam tę samą usługę.

— Do diaska, nie pomyślałem o tym!

— Nero, idąc śladami strażnika, zaprowadzi nas do jego towarzyszy.

— A tam?

— Tam, zaczekamy, aż pójdą na uroczysty obchód do świątyni bogini Bhawani, ruszymy potajemnie za nimi, a potem napadniemy bandę, skoro obaj skazani na śmierć będą na miejscu.

— Hm — mruknął doktor — miejmy nadzieję, że ta sprawa pójdzie tak gładko, jak ty to przedstawiasz! A co dalej?

— Uprzedzasz wypadki — odparł von Denhoff. — Przede wszystkim musimy ustalić: gdzie? kiedy? i jak? — a potem możemy pomyśleć o dalszym toku spraw.

— Dobrze — rzekł doktor — a więc prowadź nas jak Ariadna Tezeusza po ścieżkach tego dzikiego labiryntu i — a jednak stój! Czym oświecimy sobie drogę? Nie mamy ani pochodni ani świec...

— Kochany doktorze — odparł baron tonem słodkiej uprzejmości — jeśli w nocy wyruszasz, aby schwytać złodziei, wówczas prawdopodobnie wsadzasz sobie płonącą łojówkę na szczyt kapelusza, aby złodzieje z daleka mogli cię zauważyć i w porę uciec, nieprawdaż?

— A w jaki sposób zauważysz w ciemności, że Nero daje ci znaki ostrzegawcze? — bronił się doktor.

— Wezmę go po prostu na smycz, kochasiu — pouczył go baron. — Skoro napięcie smyczy ustanie, będę wiedział, że Nero się zatrzymał, gdyż zwietrzył jakieś niebezpieczeństwo. Zrozumiano?

— Doskonale! — odparł sucho doktor. — To wyruszajmy! Nasz lord stoi już jak na rozżarzonych węglach.

— Jeszcze jedno! Musimy pozdejmować trzewiki, gdyż w przeciwnym razie usłyszą nasze kroki z daleka. I jeśli któryś z nas straci kontakt ze swoim towarzyszem, idącym przodem, niech to niezwłocznie oznajmi, bo inaczej pogubimy się w tej lisiej norze mimo Nera i lin. Zrozumiano?

Towarzysze skinęli głowami na znak zgody i sformowali się do marszu. Von Denhoff stanął na czele, mając doga o pięć kroków przed sobą, po czym cała kolumna ruszyła w drogę i zagłębiła się w czeluściach labiryntu.

Rozdział IX.

W labiryncie.

Przez pół godziny nasi podróżnicy posuwali się za psem wśród czarnej, niemal dotykanej ciemności. Droga wiodła najczęściej w prostej linii, czasem lekkim łukiem w lewo lub w prawo. Na koniec dał się spostrzec lekki odblask światła, który za każdym krokiem stawał się coraz wyraźniejszy. Jeszcze jeden zakręt — i nasi podróżnicy ujrzeli przed sobą olbrzymią, architektoniczną bramę, zza której miłe, łagodne, niebieskie światło wpadało w korytarz.

Doszli do niej po pięciu minutach. Spojrzeli na nią ze zgrozą. Nie było żadnej wątpliwości — stali przed wejściem do świątyni straszliwej bogini Bhawani. Olbrzymi posąg po lewej stronie mógł tylko ją przedstawiać, tę straszną krwiożerczą małżonkę Sziwy!

Figura wyciosana z czarnego kamienia, mogła mieć trzy metry wysokości. Nad dziko wykrzywionym obliczem sterczał fantastyczny diadem, ozdobiony drogimi kamieniami. Bhawani miała cztery ramiona; górne dzierżyły krótkie i szerokie sztylety staroindyjskie, dolne zaś trzymały za włosy czaszki ludzkie. Na piersi opadał naszyjnik z czaszek ludzkich; biodra były opasane łańcuchem z odrąbanych rąk i nóg. Straszliwa krwawa bogini zdawała się tańczyć jakiś piekielny taniec na zwłokach zamordowanej ofiary.

— I do tego straszdyła Thugowie się modlą?! — spytał von Denhoff ze zgrozą.

— Niestety! — odparł doktor. — Jak daleko może człowieka zaprowadzić ślepy fanatyzm.

— W takim razie wyżej stawiam dzikich mieszkańców Południowego Morza — rzekł baron. — Jeżeli ci czczą świnię lub koguta, to tuczą te stworzenia rozmaitymi smakołykami, tak że ruszać się nie mogą, a potem pieką je na rożnie i zjadają z nabożną, skupioną miną. To przynajmniej jest praktyczne! Lecz pominąwszy to monstrum, w innych świątyniach spotykałem posągi bóstw wprowadzie groteskowe, ale mimo to piękne, majestatyczne i artystycznie zrobione.

Świątynia miała kształt regularnego dziewięcioboku; jedna strona była zamknięta olbrzymią ścianą skalną i tam właśnie stał ołtarz. Osiem innych miało wielkie bramy. Dookoła świątyni biegł krużganek. Wyniosłe filary przedstawiały mitologiczne istoty z podań indyjskich, a więc konie, słonie, nosorożce. Ponad nimi wznosiła się potężna kopuła, ozdobiona olbrzymimi rzeźbami, które wyobrażały dziesięć pierwszych wcieleń Wisznu. Ze sklepienia zwieszał się na jedwabnych sznurach wielki i bogato ozdobiony świecznik; osiem jego lamp z błękitnego szkła sporządzonych, napępniało świątynię miłym, łagodnym i pięknym światłem.

Poza bramami wiły się podziemne korytarze, wykute w skale. Trzy z nich, położone naprzeciw posągu bogini, prowadziły do obszernej hali. Miała ona główną nawę, wysoką i przestronną, oddzieloną od dwóch bocznych, niskich, dwoma rzędami wspaniałych słupów, wyrzeźbionych w kształcie ogromnych figur. Odstęp między nimi mógł wynosić około trzech metrów, dokoła biegła

bariera kamienna dwułokociowej wysokości.

Na sklepieniu widniały wspaniałe rzeźby, ilustrujące legendę Buddy. Ta prześliczna hala miała sto metrów długości i kończyła się potężną trójdzielną bramą, która prowadziła na świat zewnętrzny. Aż do tego miejsca szły ślady schwytanego strażnika, którymi szli śmiali intruzi.

— Nie do wiary — rzekł doktor, gdy nasi podróżnicy wrócili do właściwej świątyni — ile trzeba było czasu, cierpliwości, artyzmu i trudu, aby to cudowne dzieło wykuć w litej skale! Prawdopodobnie ujrzeliśmy dopiero małą część tego labiryntu. Kto to może wiedzieć, dokąd prowadzą niepozorne korytarze? Istotnie nie do uwierzenia!

— Jeśli tak dalej będziemy się na to wszystko gapić — przerwał baron — spadną nam Thugowie na kark i zamiast uwolnić naszych służących z ich szponów, powędrujemy w ich towarzystwie do raju Sziwy i jego czcigodnej małżonki. Mnie to zdumiewa, że w ciągu całej drogi nie natknęliśmy na żadną straż. Zdaje się, że prócz nas nie ma tu żadnej żyjącej istoty.

— To jest dla mnie całkiem zrozumiałe — odparł doktor. — Strażnicy stoją wszyscy oczywiście przy wejściu.

— Cofnijmy się! — ostrzegał Mambazi. — Musimy być z dala od ołtarza. U góry mogą usłyszeć nasze głosy lub zauważyć nas przez okno w kopule. Ukryjmy się tutaj!

— Sądzisz, że oni tutaj przywloką swoich jeńców? — spytał von Denhoff.

— Tak. Tam przy ołtarzu ma się spełnić ofiara, więc orszak musi przejść przez halę.

— Oni mogli także obu zamknąć gdzieś tutaj w lochu więc w takim razie tylko bonzowie wchodzą przez główną bramę.

— To wydaje mi się nieprawdopodobne — odezwał się doktor.

— Ach tak! — roześmiał się baron. — Teraz bierzesz stronę Mahratty, aby na swój własny rachunek nie strzelać głupstw! Lecz niech i tak będzie. Mów!

— Bardzo chętnie. Jak długo Thugowie, nie obawiają się, że ktoś będzie się starał uwolnić jeńców — a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie przeczuwają nawet, że my tu jesteśmy — trzymają ich prawdopodobnie na górze. To jest proste, a zarazem i bezpieczniejsze. — Sądzisz więc, że oni zazwyczaj nie żyją w labiryncie, lecz zjawiają się tu tylko z okazji jakichś nabożeństw lub uroczystości?

— Naturalnie! Wszak i oni są ludźmi i przenoszą pobyt na świeżym powietrzu nad wilgotny, stęchły iście piwniczny zapach tych lochów. Mnisi buddyjscy, którzy tu najpierw przyszli, wybudowali na górze klasztor dla siebie, którego ruiny mogą służyć za pomieszczenia mieszkalne dla wielkiej liczby ludzi.

— Lecz w takim razie po co ta cała krecia robota wśród tych skał? Po co ten labirynt?

— On służy jako ostatnie schronienie, jako skarbiec i spichlerz dla zmylenia nowonawróconych, jako miejsce kuracyjne, jako piec piekarski do wypiekania precli dla Sziwy, jako warsztat do fabrykacji fałszywych pieniędzy lub co wolisz. Nie wykonywałem planów ani też nie kierowałem robotą!

— Wiem — odparł baron. — Twoja czynność ograniczała się na mordowaniu szarańczy i nimf wodnych, które niebacznie wpadły do twojej sieci! Kaci hiszpańskiej inkwizycji spełniali podobne czynności! Lecz nie będę się z tobą dłużej spierał. Mambazi, bądź tak dobry i podziel się z nami swoim planem strategicznym.

Wezwany wykonał polecenie. Sześciu podróżników stanęło po prawej i lewej stronie za pierwszymi trzema filarami, których cień zakrył ich zupełnie. W razie, gdyby orszak sekciarzy wszedł w boczną nawę, wszyscy szybko mieli się cofnąć za ołtarz i stamtąd starać się uwolnić jeńców.

Gdyby procesja wprowadziła jeńców, wówczas mieli czekać, aż znajdą się oni na wysokości przyjaciół. W takim wypadku Mambazi wraz z baronem miał skoczyć naprzód i rozciąć im więzy, gdy tymczasem pozostali mieli zaatakować nieprzyjaciół. Liczono także na pomoc dogą. Potem należało jak najszybciej utorować sobie drogę do bananowca.

Gdyby jednak służących z wnętrza labiryntu zawleczono wprost do hali ofiar, wówczas mieli wszyscy, poza Thugami, wśliznąć się aż za ostatnie filary i uderzyć w stosownym momencie. Zaznaczono jednak, szczególnie lordowi, że nikt nie śmie ruszyć palcem, zanim Mambazi nie da znaku.

Mahratta i baron ukryli się za trzecią parą filarów jako przednia straż, potem szedł lord i doktor, na koniec zaś obaj sipajowie.

To znaczy: na razie wszyscy sześciu usiedli wygodnie na podłodze i wypoczęli sobie należycie. Do północy brakowało prawie dwóch godzin, a oni byli od wczesnego ranka na nogach.

Czas oczekiwania płynął powoli i monotennie. W skalnej świątyni panowała głęboka cisza. Można nawet było słyszeć przebiegającą mysz.

Na koniec może na dziesięć minut przed dwunastą, o uszy naszych podróżników obił się głuchy odgłos, jak daleki grzmot lub hałas pociągu, pędzącego po moście.

Wszyscy drgnęli i zerwali się na równe nogi. Zbliżał się decydujący moment.

Hałas rósł coraz bardziej. Można było rozróżnić poszczególne uderzenia potężnych bębnow. Po chwili ozwały się przeraźliwe dźwięki trąb i piszczałek. Na koniec otwarła się środkowa brama i w ogromnej świątyni rozległy się ogłuszające dźwięki dzikiej muzyki, wzmocnione stokrotnie echem kolosalnego sklepienia.

Von Denhoff mógł spoza filaru szczegółowo obserwować procesję śmierci.

Na czele szło czterech ludzi, niosących długie pochodnie. Za nimi posuwało się czterech innych, którzy bili w olbrzymie bębny, używane tylko w czasie wielkich uroczystości. Teatralne maszyny,

wydające grzmoty, znikają wobec tych straszliwych narzędzi muzycznych.

Następnie szło dwóch ludzi, którzy prowadzili za sobą związanych sznurami białych, przeznaczonych na śmierć.

Na widok Filipa von Denhoff uczuł, że łzy napływają mu do oczu. Jak on wyglądał! Jego wesołe zazwyczaj oczy spoglądały błędnie na dzikie postacie, które przed nim tańczyły. Różowy, podwójny podbródek zwisał ponuro między dolną szczęką a szyją, jak wypróżniona sakiewka, a rokokowe nóżki straciły wszelką władzę i dreptały lękliwie po kamiennej posadzce. Biedny Filip!

Bob wyglądał lepiej. Jego dobrze odżywiane ciało lepiej oparło się więziennym torturom. Maszerował dziarsko za swoim strażnikiem i zdawał się wcale nie przeczuwać, co czarni zamierzają z nim uczynić. Za tymi jagniętami ofiarnymi — co za fantastyczny widok! — posuwał się długi orszak Thugów, straszniejszych, niż horda czarownic i bardziej odrażających, niż banda pijanych galerników. Żółte, brunatne i czarne postacie, półnagie, dziwaczne tatuowane na piersiach i ramionach, wybiegły przez otwartą bramę tanecznym krokiem. Z piekielnym hałasem trąb i bębnow zmieszało się fanatyczne wycie, przeraźliwe wrzaski sekciarzy, dzikie pieśni wojenne, urywki litanii, inwokacje do straszliwej bogini Bhawani i sto innych na wpół zwierzęcych ryków, wydzierających się z gardzieli ludzi, podobnych do tłumu obłąkańców.

Von Denhoff musiał ze wszystkich sił powstrzymać doga. Pies był do najwyższego stopnia podrażniony tym przerażającym widowiskiem i tym hałasem, który drażnił jego uszy. Miał ochotę z ujadaniem rzucić się na Hindusów. Na szczęście pomruk psa ginął w piekielnej muzyce, tym bardziej, że baron silnie przytrzymał jego pysk. Thugowie zbliżali się coraz bardziej, nie podejrzewając wcale, że ich jeńcy za kilka chwil będą uwolnieni.

Na koniec obaj służący znaleźli się na środku między drugą parą filarów. Nagle wśród zgiełku rozległ się przenikliwy gwizd i zaraz potem za najbliższymi słupami zabłysło sześć ogników i kilku ludzi w tłumie runęło na podłogę.

Przednie szeregi Thugów zatrzymały się przerażone. Lecz nie było dużo czasu do namysłu.

— Nero, huzia na nich! — ryknął jakiś potężny głos.

Olbrzymi pies jednym skokiem znalazł się w środku tłumu i obalił kilku Thugów. Dwóch mężczyzn przyskoczyło do jeńców, przecięło pęta, a czterech innych kolbami karabinów rozbiło czaszki Thugów, niosących bębny i pochodnie. Całe to zajście nie trwało nawet dziesięć sekund.

Gdy Thugowie ocknęli się z oszołomienia uderzyli na niespodzianych napastników.

Żadne pióro nie opisze sceny, która się teraz rozegrała. Przekleństwa, groźby, biadolenia, lamenty i rozkazy — wszystko to razem pomieszało się, a nad wszystkim górowało wycie doga, który się dzielnie bronił zębami.

Lord Artur odzyskał całą swą zimną krew, skoro ujrzał, że Bob jest wolny.

— Jesteś głodny Bob? — ryknął tak głośno, jak tylko mógł, aby zagłuszyć straszliwy zgiełk.

Przy tych słowach zastrzelił z rewolweru napastującego go wroga.

— *Oh, no, milord!* — odparł flegmatycznie Irlandczyk.

To mówiąc, chwycił leżącą na ziemi pochodnię i pchnął nią w brzuch Hindusa, który go gwałtownie zaatakował. W tej chwili porwał go doktor za ramię i wraz z Filipem wciągnął do ustronnego lochu.

Obaj sipajowie porwali z ziemi kilka pochodni i pospieszyli w ślad za nimi.

Mambazi, von Denhoff i lord stanowili tylną straż i cofali się wolno, walcząc z napierającym tłumem. Ten na szczęście był nieuzbrojony, gdyż w przeciwnym razie biali musieliby drogo zapłacić za śmiały napad.

Nero użerał z kilku Thugami na środku hali, skutkiem czego odwrócił powszechną uwagę od swoich panów. Gdy ci znikli poza zakrętem lochu, von Denhoff gwizdnął i na koniec wszyscy znaleźli się w bezpiecznym na razie miejscu.

Spostrzegli to również Thugowie. Gdyby toczyli dalej walkę na ślepo z białymi, musieliby w wąskim korytarzu pokotem lec pod gradem kul.

Gdy więc rozległ się głośny sygnał, a potem donośna komenda, cały tłum Thugów cofnął się w głąb świątyni i znikł.

Gdy Mambazi usłyszał głos niewidzialnego dowódcy, skoczył, jak gdyby został ukąszony przez zmiję, a potem spojrzał zdumionymi oczami w kierunku, gdzie znikli wrogowie. Co ci jest Mambazi? Co ci? — spieszenie spytał von Denhoff. Mahratta się ocknął.

— Nic, nic — odparł z cicha, zgrzytając zębami — złe wspomnienie z minionych dni. Ale to musi być pomyłka. Musimy się oddalić, zanim tamci zdołają nas obejść!

Wszyscy ruszyli naprzód. Niestety, ucieczka nie odbywała się tak szybko jak należało. Nogi starego sługi odmawiały posłuszeństwa, zabrakło mu w końcu tchu. Wszyscy musieli się zatrzymać na kilka minut, aby pozwolić mu przyjść do siebie.

Skutki tej zwłoki wkrótce wyszły na jaw.

Gdy minęli róg lochu, nagle w oddali ukazał się tłum Thugów uzbrojonych w oszczepy i miecze, który zbliżał się do zbiegów z przeraźliwym rykiem. Inne, podobne wrzaski pouczyły naszych podróżników, że drugi oddział zbliża się z tyłu.

— Wstecz! — krzyknął von Denhoff, zatrzymując się w miejscu — bo w przeciwnym razie wezmą nas w środek i wytną w pień!

Korytarz podziemny, z którego właśnie wyszli, miał przedłużenie w kierunku prostym. W tym

właśnie kierunku pobiegli, nie pytając się nawet, dokąd wiedzie.

Trzysta metrów dalej loch lekko wyginał się na prawo, potem dwieście metrów szedł prosto, na koniec nasi podróżnicy dostali się do nowego korytarza, który z poprzednim krzyżował się pod ostrym kątem. Z prawej strony wyskoczył nagle ten sam tłum wrogów, których przed kilku minutami widzieli przed sobą. Poza sobą słyszeli wrzask innych prześladowców. Nie pozostało im nic innego, jak tylko skierować się na lewo. Nagle już po dwudziestu krokach zamknęła im drogę ciężka brama, mająca zakratowane okno w pośrodku.

— Stój! — ryknął Mambazi na ten widok. — Powstrzymajcie wrogów tylko na pięć minut!

Po tych stawach wydobył z worka z narzędziami nożyce i począł z ich pomocą odrywać rygle i klamry przy drzwiach.

Jego towarzysze odwrócili się tymczasem i otworzyli tak silny ogień karabinowy na dzikich fanatyków, że ci się musieli cofnąć.

Tymczasem Mahratta oderwał sztaby żelazne.

— Za mną! — zawołał, otwierając drzwi.

Jego towarzysze ruszyli niezwłocznie za nim i znaleźli się w komorze skalnej, nie mającej drugiego wyjścia. Wpadli w pułapkę!

— To nic! — rzekł von Denhoff, zamykając ciężkie drzwi i zasuwając rygle z tej strony.

— Tutaj na razie jesteśmy bezpieczni, a najpotrzebniejszy dla nas wszystkich jest spokój, spokój i jeszcze raz spokój!

— Zgoda — odparł doktor. — Moje siły są niemal zupełnie wyczerpane. Jeszcze pół godziny takich wysiłków i małe dziecko mogłoby mnie paluszką przewrócić!

Osunął się bezwładnie na ziemię, gdzie stał.

Rozdział X.

Obleżeni.

Thugowie nie czynili wielkich wysiłków, aby pokonać wrogów. Salwa karabinowa przez otwór rozproszyła garść śmiałków, którzy się zbyt zbliżyli. Inni byli mądrzejsi i trzymali się poza Unią strzałów. Łatwo pojąć! Znali dobrze to miejsce i wiedzieli, że ich przeciwnicy prędzej lub później muszą im wpaść w ręce choćby tylko z braku pożywienia.

Lecz o tym obleżeniu na razie się nie myśleli. Komora była wypełniona ogromnymi pakunkami. Mambazi przysunął jeden z pakunków do drzwi, usiadł na nim i wraz z Nerem obserwował poruszenia Thugów.

Lord Artur zasypywał tymczasem swego Boba gradem troskliwych pytań, jak się mu powodziło w czasie niewoli i czy te czarne draby dawały mu dość jeść. Gdy usłyszał, że Thugowie dawali jeść tylko raz na dzień, wybuchnął okropnym gniewem i poprzysiągł zemstę.

Nie, nie poprzysiągł wcale, gdyż Bob pojął natychmiast swój błąd i twierdził, że jeden obiad wystarczał za dziesięć zwyczajnych obiadów. Wolno nam przypuszczać, że Irlandczyk przy tym popełnił małe, niewinne krzywoprzysięstwo. Lecz trzeba mu przebaczyć. Gdyby powiedział prawdę, a mianowicie, że dzienna racja pożywienia składała się z garsteczki ryżu, wówczas jego pan byłby skłonny ugotować swoje własne trzewiki, byleby tylko napęlić odpowiednio tak bardzo „słaby żołądek” swego biednego chłopca. A Bob był szczęśliwy, stokrotnie szczęśliwy, że raz wreszcie mógł odczuwać prawdziwy głód!

Von Denhoff, chcąc sprawić radość lordowi, pochwalił Boba z powodu jego męstwa.

— Och — rzekł dumnie lord Artur — Bob zawsze był bardzo odważny! Gdyśmy byli jeszcze małymi chłopcami, zawołałem go pewnego razu przez okno w moim pokoju. On chciał przyjść do mnie, lecz po chwili zjawił się znów na podwórzu i rzekł, że mój kuzyn, który stał w przedsiionku, nie chce go wpuścić na schody z powodu zabłoconych bucików. „Zrzuć go ze schodów!” — rzekłem Bobowi. „*All right*” — odparł i wszedł do domu. Zaraz potem mój kuzyn wpadł do kałuży na podwórzu, a Bob przyszedł do mnie i spytał, czego sobie życzę. Mój Bob był zawsze dzielny!

— Zachwycająca historia! — rzekł von Denhoff ironicznym tonem.

— *O yes* — zgodził się lord z całą powagą. — Pamiętam to tak doskonale, jak gdyby to było wczoraj. Mój kuzyn miał właśnie na sobie błękitne ubranie, bardzo piękne i nowe. Gdy legł w kałuży, zaryczał najpierw, jak gdyby ją chciał wypić, a potem pobiegł do ojca, aby się poskarżyć. Myśmy nigdy się nie znosili nawet jako chłopcy.

W czasie tego opowiadania doktor zbadał pakunki i dynie, zastępujące flaszki, złożone również w tajemniczej komorze. Dynie te zawierały olej palmowy służący prawdopodobnie do oświetlania

świątyni. Znajdowały się tu również drogocenne dywany i bogate ubrania jedwabne. Czy to były skradzione przedmioty, czy też były używane w czasie uroczystości do ozdabiania świątyni i kapłanów?

Biali nie pytali długo o to, lecz rozpostarli dywany na kamieniach i położyli się na nich by odpocząć.

Przed tym oczywiście losowano kolejność straży, które miały się zmieniać co pół godziny. Doktor postarał się również o oświetlenie. Z jednego z dywanów wyrwał pęk nici i ukręcił gruby knot, który umieścił w dyni z olejem. W ten sposób powstała lampa olejna, mogąca świecić w ciągu długich godzin.

Po chwili w komorze zapanowała głęboka cisza, tylko głęboki oddech śpiących zdradzał, że w tym zakątku labiryntu znajdują się żyjące istoty.

Kilkakrotnie nasi podróżnicy zostali obudzeni ujadaniem Nera, który prawdopodobnie zwierzył szpiegów w korytarzu. Lecz ci bez wątpienia cofnęli się natychmiast, nie chcąc narażać nieopatrznie swego życia.

W ten sposób minęło dwanaście godzin.

Na koniec Mambazi obudził swoich towarzyszy i oznajmił im, że trzeba się zastanowić, jak się stąd wydostać.

— Bardzo dobrze — rzekł von Denhoff, trąc sobie oczy. — Wprawdzie nie jestem jeszcze tak wyspany, jakbym sobie tego życzył, jednak wśród wszystkich okoliczności trzeba będzie wydostać się z tej wspaniałej oberży, przeto niech obrady się rozpoczną. Od czego zaczniemy?

— Mój Bob od wczoraj nic nie jadł — wpadł lord Artur ze szczerze zatroskaną miną. — Musimy znaleźć coś dla niego.

— O ... łatwo tu o śniadanie — odezwał się baron. — Mamy wodę w sakwach i nic do jedzenia. To jest proste, tanie i zdrowe.

— Pan kpisz? — spytał lord, trochę obrażony. — Ależ bynajmniej, kochany lordzie. Ponieważ jednak istotnie nie mamy nic do jedzenia, sądzę, że to „nic” należy brać raczej z wesołej niż z tragicznej strony. Lub może pan inaczej o tym myślisz?

— *O no*, — odparł Anglik. — Lecz my mimo wszystko musimy coś znaleźć dla Boba. W dyniach jest tylko olej palmowy, nieprawdaż, kochany doktorze?

— Tak jest.

— A w pakunkach?

— Tylko dywany i towary jedwabne.

— I nic nie można tam znaleźć do zjedzenia? Ani kawałka mięsa na befszytk lub przynajmniej skórkę chleba?

— Nic! Tylko olej palmowy, dywany i jedwabne ubrania.

Lord złapał się za głowę i zwrócił się do Irlandczyka.

— Będziesz pił olej palmowy, Bob?

— *O no, milord* — odparł zagadnięty wbrew swemu zwyczajowi.

— Ja bym mu nie radził — zauważył baron. — Olej nawet świeży, ma wstrętny smak. Nasz tymczasem jest stęchły od miesiący. Bob może nim zupełnie popsuć sobie żołądek.

— Lecz cóż uczynimy? Bob jest strasznie głodny. Nieprawdaż. Bob? — zwrócił się do swego służącego.

— *O no, milord* — zaprzeczył ten po raz wtóry. Domyślił się rozpaczliwego postanowienia swego pana i we własnym interesie chciał je uprzeczyć. Lecz lord nie dał się oszukać.

— Bob — rzekł ojcowskim tonem — po raz pierwszy w życiu jestem z ciebie niezadowolony. Zawsze odznaczałeś się prawdomównością i otwartością. Teraz jednak mówisz coś, co jest absolutnie niemożliwe! To mnie smuci, na honor, bardzo mnie smuci!

Bob przy tych słowach spuścił głowę i nie śmiał swemu panu spojrzeć w oczy. Popełniony grzech począł dręczyć jego sumienie.

— Milordzie — wyjąkał po chwilowej walce wewnętrznej — pro... proszę mi wybaczyć! Ja... ja... ja... jestem naprawdę głodny!

— Widzisz Bob — rzekł lord — dlaczego przedtem skłamałeś? Przebaczam ci, ponieważ to jest twoje pierwsze kłamstwo, lecz mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy. Zawsze starałem się być dobrym panem dla ciebie, dlatego też nie powinieneś tak postępować. Dobrze, Bob? Zgoda?

Irlandczyk był mocno wzruszony tym kazaniem.

— Milordzie — wyjąkał ze łzami w oczach — ja... ja... ja... jestem bardzo złym człowiekiem, milord!

— Nie, Bob, nie jesteś.

— *O yes, milord*, bardzo złym człowiekiem. Lecz pan musi mi wybaczyć. Ja... ja... ja., tak lubię być głodnym, milordzie!

— Co?!!! — krzyknął lord i cofnął się wstecz, patrząc na swego sługę z przerażeniem.

— Tak jest, milord! — mówił dalej Bob. — Słyszałem nieraz ludzi, mówiących o głodzie i

apetycie, a niekiedy nawet wraca mi ciemne wspomnienie o tym z czasu, gdy byliśmy małymi chłopcami. Lecz od tego czasu nigdy już więcej nie miałem tego uczucia. Gdybym tylko raz jeden na przeciąg czterdziestu ośmiu godzin mógł tego spróbować, milordzie! To tak pięknie, gdy człowiek jest głodny!

Położył sobie obie dłonie na żołądku i z rozrzewnieniem spoglądał na pułap.

Lordowi to wyznanie nie mogło się pomieścić w głowie. Ponieważ jednak była to pierwsza prośba, jaką usłyszał z ust Boba, dlatego nie chciał być okrutnym; postanowił nie zmartwić sługi odmową.

— Bob — rzekł — jeśli tak być musi, możesz sobie głodować jak długo będziemy zamknięci.

— Naprawdę, milord? — spytał uradowany sługa.

— Tak, Bob, pozwalam ci. Lecz skoro znajdziemy coś do jedzenia, będziesz znów dobrze się odżywiać, dobrze? Przyrzekasz?

— *O yes, milord* — rzekł Irlandczyk.

Świadkowie ten sceny zaciskali zęby, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Von Denhoff zwrócił się do Mahratty z zapytaniem:

— Jak stoi sprawa, Mambazi? Czy znalazłeś jakiś sposób wydostania się stąd?

Coś wam zaproponuję — odparł Hindus — jeśli się zgodzicie...

Nagle syknął: „pst!” — i położył ostrzegawczo palec na ustach. Równocześnie spojrzął na psa, który wymachiwał ogonem i cicho warczał.

— Znow się zbliża jakiś szpieg — szepnął — muszę go schwytać. Przytrzymajcie psa!

To mówiąc odciągnął doga od drzwi, przesunął skrzynię na bok i odsunął rygiel. Następnie zgasił światło i zniknął.

Upłynęło kilka długich minut. Potem dał się słyszeć szmer, jak gdyby w pobliżu dwóch ludzi szamotało się na ziemi, potem cichy charkot, aż wreszcie głos Maharatty:

— Zaświećcie światło!

Światło błysnęło w mig i nasi podróżnicy ujrzeli Mahrattę, który zbliżał się do drzwi, wlokąc za sobą jakieś na oko martwe ciało.

W komorze rzucił je bez ceremonii na ziemię i starannie zarygłował drzwi. Następnie odwrócił się, by związać jeńca. Ledwie jednak rzucił spojrzenie na twarz tego człowieka, gdy nagle cofnął się wstecz i lewą ręką zakrył sobie oczy; prawa kurczowo chwyciła rękojęść sztyletu.

Inni ze zdumieniem przypatrywali się tej scenie, obrzucili Mahrattę gradem pytań.

— Cierpliwości — odparł. — Zdaje się, że mnie jakiś czarny demon zapędził na tę wyspę, aby odrodziły się w mym sercu wszystkie bóle minionych dni! Usłyszycie wnet wszystko!

Mambazi rzucił ponure spojrzenie na Thuga, który wciąż leżał nieprzytomny na ziemi.

Wkrótce jednak ocknął się z omdlenia i otworzył oczy. Spojrzenia jego padły najpierw na białego i na jego obliczu odmalowała się natychmiast śmiertelna nienawiść. Następnie poznał Mahrattę.

Teraz rozegrała się osobliwa scena.

Thug skoczył z radością a zarazem z obawą otworzył ramiona i chciał coś powiedzieć, lecz głos odmówił posłuszeństwa.

— Mambazi! — wyjąkał wreszcie. — Panie! ty żyjesz?! tyś nie umarł?

— Jak widzisz — odparł Mahratta, marszcząc groźnie czoło. Słowa jego dźwięczały twardo, jak uderzenia młota.

— Więc to ty mnie obezwładniłeś?

— Tak! Ciebie, zdrajco, który przeszłość swoją pełną chwały, splamiłeś hańbiącą służbą u bogini Bhawani! Wiesz dobrze, co znaczą mordercy w moich oczach!

Wydobył zza pasa sztylet i przystąpił do jeńca.

— Mambazi! — rzekł Thug, dumnie nadstawiając pierś swą pod cios sztyletu. — Jesteś panem mego życia lecz pomnij prawa ojców: najpierw wysłuchaj, potem osądź!

— Dobrze! — odparł Mambazi. — Niech i tak będzie! Mów! Schował sztylet, usiadł na ziemi i wskazał Thugowi miejsce naprzeciw siebie. Von Denhoff i inni z napięciem przypatrywali się tej scenie.

Po tym dniu nieszczęsnym, który zniszczył zupełnie naszą ostatnią nadzieję — zaczął jeńiec — błąkałem się jak wilk po górach Dżandor. W kilka miesięcy potem dotarłem szczęśliwie do Daman i stamtąd popłynąłem okrętem do wybrzeży Persji, gdzie przyjąłem służbę i żyłem długie lata. Potem jednak począłem tęsknić za ojczyzną i tęsknocie tej nie mogłem się oprzeć. Wielki ból oczekiwał powracającego syna: pałac twego ojca leżał w gruzach, on sam poległ, a w zdobytych miastach panował biały tyran. Pytałem o ciebie. Powiedziano mi, żeś umarłeś, jedni mówili, że przez truciznę, drudzy, że zamordowali cię skrytobójcy, nasłani przez wrogów. Pytałem o wodzów, którzy ongiś siedzieli przy stole twego ojca; jedni polegli na polu chwały, drudzy w czasie ucieczki dostali się w ręce zwycięzców i zostali straceni, dwóch lub trzech zdrajców poddało kark pod hańbiące jarzmo. To wszystko było powodem, że nie mogłem długo wytrzymać w mej ojczyźnie. Zszedłem na równiny, aby po tamtej stronie Gangesu lub Indu szukać zapomnienia.

W ogrodach Boba Atal spotkałem Mandzadi...

— Mandżadi?! — krzyknął Mambazi zrywając się z miejsca. W jego oczach świecił tajemniczy, ogień.

— Mandżadi, mówisz?! — krzyknął po raz wtóry.

— Tak, Mandżadi! — potwierdził tamtem, nie ukrywając zdumienia. Mambazi usiadł i zacisnął zęby, chcąc koniecznie opanować swoje wzburzenie.

— Więc to nie było złudzenie — rzekł. — On żyje, on jest tu, ten wąż zdradziecki! Lecz o tym potem — dodał, odzyskawszy panowanie nad sobą — mów teraz dalej!

Hider potrząsnął głową, spoglądając na syna, swego dawnego księcia, lecz posłuchał i tak mówił dalej:

— Byłem niemniej zdumiony gdy spotkałem Mandżadi, gdyż w górach mówiono, że padł w boju. Spytał mnie, jakie mam projekty na przyszłość i zaproponował mi, abym wstąpił do tajemnego stowarzyszenia, które poprzysięgło białym zniszczenie. Uwierzyłem mu tym chętniej, że nienawiść do tyranów przepelniała całą pierś moją. Udałem się z Mandżadim do Delhi, gdzie na nocnym zgromadzeniu poddano mnie rozmaitym próbom. Na koniec musiałem się napić jakiegoś odurzającego płynu, a gdy się zbudziłem, miałem na piersiach znak Thugów. Przez cały rok krążyłem po Dolinie Gangesu, wykonując poselstwa moich nowych zwierzchników. Przed pięciu miesiącami Asanga, jak się Mandżadi teraz nazywa, przeniósł mię na tę wyspę i otworzył mi oczy.

— I co uczyniłeś? — spytał surowo Mambazi.

— Byłem przerażony do szpiku kości, gdy ujrzałem, w jaką pułapkę wpadłem i chciałem z miejsca uciec. Lecz Asanga wyśmiał mię szyderczo i rzekł: „Idź, idź! Lecz skoro tylko się oddalisz, władze w Kalkucie będą wiedziały, że w drodze jest Thug, a nie możesz temu zaprzeczyć, mając znak Bhawani na piersiach? „Wobec takiego stanu rzeczy musiałem pozostać. Poprzysięgłem sobie jednak, że raczej umrę, niż będę brał udziału w ich przeklętym rzemiośle. Thugowie używali mnie jako strażnika, to tu, to tam, w nadziei, że poglądy moje się zmienią. Lecz wyspy nie mogłem opuścić.

— Więc twoje ręce nie są splamione krwią? — spytał Mambazi, oddychając lżej.

— Nie, panie! Jeśli jest jakaś kropla, to padła w otwartej, rzetelnej walce! Przysięgam na pamięć twego ojca!

— Dlaczego przyczołgałeś się tutaj jako szpieg? — spytał Mambazi pod wpływem nowej wątpliwości.

— Wysłuchaj mię, panie! Przedwczoraj w nocy przywlekli dwóch jeńców, którzy mieli być ofiarowani w czasie uroczystości ku czci bogini Bhawani. Asanga zażądał ode mnie, abym wykonał wyrok, ponieważ chodziło o białych. Lecz ja wzdrygałem się na myśl o duszeniu bezbronych ludzi. W czasie, gdy Thugowie ciągnęli do świątyni, by odprawić uroczyste obrzędy, ja siedziałem

samotnie w swej celi i biadałem nad strasznym losem, który mnie zaprowadził do tej bandy morderców. Nagle wpadł do mnie Asanga i oznajmił mi, że garstka obcych wdarła się potajemnie do świątyni i uwolniła jeńców, po czym się zabarykadowała w komorze z zapasami. Teraz ja mam obowiązek spełnić przysięgę i przeklętych Anglików przywlec do rąk Asangi. Zarazem wręczył mi flaszeczkę, którą miałem wrzucić przez okienko. Zastanawiałem się długo, czy mam się na to zgodzić. Doszedłem do przekonania, że sprawa jest słuszna. Biali wdarli się podstępnie, toteż trzeba ich zwalczać podstępem. Trzymali nieustannie straż, toteż rozumiałem dobrze, że w każdej chwili mogę mieć śmiałość przypłacić kulą. Gdy spostrzegłem, że u was zgasło światło, pomyślałem sobie, że mnie odkryto, ponieważ jednak nie dał się słyszeć najłżejszy szmer, czołgałem się dalej. Nagle ktoś rzucił się na mnie i ścisnął za gardło. Straciłem przytomność. Gdy się zbudziłem, ujrzałem tych oto obcych i syna księcia, uznanego za zmarłego, którego już tysiącrotnie opłakiwałem gorzkimi łzami. Jesteś teraz zadowolony ze mnie, panie?

— Tak, wierny przyjacielu mego domu! — zawołał Mahratta z błyszczącymi oczyma. — Witaj u mego boku! Chwała tej chwili, która nas połączyła!

Uścisnął dłonie Hidera, na co ten gorąco odpowiedział.

— Panie! — zawołał. — Moje jest dziękczynienie i moja radość! Jeśli pozwolisz, będę ciągle chodził za tobą, jak cień! Lecz powiedz, w jaki sposób dostałeś się w towarzystwo wrogów twego plemienia?

— Mój dobry przyjacielu — odparł Mambazi, patrząc nań ze smutnym uśmiechem. — Prześniły się cudne sny młodości. Dziedzictwo Mahratty leży zdruzgotane, może na zawsze, a teraz krążę po dżungli jako spokojny myśliwy, nie myśląc wcale o szczeku oręza ani o wrzawie bitewnej.

— Zapomniałeś więc o nienawiści, o wolności i o śmierci twych najbliższych?! — spytał Hider, nie wierząc własnym uszom.

— Nie zapomniałem, lecz mądry człowiek nie będzie żądał gwiazd z nieba! Po wtóre nie wszyscy ci ludzie są Anglikami. Podaj mi dłoń na znak zgody, Hider!

— Panie! — rzekł ten podnosząc się. — Do ciebie należy rozkaz. Ja mogę tylko słuchać, więc twoi przyjaciele niech będą i moimi.

Przystąpił do Europejczyków, którzy serdecznie uściskali jego dłoń.

— Lecz teraz, panie — zwrócił się do Mahratty — opowiedz mi coś o swoich losach, a w szczególności, dlaczego Mandzadi nazwałeś zdradzieckim wężem?

Twarz Mahratty pociemniała.

— Padłem ranny w tej walce, która zabrała ojcu memu sławę i życie. Pokłudy mnie lance jazdy angielskiej. Uszaka, mój wierny giermek, zawlókł mię do samotnej chatki, gdzie powoli przychodziłem do zdrowia, w tajemnicy przed prześladowcami. Następnie ukryliśmy się w najdzikszych przepaściach górskich, gdzieśmy czekali na dzień zemsty. Lecz Uszaka umarł, a ja

musiałem wrócić na równiny, aby szukać nowych sprzymierzeńców. Niewielu z dawnych towarzyszy pozostało przy życiu. Ci, co żyli, błakali się, jak ja, po kraju. Opuszczony przez wszystkich, udałem się do innego kraju, aż wreszcie przyszła amnestia. Mogłem znowu pokazywać się jawnie. Lecz nie było mi dane ujrzeć kraju rodzinnego. Musiałem się błakać, jak ptak bez gniazda, to tu, to tam, byle tylko zagłuszyć w sobie straszny ból. Takie jest moje życie aż po dzień dzisiejszy.

— A Mandżadi?

— On się obecnie nazywa Asanga? — spytał Mambazi.

— Tak jest.

— Jest głową Thugów?

— Zowią go najwyższym kapłanem bogini Bhawani.

— Sprawiedliwe są wyroki Brahmy — rzekł Mambazi poważnym tonem. — Jest on najpodlejszym między podłymi, najnędzniejszym między nędznikami, do tego stopnia, upadł ten zdrajca!

— Lecz dlaczego tak go nazywasz? — spytał Hider.

— Przypominasz sobie, jak przyszedł na dwór księcia Mahrattów i począł namawiać lud do buntu. Zionął najstraszliwszą nienawiścią do Anglików, którzy mieli go strącić z wyżyn szczęścia w otchłań nędzy. Lecz w tajemnicy był na ich żołdzie. Wolny kraj Mahrattów był solą w ich oku. Obawiali się ich dzielności i tego poważania, które mieli w całych Indiach. Z tego też powodu wysłali Asangę, który ich zwabił w zasadzkę, a następnie zdradził nieprzyjaciółom ich ruchy. Dlatego ponieśliśmy straszną klęskę owego krwawego dnia i dlatego potęga nasza leży teraz w gruzach. To jest przyczyną, że rozpuścił pogłoskę o swej śmierci, aby ujść zemsty tych, którzy dowiedzą się o jego łotrystwie!

Hider siedział bez ruchu z szeroko otwartymi oczami i z przerażeniem patrzył na mówiącego.

— To... to... to on uczynił? — wybełkotał w końcu. — I ja stałem setki razy tuż koło niego i nic o tym nie wiedziałem?! Lecz dość już, dość! — zawołał. — Zapłaci za wszystkie swoje łajdactwa!

Wyrwał sztylet z za pasa, i skoczył do drzwi.

— Stój! — rozkazał Mambazi. — To będzie bezużyteczne morderstwo! On i tak nie ujdzie zasłużonej karze! Przede wszystkim musimy się wraz z naszymi przyjaciółmi uwolnić z tego więzienia!

Hider z niechęcią usłuchał tego wezwania. Cały płonął żądzą natychmiastowej zemsty.

Wszyscy zasiedli wkoło i zaczęli naradę.

— Czy orientujesz się wśród tych galerii? — zwrócił się Mambazi do Hidera.

— Dość, lecz w tej części, która się rozciąga między świątynią i bananowcem.

— A długość tych rozmaitych korytarzy?

— Liczyłem często kroki, aby rozproszyć smutne myśli, a także, aby na wypadek ucieczki nie zabłąkać się.

— Bardzo dobrze! Jak daleko stąd do bananowca.

Hider zastanowił się i rzekł:

— Około tysiąca kroków.

— Ładny kawałek drogi, jeśli mamy ją przejść wśród ciągłych walk.

— Musimy się koniecznie przedrzeć, dlatego też nam się uda! — odparł Mambazi z otuchą.

Po chwili zwrócił się znów do swego ziomka:

— Opisz nam te lochy, o ile je znasz.

Hider wyciągnął sztylet, jego końcem wyrysował jakąś figurę na podłodze, a potem wyjaśnił.

— To są schody, wiodące do świątyni, to jest wielka brama, następnie hala, a tutaj wielka świątynia.

— Czekaj trochę — przerwał doktor — ja muszę sobie to narysować i dodać potrzebne objaśnienia i notatki. Plan musi być bezbłędny.

Wyciągnął z kieszeni notes i skopiował plan. Gdy to załatwił, Hider mówił dalej:

— W obu ścianach klatki schodowej znajdują się tajemne schody. Za nimi zaczynają się dwa korytarze, które w prawo i w lewo biegną do świątyni i taki mniej więcej tworzą kąt jaki mamy między wskazującym i średnim palcem rozwartej dłoni. Prawy liczy tysiąc siedemset pięćdziesiąt kroków i kończy się silnymi żelaznymi drzwiami, lewy ma tylko tysiąc dwieście kroków, na końcu zakrzywia się nieco i kończy się tą komorą.

— Tak, tak — wpadł doktor. — Przebiegliśmy ten korytarz, ale w jaki sposób dostaliśmy się doń?

— Byliście w świątyni, nieprawdaż? — spytał Hider.

— Oczywiście.

— Jaką drogą opuściliście ją?

— Przez korytarz zaraz na lewo od hali.

— Więc rozumie się, samo przez się, że musieliście trafić tutaj! Słuchajcie tylko!

Wskazał swój rysunek i mówił dalej:

— Świątynia ma dziewięć boków. Trzy z nich mają połączenie z halą, pozostałe zaś z labiryntem. Jeśli zatem będziemy liczyli od lewej strony ku prawej, w takim razie pierwszy i szósty loch po stu pięćdziesięciu krokach będzie się łączył z obu korytarzami. To samo można powiedzieć o drugim i piątym, z tą tylko różnicą, że mają dwieście pięćdziesiąt kroków długości, a drugi biegnie jeszcze dalej i kończy się silnymi drzwiami. Teraz przychodzi trzeci. Ten się zaczyna za posągiem bogini Bhawani, wiedzie zupełnie prosto do tej komory i kończy się tuż przed nią podziemnym przejściem, w którym są schody. Długość wynosi tysiąc kroków.

— Aha! — krzyknął doktor, który pilnie śledził rysunek. — Z tej więc przyczyny, ta banda mogła nas wyprzedzić! Powinni byliśmy umknąć korytarzem poza ołtarzem!

— Nie pierwszym — zaprzeczył Hider — lecz czwartym na lewo od ołtarza. Ma około pięćset kroków i prowadzi prosto do miejsca, skąd rozbiegają się trzy inne w rozmaitych kierunkach. Następnie idzie falisto aż do bananowca leżącego około tysiąc sto kroków dalej.

— Lecz tam się jeszcze nie kończy, nieprawdaż?

— Nie, chciano go przedłużyć, ale przerwano roboty już po czterdziestu krokach, nie wiadomo dlaczego. To są główne korytarze. Między nimi biegają poprzecznie inne w rozmaitych kierunkach; one je łączą, a zarazem mają wprowadzić w błąd niewtajemniczonych. I tak z drugim korytarzem od świątyni w prawym kącie łączy się inny, który...

— Stój! — przerwał von Denhoff. — To miejsce musisz szczególnie zaznaczyć, doktorze. Tam lord Artur z tęsknoty za swoim Bobem chciał pozostawić prawe ramię. Przyszłe pokolenia mogą ten bohaterski czyn uwiecznić tablicą pamiątkową, a nie wiedziałyby gdzie ją przybić.

Lord Connaughton wykrzywił twarz na wpół słodkim, na wpół kwaśnym uśmiechem, a inni śmiali się na jego koszt.

Hider mówił dalej:

— Ten korytarz ma trzysta metrów długości, zaczyna się koło ołtarza i rozwidla się potem na dwie odnogi. Lewa łączy się z lochem wiodącym do bananowca, prawa natomiast ma kształt kąta i prowadzi prosto do korytarza, w którym są schody. Tam znowu są drzwi...

— Ach, Boże! — westchnął von Denhoff. — Nie ma końca tych drzwi i bram! Już poznaliśmy jakieś pół tuzina!

— Wracaj do szkoły — upomniał go doktor i ucz się liczyć na liczydło. My dojechaliśmy dopiero do trzeciego numeru.

— Dziękuję! Trzy czy sześć, to wszystko jedno, jeśli nie możemy się przebić. Gzy jest jeszcze więcej?

— Tylko jedna, panie, — pocieszył go Hider.

— Ja właśnie mówię! — zawołał zniecierpliwiony baron. — Istne stu — bramne Teby! Tylko, że

one leżą pod ziemią i zamiast boga słońca panuje w nich najczarniejsza noc! Gdzież się kryje ostatnia furtka?

— Właśnie w tym miejscu, o którym ostatnio mówiłem, zaczyna się w prawym korytarzu loch. Z tym lochem krzyżują się trzy inne, między nimi jeden wiodący do bananowca, który właśnie ma drzwi. Te leżą mniej więcej w pośrodku pomiędzy naszą komorą i bananowcem.

— Nigdy nie przekroczyłeś tych drzwi?

— Nigdy, a inni Thugowie także nie. Tylko Asanga i trzech lub czterech najdostojniejszych wie co się za nimi ukrywa.

— Mam nadzieję, że coś mądrzejszego, niż olej palmowy lub dywany — rzekł von Denhoff. — Lecz teraz chodzi o coś innego. Powiedz nam, którym właściwie korytarzem mamy się przedzierać, aby się jak najprędzej dostać do bananowca?

Hider narysował na figurze nową linię, po czym wyjaśnił:

— W odległości stu kroków stąd jeden z korytarzy, idących od ołtarza, rozwidla się. Lewa odnoga w odległości stu osiemdziesięciu kroków dzieli się znów na dwoje. Prawe ramię prowadzi do tego punktu, o którym poprzednio mówiłem; tutaj korytarz podziemny łączy się z trzema innymi. Lewa odnoga, którą musimy iść, wygina się słabym łukiem aż do drzwi, przy których kończy się prawy loch, mający schody, i przecina korytarz, wiodący do bananowca, w odległości trzystu kroków.

— Więc cała przestrzeń mierzy około tysiąc kroków?

— Tak, panie.

— Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem pamiętasz tak doskonale wszystkie te liczby.

— W ciągu długich pięciu miesięcy nie miałem innego zajęcia, toteż sobie zapamiętałem.

— Jaką broń posiadają Thugowie? — pytał dalej von Denhoff.

— Mają lance, łuki, miecze i sztylety.

— Zatrute?

— Tylko najdostojniejsi mają zatrute sztylety.

— Karabinów nie mają?

— Owszem! Z tuzin starych flint i kilka pistoletów.

— W takim razie nie trzeba się obawiać ich arsenału. W dodatku lochy pozwalają co najwyżej dwóm ludziom stać obok siebie.

Mambazi się odezwał:

— Jest nas wszystkich ośmiu i mamy osiem karabinów. To wystarcza. A teraz posłuchajcie, jaki wymyśliłem plan ofensywy.

Wyjaśnił im swój plan, na który, wszyscy z radością się zgodzili. Następnie zgromadzeni podnieśli się i rozpoczęli przygotowania pod kierownictwem Mahratty.

Przede wszystkim zwinęli większą ilość dywanów w ten sposób, że powstały dwa zwoje walcowatej formy o średnicy półtora metra. Jeden z kobierców porozcinali i rozdrobnili na kłaki dla pochodni.

Tymczasem Hider wypełznął z kryjówki i przedostał się aż do zakrzywienia podziemnego korytarza, aby zbadać pozycję Thugów. Ci leżeli w blasku pochodni w dwu dalszych korytarzach i zdawali się wciąż czekać na powrót wywiadowcy.

Na tę wiadomość oblężeni wytoczyli jeden zwój dywanów aż do krzywizny podziemnego lochu i w ten sposób zabezpieczyli sobie pierwszy odcinek na drodze ucieczki.

Skoro Thugowie spostrzegli, że oblężeni wypadli z komory, zaczęli przeraźliwie wyc, a sklepienia korytarzy odpowiadały im stukrotnym echem. Żaden z nich jednak nie miał odwagi się zbliżyć, kule białych były zbyt celne.

Ci na razie nie troszczyli się o wrogów, lecz pozostawili sipajów jako straż, sami zaś w komorze ukończyli przygotowania.

Owinęli pochodnie kłakami, umoczonymi w oliwie i zapalili. Płomienie ich przyskały niemożliwie dokoła, lecz dostatecznie oświetlały drogę.

Tymczasem lord Artur wyszukał gruby dywan i wyciął w nim kilka otworów.

— Co pan robisz, lordzie? — spytał go von Denhoff, gdy to zauważył.

— Muszę uczynić pancerz dla mego Boba — odparł Anglik, krając z zapałem twardą tkaninę.

— Ależ na miłość Boską. Po co?!

— Czy pan nie słyszałeś, że Thugowie mają zatrutą broń?

— Jedyne tylko sztylety.

— Wszystko jedno — odparł lord — mogą mieć i strzały. Czytałem o tym niejednokrotnie. Bob musi mieć pancerz!

Uparł się przy swoim mimo perswazji i zarzutów. Gdy otwory na oczy i usta były już gotowe, lord ubrał w ten dywan drogocenną osobę Boba, tak, że tylko nogi było widać u dołu, po czym przewiązał go długą liną, aby „pancerz” utrzymał się w tym położeniu. Strzała nie mogła go przebić, a może

nawet i kula.

Bob pocił się pod tą ciężką zbroją okrutnie, nie śmiał się jednak sprzeciwić, ponieważ to była wola jego pana. Wtoczył się w korytarz, jak beczka i czekał, aż go dalej popchną.

Von Denhoff w czasie tej zwłoki badał flaszkę, którą Hider miał wrzucić. Była zrobiona z cienkiego szkła, tkwiła w małym, drewnianym pudełeczku, owinięta osłoną z wełny i zawierała zielony, tęczowo mieniący się w świetle płyn.

Baron miał ochotę ją otworzyć, pomyślał jednak, że to może mieć bardzo niebezpieczne następstwa, dlatego też pozostawił ją w zakątku komory.

Rozdział XI.

Grecki ogień.

Zaczął się pochód w stronę bananowca. Mambazi na przedzie toczył olbrzymi zwój. Obok niego kroczył lord z palcem na cynglu karabinu. Za nim szedł sipaj z pochodnią w ręku i z karabinem Mahratty, następnie Filip i dzielny Bob, wpatrzony w swego pana, jak w tęczę. Drugi sipaj niósł skórzane naczynia z wodą i worek z narzędziami. Tylną straż stanowił von Denhoff, doktor i Hider, który toczył drugi zwój dywanów.

Jak wyżej zaznaczono, uciekinierzy dotarli bez przeszkody do miejsca, gdzie korytarz, idący od ołtarza zbiegał się z lewym lochem, w którym znajdowały się schody. Gdy wielki zwój począł się dalej poruszać, Thugowie znów zaczęli wrzeszczeć i wyć, groźnie wywijając bronią. Lecz to było wszystko.

Mambazi potoczył zwój przed sobą na przestrzeni pięćdziesięciu kroków, lord tymczasem odpędził wrogów strzałami. Huk karabinu rozlegał się grzmotem w korytarzach, a zmieszało się z nim szczekanie doga. Hider i dwaj jego towarzysze bronili rozwidlenia korytarzy, aby zapobiec napadowi Thugów, następnie posunęli się szybko naprzód za tamtymi...

Pięćdziesiąt kroków dalej znajdowało się drugie rozwidlenie. Nasunęło się teraz pytanie, czy za zakrętem są Thugowie.

Tak było istotnie. Biali wysłali Nera jako szpiega i jego ujadanie oznajmiło niebawem, że Thugowie tkwią dość głęboko w lochu.

Dzielna garstka posunęła się znów naprzód i niebawem zdobyła drugi ważny punkt.

— Zaczyna się dobrze! — powiedział się von Denhoff tonem prawdziwego zadowolenia. — Przebyliśmy szczęśliwie sto dwadzieścia kroków! Oni się nas boją!

Do następnego rozwidlenia było dwieście kroków. Olbrzymi zwój znów potoczył się naprzód.

— Trzysta kroków! — rzekł von Denhoff, gdy osiągnęli to miejsce. — Sądziłem, że Thugowie tu urządzą napad. Lecz spostrzegli prawdopodobnie, że te winogrona są zbyt kwaśne.

— Tym pewniej będą nas oczekiwali przy następnym skrzyżowaniu się lochów — zauważył doktor, przyglądając się planowi w swoim notesie. — W tym punkcie długi korytarz przecina się prawie pod prostym kątem, więc oni będą nas łatwo mogli wziąć z dwóch stron i z pewnością skorzystają z tej sposobności!

Lecz i ten punkt nie był broniony. Thugowie z jednej strony cofali się przed wrogami, a z drugiej postępowali za nimi.

— To dziwne — zawołał zdumiony baron. — Ich trwoga przed naszymi karabinami nie może być tak wielką, by tylko krzykami starali się nas przepłoszyć!

— Oczekują nas bez wątpienia na ostatnim miejscu, najbardziej dla nich korzystnym — rzekł doktor. — Korytarz, wiodący do bananowca i nasza galeria przecinają się tam pod bardzo ostrym kątem, a pierwszy prócz tego ma w pobliżu miejsca przecięcia znaczne zakrzywienie. Jeśli Thugowie czatują poza nim, mogą nas napaść, gdy będziemy stali na skrzyżowaniu.

Posunęli się naprzód, i zatrzymali na dwadzieścia kroków przed tym niebezpiecznym miejscem.

Trzeba było się przekonać, co się kryje za zakrętem. Mambazi zamierzał pójść na przeszpiegi, lecz lord go uprzedził.

— Zostań! — rzekł, oddał swój karabin sipajowi i przeskoczył przez zwój. — Ja chcę także raz coś pożytecznego uczynić dla wszystkich.

— Może pan to przyplacić głową, lordzie — ostrzegął go baron.

— Ba! — odparł tamten. — Moja głowa nie znaczy więcej, niż głowa Mahratty! Ja się już załatwię z tą garstką łotrów!

Wyjął rewolwer i ruszył korytarzem z taką swobodą, jak gdyby się znajdował na spacerze w Londynie. Gdy doszedł do skrzyżowania, zniknął w korytarzu, wiodącym do bananowca. Potem dał się słyszeć strzał z rewolweru, w końcu rozległy się kroki powracającego.

— Naprzód! — krzyknął. — Wszyscy są w przyzwoitym oddaleniu! Za zakrętem był tylko szpieg, którego oduczylem ciekawości!

— Teraz ta cała historia jest mi istotnie bardzo podejrzana — rzekł doktor, gdy ruchoma twierdza bez przeszkody przeszła także i ten bardzo niebezpieczny punkt. — Albo oni chcą nas wyłapać, jak muchy, gdy pojedynczo będziemy się wdrapywać do bananowca, albo tam dalej w szybie przygotowali dla nas zasadzkę.

Wtargnęli więc do korytarza, wiodącego do pnia, gdy nagle w oddali rozległ się głośny, szydwczy śmiech. Wszyscy drgnęli.

— Mandżadi! — syknął Mambazi.

— Aha! — mruknął doktor. — Teraz się coś zacznie!

— Zobaczmy wkrótce z pomocą Brahmy — rzekł von Denhoff, badając starannie zamek swego karabinu. — Pierwszy, który się pokaże, przeniesie się natychmiast na łono bogini Bhawani! Gwarantuję!

Ostatnie sto kroków, aż do wejścia do szybu, przebyli nasi podróżnicy gładko. Było rzeczą jasną, że korytarz aż do drabiny jest próżny.

Mambazi poszedł na zwiady i potwierdził to przypuszczenie. Następnie zbadał ostatni odcinek korytarza, aż do punktu, gdzie się kończył wśród skał. Także i tam nie było widać nic podejrzanego.

— Jeśli mamy ich oczekiwać z jednej strony, — rzekł von Denhoff — w takim razie biorę na siebie obronę szańca z dywanów.

— Nie obawiam się wcale otwartego napadu — odparł doktor — raczej jakiegoś chytrego podstępu, przeciw któremu nie jesteśmy uzbrojeni i dlatego nie potrafimy się obronić.

Po tych słowach chwycił w rękę pochodnię i starannie zbadał podłogę oraz ściany szybu.

Przy drabinie podniósł głowę i spojrzał w otwór. Równocześnie z jego piersi wydarł się okrzyk przerażenia.

— Co to? co to? — spytał gorączkowo von Denhoff, nadbiegając. — Jeden rzut oka powiedział mu wszystko.

Thiigowie w międzyczasie przedziurawili pień bananu w sześciu naprzeciw siebie leżących punktach i przeprowadzili przez nie trzy grube sztaby żelazne.

Ucieczka po tej stronie była niemożliwa.

Sama myśl o przełamaniu tych sztab była śmieszna.

— Do kroćset tysięcy siarczystych diabłów! — zaklął baron tupnąwszy gniewnie nogą. — Teraz na darmo toczyliśmy nasze zwoje aż tak daleko! Taki łotrowski podstęp ze strony tych kretów! I dlatego to tak uprzejmie robili nam miejsce! Zresztą — zwrócił się do doktora, aby wyładować na nim swój gniew — powinienes być nam wcześniej o tym powiedzieć!

— Ja?! — spytał ze zdumieniem. — Dlaczegoż właśnie ja...?

— Dlaczego ty? — przerwał mu baron. — Bo ty jesteś mądrała, który zawsze popisuje się swoim mędrkowaniem, jak gdyby wszyscy inni ludzie na świecie mieli tylko wodę w głowie!

Doktor wzruszył ramionami.

— Co tam się stało? — rozległ się z głębi korytarza głos lorda Artura, który właśnie zdejmował swemu Bobowi pancerz z ciała, gdyż w tym grubym kobiercu nie byłby w stanie precyzyjnie się przez szyb.

— Nie możemy się tędy przedostać. Okratowali nam okno, wiodące na wolność!

— W takim razie wracajmy — flegmatycznie rzekł Anglik.

— Tak! Gdybyśmy, zamiast tutaj, poszli lewym korytarzem, stalibyśmy teraz przed tajemniczymi drzwiami, wiodącymi do świątyni! Te drzwi muszą po tej stronie mieć jakąś klamkę i wolność leżałaby przed nami! Mambazi, co myślisz o naszym położeniu?

— Musimy wracać — odparł Mahratta, oglądawszy sztaby żelazne w bananowcu. — Musimy wracać jak najspieszniej, zanim oni nie zatarasują nam drogi z drugiej strony. Chytróść Mandżadiego nie ma granic!

Wrócił znowu do korytarza, lecz tylko po to, aby się przekonać, że tymczasem jego proroctwo się spełniło. Właśnie Thugowie toczyli ogromny zwój dywanów, a za nim rozległ się dziki wrzask triumfu.

Oblicze Mahratty zmierzchno się na ten widok. Przez kilka sekund z zaciśniętymi zębami przypatrywał się walcowi, który powoli się zbliżał, na kształt ruchomego muru.

— Prędko tę połowę dywanów przenieść do szybu! — rozkazał i rozciął sznury, którymi związane pierwszy zwój. — Tam będzie może nasz ostatni szaniec!

Rzucono się szybko do wykonania tego polecenia, gdyż wszyscy zrozumieli, że każda chwila jest droga.

Gdyby zwoje wrogów się zetknęły, wówczas Thugowie mogliby rzucać kamienie, a nasi podróżnicy musieliby się cofnąć do szybu, by nie ulec zmiżdżeniu.

— Przekłęte położenie! — krzyknął von Denhoff. — Jak myślisz, Mambazi, czy nie byłoby najlepiej bezzwłocznie ruszyć naprzeciw nich? Skoro zwoje się zetkną, Thugowie muszą się zatrzymać, a my będziemy mieli większą przestrzeń.

Mahratta kazał natychmiast nienaruszony zwój popchnąć naprzód, naprzeciw Thugów. Na jakieś dziesięć kroków przed nimi pozostawił go i wraz z innymi cofnął się do wejścia do szybu. W ten sposób nasi bohaterzy zyskali jakieś czterdzieści wolnych kroków, gdzie mogli swobodnie się poruszać. Lecz cóż to?

Także i Thugowie zatrzymali się, tak, że między obu zwojami pozostała wolna przestrzeń, długości sześciu do siedmiu kroków. Równocześnie dotychczasowy wrzask zamienił się w cichy szept. Jakież nowy podstęp przygotowywali tam chytry wrogowie? To się pokazało niebawem.

Gliniany garnek, rzucony niewidzialną ręką, upadł tuż przy zwoju i rozbił się na drobne kawałeczki. Z wnętrza wypłynął czerwony płyn, obryzgując dywany i ściany korytarza. Nadleciał drugi i trzeci garnek, który rozbił się po drugiej stronie szańca. Następnie padł płonący wieniec smolny i w jednej chwili płyn buchnął oślepiąco jasnym płomieniem, który syczał i przyskał.

— Grecki ogień! — zawołał doktor z przerażeniem.

— Co to jest? — spytał baron.

— Grecki ogień! — powtórzył doktor.

— Niech sobie będzie bengalski albo chiński! — odparł von Denhoff.

— Nie śmieć się! — ostrzegał go poważnie doktor.

— Te płomienie są straszne! Nic ich nie ugasi, ani woda, ani piasek, ani popiół. W przeciągu pół godziny z naszego szańca będzie tylko trochę tlących szmat.

— Cóż ty pleciesz? — zaśmiał się baron. — Mogą pół roku palić tę górę dywanów, zanim spłonie!

— Zobaczmy — sucho rzekł doktor, wzruszając ramionami. Dalsze wypadki potwierdziły słowa doktora. Z płomieni wzbil się biały, gęsty dym i zdawało się, że wypełni cały korytarz. Na koniec znalazł ujście przez szyb, który działał, jak komin.

Skoro pierwsze obłoczki dymu pojawiły się w oknie bananowca, na zewnątrz rozległ się ogłuszający ryk triumfu. Rzecz jasna, że tam czatował osobny oddział sekciarzy, który w ten sposób powitał oznakę zagłady swych wrogów.

Najgorsze było to, że dym w korytarzu zupełnie zasłonił nieprzyjacielski obóz.

Thugowie wykorzystali to natychmiast.

Rzucili nowy garnek i wnet z białą mgłą połączył się czarny, śmierdzący dym i zapach płonących dywanów. Nie można było dłużej w korytarzu wytrzymać.

— Wracajmy do szybu! — rozkazał Mambazi. — Tam będziemy mogli odetchnąć!

Wszyscy wrócili do szybu i zatkali wejście dywanami, wziętymi z ocalonego zwoju. Ściana ta była chwiejna i niepewna lecz przynajmniej powstrzymywała gryzący dym.

To na razie wystarczyło, gdyż jak długo korytarz wypełniał dym, Thugowie nie mogli posuwać się naprzód.

Minęły, dwie godziny niemego oczekiwania. W końcu Mambazi mógł zobaczyć dno szybu.

— Uwaga! — upomniał swoich towarzyszy — Oni nie będą długo zwlekać.

Odsunął nieco dywany, tak, że przez wąski otwór można było widzieć, co się dzieje w głębi korytarza.

Gdy dym zmalął nieco, w głębi ukazało się dwóch Thugów, jeden z nich niósł garnek, drugi zaś wieniec smolny. Wślizgnęli się do wejścia do szybu, gdzie pierwszy rozbił garnek u stóp zwoju dywanów, drugi zaś rzucił wieniec. Następnie obaj umknęli.

Gdy Mambazi znów usunął nieco dywany i utworzył wąską szparę, ujrzał tuż przed sobą morze płomieni. Na jego obliczu odmalowało się przerażenie. Bez słowa pociągnął doktora do szpary i poprosił go, by spojrzał.

— Wielkie nieba! — krzyknął uczonej ze zgrozą. — Oni chcą nas żywcem spalić!

— Co? co? — zawołali inni równocześnie.

Doktor szybko im wyjaśnił, jakie jest obecne położenie.

— Nędzni tchórze! — wybuchnął baron. — I te dzikie bestie nazywają się ludźmi! Zrzućcie dywany, niech zaduszą ogień lub przynajmniej przykryją, a my idźmy naprzód, pokażmy tym łotrom, jak umiemy walczyć i umierać!

— Co pleciesz? — krzyknął doktor. — Tam szaleje ściana ognia! Ona nas pochłonie, skoro tylko wtargniemy do korytarza! Musimy ratować się przez szyb!

— Ależ sztaby żelazne!

— Ja się postaram je usunąć! — zawołał Mambazi.

Wspiął się po drabinie, aż do przeszkody i tutaj sztyletem starał się wykroić drzewo dokoła żelaza. Gdyby mu się zdało w ten sposób usunąć jedną sztabę, oblężeni mogliby się prześliznąć i bronią utorować sobie drogę.

Było jednak za późno. Gdyby tę pracę byli zaczęli przed dwiema godzinami, byłoby się może udało. Zanim by teraz zdołali usunąć jedną sztabę, ogień strawiłby dywany i wtargnął do szybu. Dym przedzierał się już przez szpary.

Rozpacz oblężonych dosięgała zenitu. Biali zgrzytali zębami, Filip jęczał i wzdychał za piękną Saksonią, obaj żołnierze modlili się, a nawet Hider beznadziejnie załamywał ręce.

Tylko trzech ludzi nieunikniona katastrofa zdawała się nie wzruszać: Mahratę, który ciągle dłubał w drzewie, lorda Artura i Boba.

Skoro Anglik zrozumiał, że wszystko stracone, wyciągnął rewolwer i podał Irlandczykowi.

— Bob — rzekł — już koniec. Przebacz mi, że cię zawlokłem do tego przekłętego kraju. Skoro tylko pojawią się płomienie, strzel mi w łeb, a potem zastrzel się sam. Zrozumiałeś? Ja nie chcę, abyśmy się żywcem spalili!

— *All right, milord!* — odparł krótko Bob, chowając rewolwer.

Nero biegał ustawicznie między oblężonymi. Nagle począł skrobać ścianę u stóp drabiny, jak gdyby chciał sobie tamtędy, utorować drogę, potem wrócił do barona i zaczął mu lizać dłonie.

— Mój biedny Nero! — rzekł von Denhoff. — Także i ty czujesz, co nam grozi. Lecz nie będziesz cierpieć! Przedostatnia kula dla ciebie!

To mówiąc pogłaskał jego grzbiet.

Ale gdy pies znów wrócił do drabiny, doktorowi wydało się to dziwne i godne uwagi.

— Co jest temu zwierzęciu? — mruknął. — Trzeba się przekonać! Instynkt czasem prowadzi do cudownych odkryć!

Przystąpił do podnóża drabiny, zapalił pochodnię i począł uważnie oglądać kamienną ścianę.

— Mambazi! — krzyknął w kilka sekund potem. — Chodź tutaj! Tu muszą być drzwi!

Mahratta w oka mgnieniu stanął przy nim.

— Gdzie? — spytał, nachylając się.

Doktor w milczeniu wskazał cienką linię idącą w poprzek kamienia.

Mambazi uważnie przyjrzał się tajemniczej rysie.

— Nie ma żadnej wątpliwości — rzekł. — To są drzwi! Lecz w jaki sposób je otworzyć?

— Starajcie się ten sposób jak najprędzej znaleźć — zawołał von Denhoff, zbliżywszy się wraz z innymi. — Ogień najdalej za kwadrans tu się przedostanie!

Thugowie prawdopodobnie rzucają nowe garnki... Mambazi obmacywał właśnie tajemniczą, ruchomą ścianę.

— Nożyce! — zawołał nagle, a oczy jego zaświeciły radością. Podano mu natychmiast żądany przedmiot, za pomocą którego udało mu się po długich wysiłkach otworzyć tajemnicze drzwi, posługując się nim jak dźwignią.

Na widok tajemniczego lochu, wróżącego zbawienie, okrzyk radości wydarł się ze wszystkich piersi.

Okrzyk ten usłyszeli Thugowie, otaczający bananowiec na zewnątrz, lecz byli pewni, że to jest wrzask trwogi i zgrozy ginących i odpowiedzieli nań przeraźliwym i szyderczym wyciem.

Oblężeni porwali swoje przedmioty, które mogły im być nadal potrzebne i ruszyli za Mambazim. Musieli się czołgać, gdyż loch był bardzo niski.

Gdy wszyscy zniknęli w tajemniczym korytarzu ostatni z nich zamknął drzwi za sobą.

Był już najwyższy czas. W pięć minut później ściana, złożona z dywanów, przeżarta ogniem, zapadła się, potężny słup dymu buchnął przez szyb i wyszedł na zewnątrz przez otwór w bananie.

Gdy to Thugowie ujrzeli zaczęli śpiewać dziką, fanatyczną pieśń i tańczyć dokoła pnia drzewa jak szaleni. Byli pewni, że ich wrogowie zginęli w ogniu Asangi, najwyższego kapłana. Pozostać mogły tylko zwęglone szczątki. A więc przepotężna bogini Bhawani uchroniła swoich czcicieli od bezbożnego odkrycia ich świętości! Wróćmy do naszych przyjaciół.

— Bob — rzekł lord Artur, gdy drzwi za nimi się zamknęły. — ciesz się, możesz dalej — głodować! Tym razem umknęliśmy! Lecz skoro znajdziemy obficie zastawiony stół, musisz nadrobić

to, coś zaniedbał! Tak jest Bob, głód daje ci się we znaki. Jesteś bardzo błądy. Czujesz się bardzo osłabiony nieprawdaż?

— *O no, milord* — wyznał Bob, opuszczając oczy — ja się w ostatnich chwilach obawiałem...

— Obawiałeś się?! — zawołał zdumiony lord. — To śmieszne, Bob! Ty i twoga! Byłeś zawsze taki odważny! Mylisz się: to tylko głód, Bob, wierz mi! Nie przyzwyczaileś się jeszcze do niego. Lecz to się zmienia, tylko cierpliwości!

Korytarz podziemny rozszerzył się niebawem. Nie trzeba było się czołgać, można było iść swobodnie, w wyprostowanej postawie. Po pewnym czasie nasi podróżnicy natknęli się na żelazne drzwi, które otworzyli z łatwością, gdyż obracały się dokoła własnej osi.

A za nimi odkryli podwójne schody. Jedne z nich liczyły trzydzieści dwa stopnie i gubiły się w ciasnym niskim korytarzu, idącym prostą linią wśród głębokich ciemności. Mambazi szedł tym korytarzem spory kawałek i nie natknął się na żadne zakrzywienie.

Drugie schody miały tylko dwadzieścia siedem stopni. Podziemny korytarz tutaj odchyłał się dość gwałtownie od prostego kierunku ku pomocy, jak wskazywał mały kompas przy zegarku doktora.

— Dokąd się teraz zwrócimy? — spytał von Denhoff, patrząc na doktora i Mahrattę.

— Pozwól mi jeszcze raz oglądnąć plan — odparł doktor. Wyjął swój notes i otworzył go.

— Jeśli rysunek Hidera odpowiada istotnemu stanowi rzeczy — oznajmił — w takim razie radzę iść na lewo. W odległości ośmiuset do tysiąca kroków musimy natknąć się na wybrzeże, gdy tymczasem drugi korytarz zdaje się prowadzić w głąb wyspy, gdzie na razie nie mamy czego szukać. Co myślicie o tym?

— Osiemset kroków? — rzekł baron. — Jeśli nie wynosi więcej, możemy po tej stronie spróbować.

W najgorszym razie będziemy sobie spacerować przez kwadrans.

Ruszyli naprzód, idąc za Mambazim, który niósł pochodnię. Po osiemdziesięciu krokach korytarz podziemny zaczął powoli podnosić się w górę, a po sześciuset twarda skała ustąpiła kwadratowym blokom, tworzącym jednolitą, gładką ścianę. Po sto dwudziestu krokach nasi podróżnicy stanęli przed kamienną płytą, która zamknęła im drogę.

— Za nią jest wolna przestrzeń! — szepnął Mambazi wskazując płytę. Była ona przytwierdzona do ściany za pomocą tęgiego łańcucha.

Mahratta podał pochodnię doktorowi, odczepił łańcuch i odchylił powoli płytę. Przez wąską szparę wpadło jasne światło dnia. Ledwie Mambazi rzucił spojrzenie na zewnątrz, szybko cofnął płytę. W oczach jego świeciło radosne zdumienie.

— Port Thugów! — oznajmił.

Odpowiedział mu okrzyk radości.

— Lecz teraz cicho! — dodał Mambazi. — Musimy poczekać do nocy, aby móc wsiąść do łodzi, bo inaczej nas spostrzegą, jeśli nas już nie spostrzegli.

— Cofnijmy się głębiej w korytarz — rzekł doktor.

— Tam będziemy mogli rozmawiać spokojnie, bez obawy, że nas usłyszą.

O godzinie ósmej wieczorem Mambazi dał znak do wyjścia.

Gdy nasi podróżnicy odchylili płytę, na zewnątrz okolica była pogrążona w głębokim zmierzchu. Port Thugów był mały, może dziesięciometrowej długości. Do kołków nadbrzeżnych przywiązany był tuzin łodzi rozmaitej wielkości. Nikt ich nie pilnował.

Nasi podróżnicy wsiedli do jednej z największych chwycili wiosła i odpłynęli. Spostrzegli, że są na odnodze rzeki między północną granicą wyspy Radżmangal i Goasabą. W godzinę później dotarli do Goasaby.

W czasie dnia nasi podróżnicy z tego miejsca mogliby widzieć potężną koronę bananowca. Lecz teraz nieprzenikniona ciemność otulała swoim czarnym płaszczem ziemię i wodę.

Lecz Mambazi miał wrażenie, że jego bystre oczy spostrzegają jakiś delikatny odblask ponad gęstwiną dżungli. Czyż Thugowie wciąż się obawiają, że ich ofiary mogą uciec i w tym celu dookoła polany zapalili wieniec ogni strażniczych?

Nie.

Pod potężną koroną świętego drzewa płonęło kilka wielkich ognisk, które rzucały blask w ciemność nocy. Lecz były to ognie radości, dokoła których leżeli bezładnie Thugowie, wrzeszcząc przeraźliwymi głosami i racząc się haszyszem. Świecili w ten sposób triumf bogini Bhawani i weselili się z powodu śmierci niebezpiecznych wrogów, którzy w bezczelności swej ośmielili się wdrzeć aż do wnętrza świątyni.

Rozdział XII.

Mr Mac Dougall urzędnik policji.

Jego Ekscelencja, wicekról Indii, siedział przy śniadaniu wraz ze swoim dawnym kolegą szkolnym, sir Ralfem Ludingtonem.

Jego Ekscelencja ze szczególnem zamiłowaniem zajmował się dziełami sztuki kulinarnej, a sir Ralf znaczną część swoich dochodów wydawał na jedzenie i napoje. Obaj panowie zatem znakomicie sobie odpowiadali i mogli z rozkoszą oddać się przyjemnościom śniadania. Sir Ralf, napelniwszy żołądek delikatesami i zwilżywszy gardło szampanem, ziewnął serdecznie.

Oblicze sir Ralfa Ludingtona było mniej więcej długości trzewika, lecz skoro ziewał, było dwa razy dłuższe, albowiem było zaopatrzone w niezwykle długie usta, poza którymi ukrywały się isticie końskie zęby. Takiego ziewania przy najlepszych chęciach nikt nie przeoczy, nawet dyplomata, toteż Jego Ekscelencja zwrócił się do sąsiada z zapytaniem:

— Nudzisz się?

— *O yes*, nadzwyczajnie!

— Zgadzam się z tobą. Gdy tylko odsłużę swoje pięć lat, nie pozostanę dłużej w Indiach ani godziny!

— Ja także. Jutro odjeżdżam.

— Już jutro?

— *Yes*.

— Pojmuję cię, Ralfie — rzekł melancholijnie Jego Ekscelencja — istotnie trudno tu wytrzymać.

Niech nam będzie wolno podać garść szczegółów, dotyczących sir Ralfa Ludingtona.

Był bogaty, bardzo bogaty, bardzo długi, nieomal nieprzyzwoicie długi i bardzo chudy. Swoim małym jachtem „Lady Lyle” pływał po wszystkich zakątkach globu ziemskiego, pragnąc zobaczyć coś naprawdę interesującego. Ponieważ jednak ani wieże na cześć jego przybycia nie chciały stawać na głowie, ani rzeki płynąć w przeciwną stronę, ku źródłom, przeto doszedł do przekonania, że „wszystko już było” i że „nie warto podróżować tak daleko”. W ostatnich tygodniach popłynął w górę Gangesu, a potem wrócił, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, niż dzień. Przytoczymy kilka notatek z jego dziennika podróży; one określają dostatecznie charakter sir Ralfa.

„*Ganges* — brudny, śmierdzi, zwłaszcza wieczorem. Dużo trupów, nie wiem czy tych ludzi wrzucono żywych, czy też umarłych! Roczne dopływy. Krokodyle. Tłumacz mówi, że zowią je tutaj

„gawiałami”, ale mu nie wierzę”

„*Bhagalpur* — brudny, gorący, nudny. Złe jedzenie. Dużo domów, ogrodów. Hindusi, mahometanie”.

„*Patna* — brudna, gorąca, nudna. Bardzo złe jedzenie. Hindusi, mahometanie. Tłumacz mówi, że w r. 250 przed Chr. odbył się tutaj wielki kongres buddystów. Kłamstwo!

„*Benares* — gorące, nudne, brudne. Złe jedzenie. Dużo ludzi. Domy, ogrody. Zresztą nic.”

„*Allahabad* — brudne, nudne, gorące. Jedzenie jakie — takie. Hindusi, mahometanie. Domy, ogrody, wieże, wiele ruin. Tłumacz mówi, że bardzo interesujące, lecz temu nie wierzę” i.t.d.

Gdy na koniec wrócił do Kalkuty, zwrócił jego szczególną uwagę kucharz, którego wicekról sprowadził sobie z Paryża. Przyjął zaproszenie swego dawnego przyjaciela z ławy szkolnej, zamieszkał u niego i wychodził ze swego pokoju tylko wówczas, gdy go proszono do stołu.

Gdy obaj panowie zabawiali się rozmową, zapukał ktoś do drzwi i do pokoju wszedł adiutant.

— Ekscelencjo — zameldował — na podwórzu czekają dwaj sipajowie, którzy przywieźli pilny list...

— Ależ pan wie przecież — niecierpliwie odparł wicekról — że takie sprawy załatwia mój sekretarz. Jak pan może zaprzętać moją głowę takimi drobnostkami?

— To właśnie powiedziałem tym ludziom — bronił się oficer — groziłem im nawet aresztem, lecz oni odpowiedzieli: „Bądź łaskaw, sahib, bo sahib lord utnie nam uszy, jeśli listu nie oddamy pod właściwym adresem”.

— Jakiż to sahib lord? — niecierpliwie spytał Jego Ekscelencja.

— Tego nie mogłem się dowiedzieć. Oni naturalnie zapomnieli jego nazwisko.

— A więc — rzekł wicekról po namyśle — jeśli mnie zaszczyca swoją epistołą taka znakomitość, jak lord angielski, przeto muszę ją przeczytać. Proszę mi przynieść!

Oficer wykonał w lot polecenie.

Wicekról wziął list w rękę i przede wszystkim rzucił okiem na podpis.

— Ach, to od siostrzeńca mej kuzynki, od lorda Artura Connaughtona! — zawołał — Wszak znasz go, Ralfie?

Sir Ludington wyciągnął z kieszeni swój notes otworzył i przeczytał:

„Lord Artur Connaughton — szalony Artur! Wiem teraz, kim jest ten człowiek. Słyszałem o nim w Londynie. Nazwał go w klubie w ten sposób jego kuzyn James”.

— Wierzę! — zawołał wicekról ze śmiechem. — Ten musiał go odmalować w soczystych słowach! Żyli ze sobą od dziecka, jak pies z kotem. Szkoda, że nie przyjechałeś do mnie o jeden dzień wcześniej, byłbyś poznał osobiście lorda Artura. Zatrzymał się u mnie przez trzy dni, a potem udał się do dżungli, aby polować na tygrysy.

— Co?! — zawołał uradowany sir Ralf. — To można tutaj?

— Oczywiście! Gdzież mogą tygrysy żyć, jeżeli nie tutaj!

— Wspaniale! — zawołał sir Ralf, zrywając się z miejsca. — Biegnę po karabin!

— Powoli, powoli, kochany Ralfie! — zmitygował go Jego Ekscelencja. — Tygrysy nie biegają po ulicach Kalkuty, jak psy lub gołębie! Chwała Bogu zresztą! Ponadto trzeba ci do tego słoni, naganiaczy i tak dalej.

— To głupie! — mruknął sir Ralf. — Jakżeż więc dostać się do nich?

— Musisz przede wszystkim udać się do dżungli. Lecz czekaj! Muszę się przekonać, gdzie się znajduje kuzyn Artur i czego chce. Może będę mógł wysłać cię do niego.

Po tych słowach począł czytać list.

Na obliczu jego odmalowało się najpierw zdumienie, potem ciekawość, a na koniec wybuchnął głośnym śmiechem.

— Wspaniale! Wybornie! — zawołał. — Pragnie mieć cały pułk żołnierzy i pancerniki Co za szalona historia! Posłuchaj, Ralfie:

„Ekscelencjo!

„Kochany Kuzynie!

„Gdy mieszczanie z Hawksbury zamierzali zlinczować swego sekretarza Milnera, sędzia pokoju kazał go pilnować trzydziestu dwu konstablom; a gdy mieszkańcy Dedeagh zabili bankiera Jonesa, rząd wysłał do Konstantynopola wielką flotę, aby zażądać zadośćuczynienia. A przecież pierwszy skradł gotówkę z kasy sieroczej, a drugi skorzystał z nieurodzaju, aby wyzyskać całe miasto. Mój Bob natomiast jest niewinny, jak nowonarodzone dziecię, a łagodny, jak jagnię! Jakże więc pan usprawiedliwi ten fakt, że on, wolny obywatel angielski, został porwany i uprowadzony przez krajowców z naszego obozu?! Doktor twierdzi, że porwali go Thugowie, a więc ludzie, którzy jak głoszą Pańscy urzędnicy, muszą być doszczętnie wytrzebieni!! A te łotry mają na wyspie Radzmangal kryjówkę i świątynię!!! Byłoby więc wskazane, abys Pan natychmiast wysłał pułk żołnierzy i pancernik, aby tych łotrów zniszczyć i wyrwać mego Boba z ich szponów.

Cofam to żądanie. Albowiem ja i moi przyjaciele jesteśmy mężczyznami i w tej chwili wyruszamy, aby z bronią w ręku uwolnić Boba.

Ponieważ jednak nie wiemy, z jak wielką liczbą wrogów będziemy mieli do czynienia, przeto proszę o przysłanie nam na pomoc kompanii wojska i małego okrętu wojennego.

Mam nadzieję, że Pan przychylił się do tej prośby, jeśli bowiem mój Bob zginie wśród tych przygód, będę musiał zapomnieć o łączących nas węzłach pokrewieństwa i wnieść w parlamencie skargę przeciw panu. A w takim wypadku w jakim sposobie Pan pierwszy urzędnik w Indiach, usprawiedliwi przed światem swoje zachowanie?!

Proszę mi wybaczyć, że trudzę Pana tą sprawą i proszę przyjąć zapewnienie mej życzliwości, z jaką pozostaję.

Pański kuzyn lord Artur Connaughton”.

— Czy ta epistoła nie jest nieoceniona, Ralfie? — spytał wicekról, śmiejąc się z całego gardła.

— Kto jest ów Bob? — spytał sir Ludington. — Może jego syn?

— Gdzież tam! Jego służący, którego wozi ze sobą, owiniętego starannie, jak jakie osobliwe zwierzę i którego tuczy na śmierć! Lecz cóż mam teraz począć? Mogę się ostatecznie postarać o żołnierzy, ale okręt! Admiralicja ma inne sprawy na głowie, niż wysyłać pancernik dla ratowania jakiegoś tam Boba!

Sir Ralf Ludington podniósł się z krzesła gotów do odejścia.

— Nie kłopotz się tym! — rzekł. — Ja natychmiast tam wyjeżdżam! Gdzie leży ta miejscowość, Radzamank czy też jak tam?

— Radzmangal! To jest wyspa przy ujściu Gangesu. Lecz czekaj! Przede wszystkim muszę ci przydzielić żołnierzy...

— Nie potrzebuję żołnierzy. Sam jadę. Wystarczy.

— Nie pleć głupstw! Jeśli istotnie chodzi o Thugów, którzy tam mają swą kryjówkę, to nie dasz sobie rady, mając tylko garść marynarzy. Ci sekciarze nie obawiają się ani miecza ani ognia, lecz rzucają się w objęcia śmierci z szaleńczym fanatyzmem. Trzeba ci koniecznie żołnierzy, doświadczonego urzędnika policji oraz pilota, znającego rzekę i drogę wśród labiryntu wysp.

Sir Ralf Ludington spojrział na zegarek.

— W przeciągu pięciu godzin moja „Lady Lyle” będzie gotowa do drogi — rzekł. — Teraz jest godzina pierwsza, o szóstej odpłynę. Jeśli twoi ludzie będą gotowi do szóstej, mogą się zjawić. Lecz o prowiant muszą się sami postarać. Moja „Lady Lyle” nie jest okrętem transportowym. Do widzenia.

Podał prawicę wicekrólowi i wyszedł, sztywny jak Don Kiszot.

Jego Ekscelencja zadzwonił do adiutanta i polecił mu wysłać na pokład „Lady Lyle” kompanię

sipajów z sierżantem i prowiantem na osiem dni.

O godzinie piątej na pokładzie tego parowca pojawił się doświadczony pilot tudzież jakiś mały pan o mocno ogorzałym obliczu. Za nim dwaj saisowie wnieśli duży kufer i łódź jednoosobową, jakiej krajowcy używają do krótkich podróży po rzece.

Sir Ralf o godzinie w pół do drugiej wrócił na pokład „Lady Lyle” i rzucił rozkaz:

— Ludzi, których przyśle wicekról, umieścić na spodzie statku! O godzinie szóstej odjazd. Nie przeszkadzać mi!

Udał się do swej kajuty, gdzie się położył na sofie i zapalił wonne cygaro.

O godzinie szóstej pociągnął za sznurek dzwonka. Pojawił się lokaj.

— Pilot przybył?

— *Yes, sir.*

— Z admiralicji?

— *Yes, sir.*

— *Well*, w takim razie odpływamy. Natychmiast!

— *All right, sir.*

Lokaj odszedł. W kilka minut później „Lady Lyle” odpłynęła. W niedługi czas potem ktoś zapukał do drzwi.

— Dobry wieczór, sir! — odezwał się jakiś nieznany głos.

Sir Ralf zwolna odwrócił głowę. Przed nim stał ów mały pan, który pojawił się na pokładzie parowca z kufrem i czólnem. Sir Ralf spojrział nań ze zdumieniem.

— Nazywam się Mac Dougall, John Mac Dougall — oznajmił przybysz z głębokim ukłonem.

— *Well*, i cóż więcej? — spytał sir Ralf.

— Jestem urzędnikiem policji. Chciałbym pomówić z panem o naszej sprawie.

Sir Ralf się zdumiał. Jakąż wspólną sprawę mógł mieć z tym człowiekiem?

— Nie wołałem pana — rzekł krótko.

— Wiem o tym, sir — odparł tamten dwornie. — Ponieważ jednak przysłał mię tutaj mój „deputy”, więc musiałem się zgłosić.

— *Well* — rzekł zimno sir Ralf. — W takim razie dyskutuj pan ze swoim „deputy” lub z wicekrólem. Nie mam na to czasu.

— Dziękuję za to, sir — odparł tamten — zapamiętam to sobie!

— Co? — spytał opryskliwie sir Ralf, którego złościło to, że „intruz” wciąż jeszcze stał w kajucie.

— Zdaje się, że teraz jest w modzie ten piękny sposób wyrzucania za drzwi urzędników królewskich — ostro rzekł mr Mac Dougall.

Sir Ralf spostrzegł, że popełnił niewłaściwy krok, więc stał się bardziej uprzejmy.

— Więc pan jesteś urzędnikiem? — spytał.

— Jak pan widzisz, sir, jestem asystentem urzędu policyjnego.

— W takim razie proszę mi wybaczyć i usiąść łaskawie — uprzejmie rzekł sir Ralf.

Urzędnik zajął wskazane miejsce i spytał ze śmiechem:

— Zdaje mi się, że pan nie lubi rozmawiać z konstablami?

— Nie cierpię ich! Zatrzymują zawsze człowieka, gdy chce prędzej jechać, niż wolno. Tylko z tego powodu udałem się w tę podróż, aby żadnego z nich nie widzieć! A więc pana wysłał wicekról?

— Tak, on słyszał o mnie coś niecoś i przypuszczał, że posiadam zalety, które uczynią mnie pożytecznym w tej wyprawie.

Mr Mac Dougall, w ten sposób mówiąc o sobie, był stanowczo zanadto skromnym, gdyż uchodził za najlepszego urzędnika policyjnego w całym Bengalu i w całych Indiach Centralnych. Dla własnej prywatnej satysfakcji w wolnych godzinach bawił się w tajnego detektywa i jako taki zyskał szeroką sławę. Opanował znakomicie wiele dialektów półwyspu, jak również mowę złodziejską tszangarów. Mógł się dowolnie przemienić w Hindusa lub Malaja; pewnego razu nawet wygłosił kazanie w meczecie w Mimbar jako mahometański mułła.

— Cóż pan zatem myślisz o tej sprawie? — spytał sir Ralf.

— Na razie jeszcze nic, tyle tylko, że płyniemy do Radżmangalu. Tam zamierzam wmieszać się między Thugów.

— Thugów? — spytał ciekawie sir Ralf — A to co?

— To są te łotry, które porwały Boba lorda Artura.

— Ach, to ci! Nie wiedziałem. Może mi pan coś więcej o nich powiedzieć?

Mac Dougall opowiedział mu o Thugach mniej więcej to, cośmy już usłyszeli z ust doktora.

Sir Ralf przysłuchiwał się uważnie tym wyjaśnieniom, wyciągnął swój notes i zapisał w nim:

„Thugowie — klub w Indiach Wschodnich.

Miejsce: nieznane.

Cel: porywanie lokajów.

Prezydent: nie wiadomo.

Wiceprezydent: nie wiadomo.

Sekretarz: nie wiadomo.

Kasjer: nie wiadomo.

N. B.: Dżentelmen z Anglii nie może wstąpić, lecz bardzo interesujące”.

— A więc pan zamierzasz wmieszać się między tych ludzi? — spytał potem.

— *Yes, sir* — odparł urzędnik policji.

— W dzień czy w nocy?

— W dzień, oczywiście.

— Zauważą pana i chwycą.

— Pan mnie nie rozumie — odparł urzędnik. — Nie chcę ich podejść podstępnie, lecz zamierzam wejść do ich związku, jako jeden z Thugów.

— Więc pan chcesz się przebrać za Thuga? Ach, to naprawdę interesujące! Przyszło mi właśnie do głowy: tutaj, na okręcie nie mamy nic, żadnych peruk, żadnych hełmów ze staniolu, żadnych fałszywych warkoczy, jednym słowem nic!

— Nie trzeba mi tego — roześmiał się mr Mac Dougall. — Wszystkie potrzebne rzeczy mam w swoim kufrze.

— Więc pan masz kufer ze sobą?

— Tak. Nigdy się z nim nie rozstaję.

— Świetnie! — sir Ralf skinął głową. — Więc to się uda! Jeszcze jedno: wszak owo Radźmalak jest wyspą, nieprawdaż?

— Radźmangal — poprawił Mac Dougall. — Tak, to jest wyspa.

— W takim razie pan musisz wysiąść, bo inaczej Thugowie zobaczą pana i wszystko odkryją! Lub może pan chce tam popłynąć?

— Nie, nie, sir. O tym też już pomyślałem. Na pokładzie znajduje się moje czółno, prawdziwe czółno krajowców. Jego użyję.

— Czółno? Ach, to bardzo interesujące. Lecz pozwól pan; jest w pół do siódmej. Musimy jeść!

Pociągnął za sznurek od dzwonka, ponieważ jednak lokaj nie zjawił się natychmiast, przeto przez pięć minut rzucał w drzwi najrozmaitszymi przedmiotami, jakie tylko wpadły mu w ręce.

Na koniec wołany wbiegł bez tchu.

— Jutro kara — rzekł lakonicznie sir Ralf. — A teraz nakryć do stołu. Lokaj szybko pozbierał przedmioty z ziemi — między innymi leżała tam srebrna popielniczka i prawy trzewik sir Ludingtona — po czym zniknął.

Sir Ralf rozmawiał jeszcze czas jakiś z mr Mac Dougalem, a gdy ten odszedł, wyjął z kieszeni notes i zapisał:

„Mac Dougall, John — z urzędu policyjnego w Kalkucie, podróżuje z kufrem i z czółnem; mówił, że potrafi przebrać się za Thuga, lecz nie wierzę”.

Tymczasem „Lady Lyle” płynęła bez ustanku wielką, zachodnią odnogą Gangesu, która inne przewyższa znacznie ogromem. Przez cały dzień wre na niej hałaśliwe życie, jakie można zaobserwować tylko na wielkich rzekach Ameryki Pomocnej. Poruszają się na niej setki i tysiące parowców, barek, szalup, gong i czółen. Teraz w ciemnościach niezliczone światła tworzą wspaniałą girlandę gwiazd, ciągnącą się wzdłuż płaskich wybrzeży.

Gdy nazajutrz rano pojawił się południowy cypel wyspy Sagar, sir Ralf wyszedł na pokład.

Ku swemu niepomiernemu zdumieniu koło burty zauważył jakiegoś śpiącego człowieka, którego nigdy przedtem nie widział. Nie umiał sobie wytłumaczyć, w jaki sposób dostał się na parowiec. Sądząc po kolorze skóry i po ubraniu, musiał być Hindusem i zwyczajnym żebrakiem.

— Hallo, boy! — zawołał sir Ralf, trącając go końcem trzewika. — Wstawaj i mów czego tu szukasz! Lub może ciebie także przysłał wicekról?

Hindus usiadł, przecierając sobie zaspane oczy, i mruknął jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— To mi się podoba! — rzekł gniewnie sir Ralf.

— Nie umie nawet śpiewać: „Rule, rule Britannia” i chce się wprosić do towarzystwa prawdziwego dżentelmena! Ja cię nauczę!

Przywołał tłumacza i kazał mu wypytać intruza. Tłumacz wykonał rozkaz, oznajmił:

— Człowiek ten nazywa się Nanda, sahib, i pochodzi z Ameti w Rohilkand, ślubował odbyć pielgrzymkę do klasztoru Mihin, więc wypłynął łodzią; dziś w nocy zasnął w czółnie, o które uderzył nasz parowiec. Człowiek ten wpadł do wody, zdołał jednak uczepić się zwisającej liny i wdrapać na pokład. Prosi cię, sahib, abyś wziął go do najbliższego portu i wynagrodził mu straconą łódź.

— Nie wierzę! — odparł sir Ralf, kiwając głową.

— Głupia blaga! Nie był wcale we wodzie! Nie byłby w tym wypadku taki brudny! Powiedz mi to!

Tłumacz porozumiał się znów z Hindusem. Można było zauważyć, że intruz się zmieszał.

— Sahib — rzekł na koniec tłumacz. — On wyznaje, że przedtem powiedział nieprawdę. W Kalkucie zabrakło mu pieniędzy na dalszą podróż, a ponieważ usłyszał, że my płyniemy do Cejlonu, przeto wśliznął się na nasz statek w nadziei, że ty, panie, nie każesz go wyrzucić za burtę.

— Zobaczmy zaraz, czy go nie wyrzucimy! — zawołał sir Ralf, oburzony bezczelnością brunatnoskórego żebraka. — Hallo! — krzyknął, zwracając się do majtków, którzy ciekawie przypatrywali się tej scenie. — Chwyćcie go i wrzucicie do wody! Nie ma tu co szukać!

— Sir — odparł bosman, zdejmując kornie czapę. — Pan wie dobrze, że dla pana my wszyscy wskoczylibyśmy w ogień. Pan jesteś najlepszym patronem, jaki może być na świecie. Ale, byśmy tego człowieka wrzucili do wody, tego pan od nas nie może wymagać, sir. To byłby mord, zwyczajny, bezwstydnym mord i zaprowadziłby nas na szubienicę, sir!

— Racja! — rzekł sir Ralf, pocierając sobie czoło.

— Nie pomyślałem o tym! Lecz cóż uczynimy? Musi być przecież jakaś kara! Gdyby był do mnie wprost przyszedł i opowiedział mi ten wypadek, byłbym mu może dał pieniądze. Lecz tak! Wśliznął się? Nie! To zbyt wielka bezczelność! Musi być ukarany! Nie może być inaczej!

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym rozkazał tłumaczowi:

— Spytaj go, czy umie stać na głowie!

— Tak — odparł trwożnie Hindus.

— Bardzo dobrze — rzekł sir Ralf tonem zadowolenia. — Powiedz mu, że ma tu przy maszcie przez pół godziny stać na głowie z wywieszonym językiem. Potem może sobie pozostać na okręcie tak długo, aż kiedyś przypadkowo popłyniemy do Cejlonu.

Hindus wzruszył ramionami ze zdumienia, gdy usłyszał, czego biały sahib chce od niego. Ponieważ jednak nie miał innego wyjścia, przeto posłusznie zbliżył się do masztu, stanął na głowie i wywiesił język, tak daleko, jak tylko mógł, a następnie usiłował utrzymać się w równowadze w tym położeniu, co nie było łatwym zadaniem z powodu kołysania się parowca.

Sir Ralf jaśniał całym z zadowolenia. Kazał postawić krzesło w odległości pięciu kroków od

delikwenta, usiadł na nim i przypatrywał się ciekawie nieszczęsnemu Hindusowi, paląc fajkę.

Po upływie dziesięciu minut skazańcowi zabrakło sił, więc runął bezwładnie.

— Hallo! — ryknął sir Ralf, zrywając się z krzesła. — Hallo, tłumacz! Powiedz temu łajdakowi, że mnie oszukał o sześćdziesiąt sześć procent umówionego czasu!

— Sahib — rzekł tłumacz, skoro porozumiał się z Hindusem. — On błaga cię, abyś mu pozwolił trochę odpocząć. On nie może dłużej wytrzymać, chyba, że sobie język odgryzie.

— Ach, tak — rzekł sir Ralf, uspokojony nieco.

— Nie pomyślałem o tym. Ma słuszość. Dziesięć minut pauzy, a potem znów głowa na dół!

Hindus usiadł pod masztem dysząc ciężko. Sir Ralf znów zajął miejsce na krześle.

Gdy czas odpoczynku minął, skinął ręką, a Hindus znów stanął na głowie. Jego „dootee” odchyliło się nieco na piersiach, a gdy sir Ralf rzucił tam okiem zerwał się nagle, jak oparzony i gwizdnął na majtków.

— Co rozkażesz, sir? — spytali nadbiegając. — Chwyćcie go! — rozkazał sir Ralf. — Natychmiast! Zakuć w kajdany! Wrzuć na dno okrętu! Łotr! Wśliznął się, chce kraść! Znam to!

Hindus począł krzyczeć i tłumaczyć się, że jest niewinny.

— Kłamstwo! — rzekł sir Ralf. — Przytrzymać go, obnażyć pierś! Natychmiast udowodnić!

Skoro tylko Hindus zrozumiał, o co chodzi, począł się bronić ze wszystkich sił, a nawet kasać, toteż trzeba było aż trzech ludzi, aby go związać.

Na koniec leżał na pokładzie, zzymając się z wściekłości. Odsłonięto mu piersi. Na brunatnej skórze wytatuowany był czerwony wąż o kobiecej głowie, a biodra były opasane jedwabnym sznurem.

— Wiedziałem! — zawołał sir Ralf, dumny z powodu swej przenikliwości. — Ten łotr to Thug! Chce porwać stewarda! Zakuć w kajdany i wydać władzom! Gdy wstanie Mac Dougall, powiedzieć mu natychmiast! Będzie się cieszył!

Majtkowie przynieśli żelazne łańcuchy i chcieli je nałożyć Hindusowi, tan jednak począł siecze wszystkich sił bronić, aż wreszcie zawołał świętą angielszczyzną:

— Sir Ralf, czy to moda ze starej ojczyzny, w ten sposób postępować z królewskim urzędnikiem?

Zdumieni majtkowie puścili wolno jeńca, a sir Ralf tak szeroko otworzył usta, że aż fajka upadła na pokład i rozprysła się na drobne kawałeczki. Następnie przyskoczył do rzekomego Hindusa, przyglądając mu się uważnie i zawołał:

— Do kroćset tysięcy diabłów, czy to jest mr Mac Dougall, urzędnik policji, czy nie?

— On sam, we własnej osobie, sir! — rzekł zadowolony jeniec. — Lecz każ pan rozwiązać te sznury, to wywołuje złe wrażenie, gdy je ma na rękach urzędnik policji!

Życzenie to oczywiście spełniło się w lot, a Mac Dougall spytał: A więc dobrze odegrałem rolę Thuga?

— Świetnie! — zawołał sir Ralf i serdecznie uścisnął dłoń urzędnikowi policji. — Bajecznie! Na honor, sir!

Także tłumacz, sam będący Hindusem, przysięgał, że uważał go za prawdziwego członka plemienia.

— To mnie cieszy! — rzekł fałszywy Thug. —

— Mogę więc mieć nadzieję, że mój podstęp uda się na Radżmangalu. To mnie bardzo cieszy!

Sir Ralf wrócił do swej kajuty, gdzie wydobył z kieszeni swój notes i obok nazwiska Mac Dougalla pod słowami „mówi, że umie się przebrać za Thuga, ale mu nie wierzę” — dopisał następującą uwagę: „a jednak potrafi! Niezmiernie interesujące!”

Wróćmy jednak do naszych starych przyjaciół.

Przeplłynawszy przez wąski kanał górnej części Goasaby, zatrzymali się w głębokiej zatoce na lewym brzegu, przekonani, że tutaj Thugowie nie mogą ich obserwować.

Mambazi rozniecił małe ognisko, przy którym upiekli schwytane ryby i zaspokoili głód.

— A więc płyniemy do Kalkuty? — spytał doktor.

— Tak — rzekł Mahratta. — Popłyniecie w dół Goasaby aż do Hugli, gdzie znajdziecie z łatwością okręt, który was zawiezie do Kalkuty.

— Mówisz o nas tylko — rzekł doktor. — Czy nie masz zamiaru pozostać z nami?

— Nie mogę. Przy ujściu Goasaby opuszczę was i wraz z Hiderem wrócę do labiryntu.

— To niemożliwe! — przerwał von Denhoff. — Albo wszyscy, albo nikt! Chcesz się porwać na przedsięwzięcie, które łatwo możesz przypłacić życiem! A my mamy pozwolić, byś się narażał, gdy nam oddałeś takie nieocenione zasługi? Nigdy w świecie! Jeszcze raz zaznaczam: albo wszyscy, albo nikt!

— Pozwól mi mówić! — rzekł Mahratta. — Ani ja ani Hider nie pokaże się Thugom. Lecz zważ to jedno: Mandzadi, który teraz zowie się Asanga, jest chytry jak lis, a podstępny, jak wąż. Skoro po wygaśnięciu ognia uda się do szybu i nie znajdzie żadnych szczątków po nas, a przecież musi pozostać przynajmniej metal naszej broni — pozna, że uciekliśmy.

— Jeśli zna tamte kamienne drzwi! — zauważył von Denhoff. — Jeśli nie zna, będzie musiał przypuszczać, że szalejący ogień pożarł wszystko, nawet broń.

— Nie! Tego nie będzie przypuszczał! — upierał się Mambazi. — Zbyt dobrze zna siłę swego ognia a czy wie o istnieniu ukrytych drzwi, to jest obojętne. Wystarczy mu sam fakt, że zniknęliśmy, aby zrozumieć, że jak najszybciej wrócimy z żołnierzami, w celu zemsty. Pojmie, że jego kryjówka jest bezpowrotnie stracona, skoro tylko władze dowiedzą się o niej. On poświęci niewątpliwie swoich podwładnych, opuści wyspę pod lada pozorem i ukryje się w dżungli lub w górach, aż cała sprawa pójdzie w niepamięć i wszyscy uwierzą w jego śmierć. Aby temu zapobiec, pozostanę wraz z Hiderem, jeśli bowiem stracimy świeżo znaleziony ślad, możemy szukać za nim aż do końca życia. Muszę ukarać zdrajcę i mordercę mego ojca! Tak mi nakazuje obowiązek!

— Dobrze! — rzekł baron. — Niech i tak będzie! Ale w takim razie wystarczy, jeśli jeden lub dwóch spośród nas pojedzie do Kalkuty, gdyż was dwóch nie zdoła pilnować całego długiego wybrzeża Radžmangalu.

— Jeden lub dwóch — odparł Mambazi, nie dotykając ostatniego punktu — nie może płynąć ciężką łodzią w górę prądu. Musimy w inny sposób dać sobie radę.

— Przyszło mi coś na myśl! — rzekł baron. W jakież właściwie sposób zamierzacie stąd wrócić? Wszak posiadamy tylko jedno czółno.

— Wezmę murpunki, które pozostawiliśmy przedwczoraj w zaroślach, gdy wyszliśmy na ląd.

Zgaszono ognisko. Nasi podróżnicy chwycili za wiosła i łódź popłynęła w dół rzeki. Zatrzymała się w miejscu, gdzie leżało ukryte murpunki. Lecz tam trzeba było zaczekać do świtu, nie można było bowiem znaleźć łodzi wśród zarośli po ciemku.

Skoro tylko błysnął świt, Europejczycy mogli jeszcze raz podziwiać zmysł orientacyjny Mahratty. Zatrzymali się zaledwie w odległości dziesięciu metrów od miejsca, dokąd przed dwoma dniami dotarli.

Murpunki leżało tam gdzie go zostawili.

Doktor spytał:

— Co teraz uczynimy? Zaczekamy do nocy, aby przepłynąć niespostrzeżenie obok ostatniego strażnika, czy ośmielimy pojawić się za dnia?

— Płyniemy niezwłocznie dalej — rozstrzygnął Mahratta. — Mandzadi wie już, że uciekliśmy, więc jest rzeczą obojętną, czy strażnik nas spostrzeże. Wy jednak musicie jak najszybciej dostać się do zamieszkałych okolic, choćby tylko ze względu na pitną wodę.

Nasi podróżnicy posłuchali tej rady i popłynęli dalej.

Rzecz szczególna jednak. Ramsingi były nieme, choć nasi podróżnicy nie zadawali sobie nawet trudu, by się kryć w cieniu nadbrzeżnych zarośli.

Powód milczenia był bardzo prosty. Nawet strażnicy poprzedniego wieczora opuścili swoje miejsca, aby wziąć udział w uroczystości pod bananowcem, a teraz leżeli w cieniu olbrzymiego drzewa, pijani i nieprzytomni, jak wszyscy inni.

Jeden tylko Asanga chodził po swej komnacie, zgrzytając zębami i dysząc wściekłością.

Nie wziął udziału w radości swoich podwładnych, którymi w rzeczywistości gardził. Około północy sam jeden udał się do szybu, aby nasycić swoje serce widokiem spalonych wrogów. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy nie znalazł nic na miejscu oczekiwanych szczątków, nawet najdrobniejszego pyłku prócz popiołów spalonych koców! A przecież przynajmniej roztopiona broń powinna była przypominać nieszczęśliwe ofiary! Nie było najmniejszej wątpliwości — oni uciekli! Lecz w jaki sposób?

Męczył się, aby to odkryć. Zbadał ze światłem w ręku każdy cal ścian, opukiwał je setki razy od dołu do góry, lecz nie znalazł ani śladu.

Ów tajemny loch był mu nieznan, a dym płomieni zakrył zupełnie rysy pomiędzy drzwiami a skałą.

Musiał się zadowolić tym faktem, tudzież przeświadczeniem, że bezpieczeństwo tego zakątka zbliża się ku końcowi. Uciekinierzy bez wątpienia popłynęli prosto do Kalkuty, aby o wszystkim powiadomić władze, a że one wcale nie żartują, gdy chodzi o Thugów o tym Asanga wiedział doskonale. Z tego też powodu musiał uciekać i to w chwili, gdy zwycięstwo swoje uważał za pewne! A przecież takiej drugiej kryjówki nie ma w całych Indiach! Ta myśl rozbudzała w nim nieopisaną wściekłość.

Równocześnie, aby się uratować, postanowił poświęcić swoich podwładnych, co przedtem przewidział Mambazi. Nikomu nie powinno przyjść na myśl, że on uszedł z życiem z powszechnej zagłady — i to z dwóch przyczyn.

Nie wszyscy spośród jego poddanych dobrowolnie przyjęli znak bogini Bhawani. U tych fanatyzm religijny rozwinął się dopiero później, podniecony przykładem drugich. Jeśli jeden z tych wpadnie w ręce policji, zdradzi wszystko, gdyż obawa śmierci działa na człowieka potężniej niż żądza złota. Nikt więc nie powinien wiedzieć, dokąd się udał i co się z nim stało.

Na dodatek wyprawy łupieskie jego bandy przyniosły z biegiem czasu istic księżęce bogactwa. Składały się one, ze względu na łatwy transport, z kilku sakiewek drogocennych pereł i drogich kamieni i leżały w bezpiecznym schowku. Gdyby ci ludzie wiedzieli coś o tym, to wówczas nawet godność najwyższego kapłana bogini Bhawani nie uchroniłaby go przed ciosem skrytobójczego sztyletu. Znał zresztą doskonale swoje owieczki. Lecz pragnął żyć, żyć koniecznie i zniknąć na zawsze z Indii, aby spędzić dni swoje wśród bogactw i rozkoszy gdzieś na jakiejś wyspie!

Z tego to powodu przechadzał się niespokojnie po swoim pokoju, chcąc koniecznie wymyślić plan, tak straszny, jaki tylko raz jeden na długie stulecia może błysnąć w mózgu człowieka.

Lecz nie uprzedzajmy toku wypadków i wróćmy znów do naszych przyjaciół.

Przez cały dzień płynęli w dół Goasaby i po pięciu godzinach osiągnęli granicę otwartego morza.

Tutaj Mambazi wraz z Hiderem zamierzał się pożegnać, aby o ile możliwości jeszcze w ciągu nocy wrócić do południowej placówki Thugów. W tym celu przez cały dzień wypoczywali, a częściowo nawet spali. W momencie, gdy się wszyscy zatrzymali, aby przeładować pakunki, gdyż Mambazi zamierzał odpłynąć łodzią Thugów, spostrzegli, że w kierunku południowo — zachodnim wylania się z wody szczyt masztu jakiegoś statku. Niebawem podniósł się słup dymu, a w końcu dał się widzieć mały, ale zgrabny parowiec, który widocznie płynął ku ujściu Goasaby.

— Czego ci ludzie szukają w tym zakątku? — spytał zdumiony baron. — Czy nie znają właściwej drogi lub może chcą złapać krokodyle dla następnej wystawy światowej?

— A może to okręt wojenny, którego zażądałem od wicekróla? — rzekł lord.

— Czego pan zażądałeś? — zawołali inni — Okrętu wojennego?!

— Oczywiście! — rzekł lord takim tonem, jak gdyby to rozumiało się samo przez się. — Chodziło przecież o uwolnienie mego Boba!

— Sądzę, że angielskie okręty wojenne mają ważniejsze zadania, niż jeździć za pańskim Bobem!

— A jednak wicekról go wysłał! — triumfalnie zawołał lord. Doktor tymczasem obserwował statek za pomocą lunety.

— To nie jest okręt wojenny — rzekł — choć zdaje się ma na pokładzie trzy małe armatki. Możliwe, że wysłano go przeciw korsarzom Chińskiego Morza.

— Ależ tędy nie prowadzi droga do Morza Chińskiego! — zawołał von Denhoff.

— Zapewne. Jeśli się jednak nie mylę, mamy przed sobą statek handlowy lub raczej jacht prywatny, który płynie do czarnej dżungli, aby zaspokoić ciekawość swego właściciela. Zaraz to usłyszymy. Zdaje się, że oni nas zauważyli, gdyż zawracają statek ku nam. Czekamy!

Nie mylił się. Mac Dougall, który obserwował horyzont przez silną lunetę, dawno już odkrył czarny punkt na falach, lecz doniósł o tym sir Ralfowi dopiero wówczas, gdy się przekonał, kto się znajduje w łodzi.

— Sir — rzekł — przechodzimy tu za późno. Bob lorda Artura jest już wolny.

— Do stu tysięcy piorunów! — krzyknął sir Ralf i splunął gniewnie w wodę. — To głupie! Sądziłem, że będę mógł sprawić przyjemność lordowi! Nic! Lecz skąd pan to wiesz? — spytał nagle, patrząc ciekawie to na chmury, to na morze.

— Tam, tam, sir — objaśnił go Mac Dougall, wskazując w odpowiednim kierunku — dwie łodzie, jedna jest próżna, a w drugiej jest dziewięciu mężczyzn i pies. To nie może być nikt inny, tylko ci, których szukamy.

— Głupstwo! — rzekł szorstko sir Ralf. — Nie wierzę! Lecz możemy tam popłynąć i przekonać się.

Rzucił sternikowi odpowiednie rozkazy i wsadził znów fajkę między zęby.

Gdy parowiec zbliżył się do tego stopnia, że można było z jego pokładu gołym okiem policzyć naszych podróżników, urzędnikowi policji przyszło na myśl przebrać się i urządzić tutaj nową próbę. Obaj sipajowie wychwalali bardzo zmysł spostrzegawczy Mahratty: jeśli zatem zdoła go wywieść w pole, w takim razie zniknie zupełnie niebezpieczeństwo, by Thugowie zdołali go zdemaskować.

— Sir — zwrócił się znów do sir Ralfa. — Czy mogę prosić o pewną łaskę?

— *O yes*, bardzo chętnie.

— Dziękuję serdecznie. Ja się znów położę tam w zakątku pokładu, jak dziś rano, a pan tym ludziom, którzy tu przyjdą, opowie historię pielgrzymki do Cejlonu. Jeśli to jest istotnie lord Artur i jego towarzysze, to są właśnie ludzie, którzy powinni doskonale umieć odróżnić prawdziwego Hindusa od fałszywego, jeśli więc zdołam ich wywieść w pole...

— Rozumiem! — sir Ralf skinął głową. — Bardzo mi się podoba ta myśl! Bardzo! A także chcę się porządnie uśmieć! Bardzo interesujące!

To mówiąc pokazał w uśmiechu cały swój garnitur końskich zębów, na dowód, jak się cieszy tym pomysłem.

Mac Dougall pouczył załogę, jaki ma zamiar, po czym położył się w zakątku pokładu.

Tymczasem parostatek zbliżył się znacznie do naszych podróżników.

Sir Ralf kazał sobie podać tubę okrętową i ryknął przez nią:

— Stój, lub strzelam! Muszę z wami mówić!

— Zdaje mi się, że tam komenderuje jakiś gorączkowy pan — roześmiał się von Denhoff, gdy usłyszał to osobliwe zaproszenie. — Musimy go uspokoić, bo istotnie gotów strzelić!

— *Ay, ay, sir!* — zawołał, przyłożywszy, dłonie do ust. — Proszę tylko się zbliżyć! Chcemy panu paść w ramiona i wypić z panem szklanekę brandy!

— Bezcelność! — mruknął sir Ralf, odejmując tubę od ust. — Naprawdę bezwstydnie! Ale bardzo interesujące!

„Lady Lyle” tymczasem płynęła chyżo dalej, wydalając z siebie kłęby dymu i pary i coraz bardziej zbliżała się do łodzi. Sir Ralf zawołał znów:

— Czy Bob lorda Artura jest wśród was?

— Tak, sir! — krzyknął Irlandczyk.

Tamci oniemieli, słysząc to nieoczekiwane zapytanie.

— *Well* — rzekł sir Ralf i potarł ręce z zadowolenia. — Szybko naprzód! Mam mało czasu!

A to ciekawe! — krzyknął doktor do swoich towarzyszy. — To musi być jakiś rodak lorda Artura, dręczony spleenem. A teraz naprzód! Oni wyrzucają już linę!

Popłynęli do „Lady Lyle” i wydostali się na pokład. Sir Ralf stał pod masztem, wyprostowany, sztywny, chłodny i patrzył z napięciem na naszych znajomych.

— Gdzie jest Bob lorda Artura? — spytał prędko, skoro biali wydostali się na pokład.

— Tutaj, sir! — oznajmił po raz drugi Irlandczyk.

Sir Ralf otworzył usta i oglądał go ciekawie od stóp do głów. Lecz im dłużej go oglądał, tym bardziej zmierzchała jego twarz. Na koniec wydobył notes i z głęboką zmarszczką na czole zapisał:

„Bob lorda Artura — wyobrażałem sobie, że to jest jakieś osobliwe zwierzę o sześciu nogach i dwóch głowach lub coś podobnego, a tu tymczasem nic, zupełnie zwyczajny Irlandczyk! Bardzo nudne!”

Von Denhoff przypatrywał się tej scenie z uśmiechem zadowolenia na ustach. Ten Anglik podobał mu się niesłychanie.

— Sir — zaczął, gdy tamten schował do kieszeni notes i ołówek.

— Ralf Ludington — przedstawił się właściciel parowca, kłaniając się sztywno.

— Bardzo mnie to cieszy, sir — rzekł baron. — Moje nazwisko von Denhoff. Tutaj są moi towarzysze i przyjaciele: lord Connaughton...

— Artur Connaughton! — poprawił lord.

— Stój! — przerwał dalsze przedstawianie sir Ralf.

Oblicze jego jaśniało zadowoleniem. Przystąpił do lorda i uściśnął serdecznie jego dłoń.

— Witaj milordzie! — rzekł. — Jestem szczęśliwy, że pana tu widzę! Słyszałem już o panu!

— Zapewne od wicekróla?

— Tak od wicekróla.

Gdy sir Ralfowi przedstawiono pozostałych panów, von Denhoff spytał:

— Pozwoli pan teraz, że spytam, w jaki sposób pan dostał się do tego zakątka zatoki bengalskiej i

dlaczego pan najpierw pytał o Boba lorda Artura? To pytanie uderzyło nas, jak kula karabinowa.

— O — odparł sir Ralf. — To długa lecz bardzo interesująca historia. Chcecie panowie posłuchać?

— Oczywiście. Właśnie dlatego pozwoliłem sobie zapytać pana o to.

— *Well!* Siedzę u wicekróla, śniadamy, przychodzi adiutant, przynosi list, obciąć uszy...

— Wielki Boże! — zawołał baron. — Co pan opowiada? Adiutantowi obcięto uszy?

— Ależ nie — odparł niecierpliwie sir Ralf. — Lord Artur daje list sypajom, każe oddać według adresu, jeśli nie, obciąć uszy!

— Ach tak! — rzekł von Denhoff. — Teraz pojmuję: lord Artur groził posłańcom, że utnie im uszy, jeśli nie wykonają należycie jego poleceń. Tak, tak, przypominam sobie, że coś podobnego usłyszałem z jego własnych ust. Przepraszam, sir, że przerwałem opowiadanie.

Sir Ralf spojrział nań trochę lekceważąco i mówił w dalszym ciągu telegraficznym stylem:

— A więc: list przychodzi. Wicekról otwiera i mówi: „Ach to od mego kuzyna Artura; wszak znasz go, Ralf?” „*O yes*, mówię. Londyn, kuzyn James”. „*Well* mówi, ten sam, posłuchaj!” Czyta list, śmieje się, pyta: „Co mam czynić?” „Wybij sobie to z głowy, mówię, jadę sam, natychmiast!” „Bardzo dobrze, mówi, pošlę żołnierzy”. Głupstwo, mówię, nie potrzebuję”. Lecz wysyła mimo to żołnierzy, urzędnika policji, pilota, wszystko...

— Więc pan masz żołnierzy? — przerwał baron.

— Ilu?

— Pięćdziesięciu, stu, tysiąc, nie wiem — odparł obojętnie sir Ralf. — Wszyscy są pod pokładem.

— Doskonale! — rzekł von Denhoff, zacierając z radością ręce. — Teraz nie musimy jechać do Kalkuty, aby chwycić Thugów do saka! Co się stało dalej, sir?

— Nic. Wypłynąłem wczoraj, dziś jestem tu, oto wszystko.

— Dziękuję. Teraz wszystko jest jasne, prócz jednego, dlaczego pan przede wszystkim pytał o Boba lorda Artura?

— O! — rzekł sir Ralf, krzywiąc się. — To była pomyłka. Wicekról powiedział mi, że to osobliwe zwierzę, lecz tak nie jest!

— A jednak tak! — odparł baron. — Niech pan zaczeka, aż on zacznie jeść, wówczas pan wytrzeszczy oczy. Lecz niech mi pan łaskawie powie, czy ów człowiek, leżący tam koło burty, należy także do pańskiej załogi?

— O no! To jest Hindus, biedak. Sądził, że płyniemy do Cejlonu i chciał jechać z nami, oczywiście bezpłatnie. Chciałem go wrzucić do wody, lecz bosman powiedział, że to nie uchodzi, że to morderstwo.

— Miał słuszość, sir! Ale czego właściwie szuka ten człowiek na Cejlonie?

— Nie wiem. Pielgrzymka, czy coś podobnego. Zapomniałem.

— Hm — mruknął baron, w którym obudziły się pewne wątpliwości.

— Mambazi, bądź tak dobry i wypytaj trochę tego człowieka. Mnie ten cel wydaje się dziwny luft może sir Ludington źle go zrozumiał.

— Niemożliwe! — zaprotestował sir Ralf. — Mój mózg jest bez zarzutu!

— Wiem o tym, sir — odparł von Denhoff ześmiechem. — Nie chciałem bynajmniej pana obrazić.

Zbliżyli się do fałszywego Hindusa, który się podniósł i oczekiwał ich z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Mambazi zwrócił się doń z kilkoma pytaniami, na które zagadnięty mrukliwie odpowiedział; odpowiedzi te Mahratta przetłumaczył swoim przyjaciółom.

— Hm — mruknął doktor. — To opowiadanie nie przemawia mi wcale do przekonania. Brzmi zgoła nieprawdopodobnie.

— Ach! — zawołał zaciekawiony sir Ralf. — Sądzi pan może, że on nie jest Hindusem?

— Nie — odparł doktor — nie mam wątpliwości co do jego pochodzenia. Mambazi mówi nawet, że sądząc po dialekcie, człowiek ten musi pochodzić z okolic Allahabadu. Lecz cel jego podróży wydaje mi się niezwykły i podejrzany.

— Ja również jestem tego zdania — rzekł Mambazi. — Nie wierzę opowiadaniu tego Hindusa i będę go potajemnie obserwował.

Mac Dougall, który oczywiście rozumiał tę rozmowę, był bardzo zadowolony z wyniku próby i postanowił ją przerwać. Stał w ten sposób, że wiatr wieczorny odchylił na chwilę jego „dootee”.

W tejże chwili Mambazi mrugnął porozumiewawczo na swego rodaka. Obaj przystąpili do fałszywego Hindusa, który w następnej sekundzie runął na pokład pod ciosem żelaznej pięści Mahratty. Mambazi rozkazał Hiderowi związać mu ręce.

Inni nadbiegli natychmiast, jedynie tylko sir Ralf pozostał na swoim miejscu. Usta jego rozszerzyły się aż do uszu, a końskie zęby pojawiły się w całej okazałości w uśmiechu niemego zadowolenia. Bawił się po królewsku.

— Co się stało Mambazi? — spytał von Denhoff. — Co popełnił ten drab?

— To jest szpieg Thugów! — odparł Mahratta.

— Thug?! — krzyknęli inni.

— Tak! Nosi na piersiach rysunek Bhawani. Spostrzegłem to! Prawdopodobnie słyszał o zamiarach Anglika i pod pozorem pomyłki wśliznął się na statek!

— To wspaniale! — rzekł baron. — Ale czekaj, łotrze, my cię tu nauczymy! Stryczek jest znakomitym lekarstwem na ciekawość!

Gdy ukończono krępowanie jeńca, von Denhoff rozkazał:

— A teraz postawcie go na nogi, by mógł iść i zaprowadźcie go na dno parostatku!

Lecz dziwna rzecz: Thug nie okazywał najmniejszego gniewu ani obawy, uśmiechnął się z zadowoleniem i odezwał się najczystszą angielszczyzną.

— Jestem panu mocno zobowiązany, mój panie. Lecz jeśli pan pozwoli, pozostanę raczej tu na pokładzie, gdzie panuje przyjemny chłód.

Nasi przyjaciele oniemieli ze zdumienia.

— Do stu piorunów! — huknął baron. — Co ma znaczyć ta cała komedia?

— O, nic szczególnego, sir — wyjaśnił Mac Dougall. — Nie jestem Hindusem, lecz nazywam się Mac Dougall, John Mac Dougall i jestem urzędnikiem policji z Kalkuty. Wicekról przyłączył moją osobę do ekspedycji przeciw Thugom. Chcę się wmieszać między nich, aby ich wybadać, a teraz właśnie wykonałem małą próbę, czy moje przebranie jest dostateczne. Czy zasłużyłem na notę: — „dostatecznie”?

Na celująco, celująco! — zawołał von Denhoff ze śmiechem. — Odegrał pan znakomicie swoją rolę! Nawet Mahrattę oszukać! Może pan być dumny, mr Mac Dougall! Rozetnij więzy temu panu, Hider.

Wezwany spełnił natychmiast polecenie, a Mac Dougall zamienił uścisk dłoni z nowymi znajomymi.

— Dziś jest istotnie dzień samych niespodzianek! — rzekł wesoło baron. — Lecz ty, Mambazi, powinieneś właściwie się wstydzić. Anglika wziąć za Hindusa, tego cię można usprawiedliwić!

Mahratta się zmieszał.

— Nie wiem, doprawdy, co mam powiedzieć — rzekł, obserwując wciąż fałszywego Thuga.

— Dość o tym! — zawołał von Denhoff. — Musimy się zająć innymi sprawami. Przede wszystkim co się stanie z naszymi łodziami? Czy pozostawimy je tutaj, czy też przywiążemy sznurami do parowca?

— Weźmiemy je ze sobą — rzekł doktor. — I to na pokład statku i przykryjemy żaglowym

plótnem.

— A to po co? — spytał baron.

— Musimy przepływać koło Radżmangalu, a chociaż to będzie w nocy, to jednak latarnie okrętowe rzucają tyle światła, że straż z zarośli nadbrzeżnych z łatwością mogłaby zauważyć obie łodzie. W jednej z nich poznają czółno, porwane z portu, Asanga domyśli się, jaki jest cel naszych nocnych odwiedzin i ostatecznie znajdziemy całe gniazdo rozbójników puste.

Niedługo potem nasi przyjaciele siedzieli przy stole i omawiali zamiar mr Mac Dougalla. W szczególności zastanawiali się nad niebezpieczeństwami tego zuchwałego przedsięwzięcia. Objaśniano plan labiryntu i podziemnego korytarza, który uratował obłączonych od strasznej śmierci w płomieniach.

— W jaki sposób zamierza pan wylegitymować się Asandze, ich naczelnemu dusicielowi? — spytał von Denhoff. — Thugowie bez wątpienia posiadają rozmaite tajemne znaki i sygnały, po których poznają się wzajemnie.

— Może pan być zupełnie spokojny o to — odparł Mac Dougall. — Przed pięciu laty zajmowałem się drobną sprawą Thugów. Chodziło o pewnego bogatego kupca hinduskiego w Allahabadzie, którego znaleziono uduszonego w gospodzie. Wówczas uczyłem się ich żargonu, który nazywają ramazi i jako sais przez trzy tygodnie obsługiwałem gości w pewnej jaskini opium, gdzie wpadłem na ślad morderców. Było to kilku Thugów, którzy oczywiście powędrowali do więzienia, a potem Nikobary (kolonia karna dla zbrodniarzy tubylców). Od nich dowiedziałem się o rozmaitych tajemnicach związku.

— Musieli panu ładne bajki opowiadać!

— Nie pytałem ich wprost, lecz zamykałem czy to osobno, czy to razem i nieustannie obserwowałem. Na koniec udałem się do nich jako handlarz melonów i między łupinami owoców ukrywałem ich listy do innych Thugów. Listy te oczywiście czytałem sam i pisałem odpowiedzi.

— Pan jesteś, jak widzę, bardzo niebezpieczny dla tych, którzy pana darzą zaufaniem — zawołał baron z podziwem. — Lecz od tego czasu mogło się wiele zmienić, kochany panie!

— Nie — odparł Mac Dougall — od tego czasu stykałem się z nimi częściej i wiem, że wszystko zostało po dawnemu. W dodatku posiadam talizman, który otwiera mi u nich wszystkie bramy i drzwi.

Wydobył z kieszeni pierścień ze zwyczajnym, czerwonym kamieniem i pokazał towarzystwu.

Górna część dawała się łatwo przesunąć na bok, a pod nią widać było wygrawerowaną figurę węża o kobiecej głowie, jak również kilka liter sanskryckich.

— Dawny właściciel — wyjaśnił Mac Dougall — nosi teraz w Tillang-dżong (kolonia karna) najcięższe kajdany. On był naczelnikiem sekty, a wszyscy naczelnicy noszą tego rodzaju pierścień jako znak rozpoznawczy i jako sygnet uwierzytelniający dla posłów.

— To prawda — rzekł Hider — Widziałem taką ozdobę na palcu Mandzadiego, jak również dwukrotnie u ludzi ze środkowych prowincji, do których woziłem listy.

— Ale Thugowie będą wiedzieli, że ten pierścień zginął — wtrącił doktor.

— Nie, oni wierzą, że właściciel w ostatniej chwili wrzucił go do wody, aby nie wpadł w niepowołane ręce. Ja sam zaniósłem im tę wiadomość.

— Rzeczą dziwną — odezwał się sir Ralf — mimo tylu i tak wielkich niebezpieczeństw chce się pan narażać?

— Co pan chce! — odparł M^oc Dougall. — To jest dla mnie sport taki, jak każdy inny, i może najbardziej interesujący ze wszystkich. Gdy nie poznany przez nikogo wędruję sobie po ulicach i bazarach, wówczas przemawiają do mnie sklepy, ich właściciele, a nawet towar. Szepczą mi do ucha przeróżne osobliwe tajemnice, a jeśli jeden z moich podwładnych da mi kułakiem w bok, gdy mu nie dość szybko zejść z drogi, to dla mnie największa uciecha!

— Rzeczą gustu! — zawołał von Denhoff. — A teraz należy panu tylko życzyć szczęścia i powodzenia w tym nader niebezpiecznym przedsięwzięciu!

Koło godziny dziewiątej „Lady Lyle” płynęła kanałem koło północnego brzegu Radżmangału.

Von Denhoff i jego towarzysze siedzieli w kajucie przy zasłoniętych oknach i czekali na sygnał ramsingów. Lecz dokoła panowała cisza.

— Czyż Thugowie istotnie już uciekli? — spytał baron.

— Nie sądzę — odparł Mambazi. — Gdy przybyliśmy tu po raz pierwszy znak ostrzeżenia dał się słyszeć dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się przy zagięciu kanału, nad ranem. Przypominasz sobie?

— To nie jest wcale dowód przeciw moim obawom.

— Słusznie. Lecz za tymi wszystkimi drzwiami, o których mówił Hider, Thugowie mogą ukrywać łupy ze swoich zbójceckich wypraw. Zdobycz tę zechcą zabrać ze sobą, a na to trzeba czasu, o ile Mandzadi w ogóle zamierza ich ostrzec. Mówiłem już, że on prawdopodobnie poświęci swoich, byle tylko siebie samego ocalić.

— W takim razie może już uciekł.

— Nie. On spodziewa się nas najwcześniej za tydzień. Droga przez dżungłę jest daleka i uciążliwa, a nie może już pierwszego dnia opuścić swoich ludzi bez wzbudzenia podejrzeń.

W pół godziny później „Lady Lyle” zatrzymała się. Spuszczono na wodę łódź urzędnika policji, który niezwłocznie odpłynął, serdecznie żegnany życzeniami powodzenia.

Rozdział XIII.

Niebezpieczne przedsięwzięcie.

O godzinie trzeciej nad ranem dotarł do Goasaby.

— Teraz śmiało naprzód, stary Johnie — rzekł sam do siebie. — Teraz pokaż, że się wcale nie przechwalałeś!

Gwizdnął w ten sam sposób, w jaki w dwa dni temu gwizdnęli strażnicy pod bananowcem. Natychmiast rozległa się odpowiedź z głębokich czeluści dżungli. Strażnicy wypali się porządnie i teraz stali na swoich miejscach.

Mac Dougall zbliżył się wraz z łodzią i powtórzył sygnał.

— Kto tam? — krzyknął ktoś z pośród gałęzi.

— Poseł z Allahabadu.

— Wpłyn w kanał na odległość tysiąca kroków i tam się zatrzymaj! Mac Dougall posłuchał i zatrzymał się w oznaczonym miejscu. Niedługo potem zaszleściło coś w zaroślach, wymieniono nowe znaki, a potem z ciemności wyłoniła się przed nim łódź, w której siedziało pięciu Thugów. Zamienili z przybyszem kilka słów i pozwolili mu przesiąść się do swego czółna. W kilka minut potem wylądowali w porcie, z którego poprzedniego wieczora umknęli nasi przyjaciele.

Tutaj czekał na nich wysoki, dziko wyglądający Hindus z pochodnią w ręku, który przyjął posła i w milczeniu poprowadził go w głąb wyspy. Mac Dougall szedł za nim bez trwogi i ciekawie przypatrywał się otoczeniu. Dokoła widział tylko monotonną, gęstą ścianę bambusów, rosnącą po obu stronach wąskiej ścieżki. Skończyła się dopiero po upływie kwadransa a idący znaleźli się na wielkiej, wolnej przestrzeni, na której wznosiło się kilka wielkich budowli.

Przy blasku pochodni można było przypatrzeć się ich zarysom.

Najpierw przeszli koło wysokiej i bardzo ozdobnej pagody, która w nikłym blasku wyglądała jak nowa. Jakieś sto kroków dalej sterczał kwadratowy budynek, w którym ukrywały się schody, wiodące do wnętrza podziemnej świątyni. Sto pięćdziesiąt kroków dalej wznosiła się wspaniała dagoba ze śnieżnie białego kamienia, a na koniec mr Mac Dougall wraz z towarzyszącymi mu ludźmi zbliżył się do środkowego budynku wielkiego kompleksu domów.

Był to klasztor. Przewodnik zapukał do drzwi. Ukazał się inny Thug, który przyjął posłańca. Tamten się oddalił.

— Skąd przychodzisz? — spytał nowy strażnik.

— Z Allahabadu.

— Do kogo chcesz się zgłosić?

— Do Asangi, najwyższego kapłana, naszej wzniosłej bogini.

— Masz znak prawdy?

Mac Dougall w milczeniu wyciągnął dłoń, strażnik uważnie oglądając pierścień i spytał.

— Jesteś panem czy sługą tego pierścienia?

— Tylko sługą.

— Czekać!

Oddalił się, pozostawiając posłańca w ciemnościach. Mac Dougall czekał cierpliwie przez kilka minut, gdy nagle tuż obok niego dało się słyszeć gniewne sapanie tygrysa.

— Milcz! — krzyknął Mac Dougall i roześmiał się:

— Phansigar nie boi się śmierci.

Znów upłynęło kilka minut, odzwierny wrócił ze światłem w ręku.

— Chodź za mną! — rzekł.

Przeszli przez kilka pustych komnat, aż wreszcie zatrzymali się przed mocnymi drzwiami, na które wskazał Thug i rzekł:

Wejdz!

— Najpierw ty! — odparł Mac Dougall, który doskonale znał ten ceremoniał. — Pętla z tyłu spada na głowę!

Strażnik poszedł pierwszy, a Mac Dougall wszedł za nim do wspaniałej z przepychem urządzonej komnaty. Na miękkim dywanie siedział starzec, którego poznaliśmy już w obozowisku nad Kagą. Nogi miał skrzyżowane na wschodni sposób i palił nargile.

Mac Dougall ukłonił się, a przewodnik wyszedł.

— Jak się nazywasz? — spytał starzec po chwili.

— Nanda, panie.

— Przybywasz z Allahabadu?

— Rzekłeś, panie.

— Kto cię wysłał?

— Dowiesz się, gdy mię wysłuchasz.

— Masz list?

— Nie, przynoszę ustną wiadomość.

— W takim razie pierścień nie wystarczy. Może być skradziony. Czy umiesz odpowiadać, jak brat z Allahabadu?

— Pytaj, panie.

— Gdzie się gromadzą phansigarzy twego miasta, by czcić boginię?

— W ruinach świątyni Mir Saadi.

— Na górze?

— Na dole.

— Gdzie?

— W trzeciej piwnicy po lewej stronie.

— Gdzie szpiedzy zanoszą wiadomość o tym, co podsłuchali?

— Do siódmego domu przy ulicy gwoździarzy, do Szamsia Sonephura.

— Co leży u stóp świętego posągu?

— Bhuwasthasrindzi — ziemia, kości i krew.

— Dobrze, mów, co masz mi oznajmić!

— Do Allahabadu przybył pewien bogaty Anglik. Bracia chcieli go złowić w sidła, gdyż jest łatwowierny, jak owca, lecz on szybko wrócił do Kalkuty. Wyjechałem tam za nim. Masz tam wysłać szpiegów, którzy by go tu zwabili i schwytali wraz z jego ludźmi.

— Ta sprawa mi się nie podoba. Łatwo nas odkryją, gdy będziemy chcieli zabrać pieniądze. Gdy chodzi o białego, to z jego powodu poruszają niebo i ziemię!

— Tutaj nie ma obawy. On posiada własny okręt, wiezie ze sobą prawie cały lak rupii i może tu bez śladu zniknąć. Pochłonie go cyklon na morzu.

Na tę wieść oczy Asangi zaświeciły nieokiełznaną chciwością.

— To co innego! — rzekł starając się ukryć wrazenie. — Można spróbować!

W tej chwili jednak zbladł. Przypomniawszy sobie, że bezpieczeństwo tego zakątku jest poważnie zagrożone i że nie ma dość czasu, by przygotować pułapkę na Anglika. Powstrzymał okrzyk, który mu się cisnął na usta i spytał:

— Jak się nazywa ten człowiek?

— Sir Ralf Ludington.

Biedny sir Ralf! Gdyby mógł słyszeć w tej chwili Mac Dougalla, byłby z pewnością pod jego nazwiskiem w swoim notesie umieścił taki dopisek: „Chce mnie wydać Thugom. Mówi, że jestem łatwowierny, jak owca. Bardzo interesujące!”

— A ty? — pytał dalej Asanga. — Co zamierzasz począć?

— Jeśli sobie życzysz, panie mogę pozostać u ciebie, aby twoim ludziom iść na rękę. Znam wszystkie zwyczaje na okręcie.

— To dobrze. Ja na razie nie mogę się stąd ruszyć, a ponieważ bracia wysłali cię z Allahabadu z tak ważnym poleceniem, przeto sędzę, że jesteś człowiekiem, który potrafi sprostać tak trudnemu zadaniu. Kiedy wyjechałeś z Kalkuty?

— Sześć dni temu, panie.

— W takim razie musisz być zmęczony, napój cię odświeży. Podniósł się z dywanu, wyjął z szafy flaszkę i nalał szklanek wina, którą podał posłańcowi.

Mac Dougall przytknął ją do warg, powąchał i z uśmiechem oddał. Wino było zatrute.

— To jest powitanie dla niewtajemniczonych, panie! — rzekł. — Daj wino wtajemniczonym!

Asanga wcale się nie zdziwił, wylał wino do flaszki i z drugiej napełnił szklanekę. Mac Dougall wypił teraz napój bez wahania. Odbił ostatni cios i okazał się „wtajemniczonym” w każdym calu.

Asanga uderzył w gong; wszedł odźwierny.

— Daj temu bratu obiad i legowisko — rozkazał starzec, ale niezbyt daleko ode mnie! Może mi być w każdej chwili potrzebny.

Mac Dougall skłonił się w milczeniu i wyszedł za odźwiernym.

W wilgotnej jamie rzucił się na siennik, na którym mógł swobodnie rozprostować członki. Tutaj przyniesiono mu posiłek, składający się z garstki ryżu i świeżej źródlanej wody. Po posiłku zasnął i długo spał.

Gdy się zbudził, gwizdnął. Wszedł strażnik i spytał czego sobie życzy. Mac Dougall oznajmił, że pragnie coś zjeść, a potem prosi, by mu wolno było przejść się na wolnym powietrzu.

Otrzymał znów garstkę ryżu i wodę, a potem oddano go w ręce jakiegoś szpetnego i brutalnego draba, który miał być jego przewodnikiem i strażnikiem w czasie spaceru.

Był to Malaj nazwiskiem Patan, który niedawno zbiegł z kolonii karnej w Tillandżong i z otwartymi ramionami przyjęty został przez Thugów. Mac Dougall znał go dobrze. Przed dwoma laty przesłuchiwał go we własnym biurze, a teraz ręce świerzbiły go po prostu, aby chwycić za kark to ohydne zwierzę w ludzkiej postaci, lecz musiał się pohamować. Szedł u jego boku, prowadząc przyjacielską rozmowę.

Patan oczywiście odpowiedział mu niezwykle wydarzenia ostatnich dni, chytre włamanie się białych, ich napad na świątynię, uwolnienie jeńców i obłężenie w bananowcu.

— Lecz strasznie zostali ukarani za swoją bezczelność — kończył opowiadanie z dziką radością. — Asanga kazał rzucać garnki z potężnym ogniem, któremu nic oprzeć się nie zdoła. Ja rzucałem smolny wieniec, który zapalał płyn w garnkach, a płomienie strzelały olbrzymimi słupami. Piszczeli, jak myszy, gdy przepalone koce runęły i nic po nich nie zostało prócz popiołu ich kości i żelaza ich karabinów oraz noży.

— Widziałeś te kości? — spytał zdumiony Mac Dougall.

— Nie — odparł Patan — niestety, nie. Po zwycięstwie z radości oszołomiliśmy się haszyszem, a w czasie naszego snu pod świętym drzewem Asanga pozbierał szczątki naszych wrogów, aby ich użyć do celów czarnoksięskich.

Mac Dougall rozglądał się dokoła. Na wschód od budynków klasztornych rozciągał się obszerny staw, którego fale opłukiwały fundamenty potężnych budowli.

Na południe od stawu rozciągały się obszerne plantacje ryżu, na których pracowało kilkudziesięciu Thugów.

Tymczasem Asanga zastanawiał się nieustannie, czy może posłańca z Allahabadu użyć do swoich celów.

Pragnął on, jak wiemy, uciec potajemnie z wyspy wraz ze swoimi skarbami, a przedtem zniszczyć wszystkich tych, którzy mogliby wystąpić przeciwko niemu jako świadkowie. Zdawało mu się, że najlepiej użyć w tym celu urządzenia labiryntu.

Ze wspaniałej komnaty Asangi wiodły ukryte schody do obszernego, potrójnego korytarza, który się ciągnął w prostej linii pod stawem. W korytarzu tym znajdował się tajemniczy krążek, po naciśnięciu którego otwierały się olbrzymie śluzy, trzymające wodę stawu na uwięzi. Kolosalne masy wody mogły w każdej chwili, posłuszne naciskowi palca Asangi zalać i zatopić cały podziemny labirynt wraz z wszystkimi jego mieszkańcami.

Cel tego urządzenia był następujący: gdyby kiedyś okrutni prześladowcy buddyzmu wtargnęli do wnętrza Radżmangalu, wówczas Thugowie mogli uciec tajemnym przejściem przez bananowiec. Gdy wrogowie biegliby przez labirynt, niszcząc i rabując zostaliby zatopieni nagłym zalewem, w chwili,

w której najmniej by się tego spodziewali.

Tajemnicę tego urządzenia znał tylko jeden Asanga i ukrywał ją starannie przed całym związkiem. Cieszył się w skrytości serca, że ma w ręku taką straszną ostateczną broń przeciw przyjaciołom i wrogom, którą może uruchomić w każdej chwili.

Rozumiał jednak doskonale, że nie może sam jeden odbyć zamierzonej podróży z Radżmangalu do najbliższej zamieszkałej miejscowości. Gdyby chciał sam jeden płynąć łodzią pod prąd, rychło opuściłyby go siły, a gdyby chciał przedzierać się przez dżunglę, już z powodu dzikich zwierząt musiałby mieć kogoś, kto by czuwał nad nim w czasie snu.

Nikommu ze swoich nie ufał. Nagle zjawił się ów Nanda, jakby przez los zesłany. Wyróżniał się niezwykłą odwagą i bystrością umysłu; już jazda przez nieznaną czarną dżunglę była niemal bohaterstwem. Dostawszy się do bezpiecznego miejsca, mógł Asanga szybko się pozbyć niewygodnego towarzysza. Trudność sprawy leżała w zagadnieniu, czy Nanda poświęcił się służbie bogini Bhawani z powodu religijnego fanatyzmu, czy też powiodła go w tym kierunku żądza zysku, jak tylu innych?

W pierwszym wypadku odepchnąłby z oburzeniem propozycję i byłby w stanie całą bandę zbuntować przeciw zdradzieckiemu kapłanowi. Lecz jeśli powodowała nim żądza złota do tego stopnia, że byłby w stanie wystąpić nawet przeciw własnym braciom, w takim wypadku Asandze groziło niebezpieczeństwo, że Nanda przy pierwszej okazji zamorduje go, aby osiąść skarby.

W każdym razie postanowił Nandę wypróbować. Kazał go zawołać do siebie i począł wypytywać, jakie życie wiódł dotychczas i jakie ma poglądy. Mac Dougall kłamał, jak najęty toteż Asanga stawał się coraz bardziej przyjacielski i przystępny. Na koniec podał mu fajkę i kazał przynieść flaszkę wina, którą do spółki opróżnili.

— Bracie — rzekł najwyższy kapłan — widzę, że twoi przełożeni w Allahabadzie nie postępują właściwie, używając cię do zwyczajnych poselstw.

Panie — odparł Mac Dougall — trzeba być cierpliwym. Jest zbyt wielu takich, którzy koniecznie chcą być przełożonymi. Kiedyś przychodzi kolej na człowieka! A zresztą mnie powierzają najtrudniejsze zadania i otrzymuję zawsze podwójny przydział z łupu w porównaniu z innymi towarzyszami. To jest najważniejsze i muszę być z tego zadowolony.

— Lubisz bogactwo?

Mac Dougall westchnął tęsknie.

— Panie — zawołał — co jest piękniejszego na świecie, niż pieniądze, bogactwo? Mieć tyle pieniędzy, żeby móc urzeczywistniać wszystkie swoje pragnienia i nie słuchać nikogo!

Co stawiasz wyżej — zagadnął Asanga — złoto czy boginię Bhawani?

Mac Dougall spojrział nań podejrzliwie.

— Panie — odparł z uśmiechem — powiedz mi najpierw, co myślisz o bogini Bhawani i o złocie, a ja ci potem odpowiem.

— Chytry jesteś — rzekł Asanga, śmiejąc się głośno — ale nie obawiaj się! Chciałbym ci coś zaproponować, lecz oczywiście przedtem muszę znać twoje myśli. Jeśli mi one nie będą odpowiadały, odeślę cię do Allahabadu. To jest najgorsze, co cię może spotkać. A więc mów: co myślisz o bogini Bhawani?

— Panie — wyznał Mac Dougall — cóż ci mam powiedzieć? Widzisz, najpierw czciłem Brahme, Stwórcę. Wówczas musiałem harować, jak muł, a wieczorem ze znużenia nie mogłem wprost jeść. Potem modliłem się do Wisznu, Zachowawcy. Ten skazał mnie na głód, a ciało moje nikło jak łojówka, pożerana ogniem. Na koniec zwróciłem się do Sziwy, Niszczyciela i do jego przepotężnej małżonki. Odtąd powodzi mi się znakomicie. Jeśli oni nadal mnie będą tak wspierać, to za dwadzieścia lat mogę zwać się bogatym człowiekiem. Dlaczegoż więc miałbym wierzyć w kogoś innego?

Asanga zdawał się być bardzo zadowolony z tego wyznania.

— A gdyby ci ktoś natychmiast zaofiarował bogactwo, jakiego w ciągu dwudziestu lat spodziewasz się od bogini Bhawani, czy zdecydowałbyś się dla tego bogactwa wyrzec się także i tej Przepotężnej? — spytał.

Mac Dougall zwietrzył zasadzkę, zastawioną na siebie, dlatego odparł:

— Najpierw trzeba posiadać to bogactwo lub przynajmniej wiedzieć, jak jest wielkie, aby mówić o tych sprawach, panie. Bądź tak dobry i mów o czym innym. Nie należy uważać za możliwe tego, co jest niemożliwe. To jest niebezpieczne — dodał i uczynił wymowny gest dłonią dokoła szyi.

— Jeszcze raz: nie ma obawy! — zachęcał go Asanga. — Powiedziałem ci już, że chcę ci coś zaproponować i...

— W takim razie bądź tak dobry i nie ukrywaj tego dłużej, panie! — przerwał Mac Dougall. — Nie można mówić o małżeństwie, jeśli się nie zna wysokości posagu. Wszak przyznasz mi słusność, panie!

— A więc dobrze, niech i tak będzie — zgodził się Asanga — lecz mam nadzieję, że będziesz umiał milczeć nawet i wtedy gdy się nie zgodzimy.

— Panie, człowiek, który nie umie milczeć, nie może brać na siebie odpowiedzialnego przedsięwzięcia, bo równocześnie straci klientelę, łup i wolność. Moje uszy słyszą wszystko, lecz usta mówią tylko to, co można mówić.

— Ufam ci. A zresztą jestem przekonany, że nie będziesz się wzbraniał. Suma którą możesz zarobić, jest zbyt wielka.

— Początek jest świetny, panie — rzekł Nanda z subtelną drwiną na twarzy i w głosie — jeśli się ma słoninę i łapkę łatwo można schwytać mysz! Lecz tylko jedno! Udowodnij mi, że ta słonina jest

dość tłusta i smaczna, a zarazem dość wielka, to nie będę się targował o resztę. A więc: o ile chodzi?

— Możesz w przeciągu tygodnia zarobić pół laka rupii — rzekł chytrze Asanga.

— Pół? — krzyknął Mac Dougall, zrywając się, jak gdyby tknięty elektrycznym prądem.

Tak świetnie grał swoją rolę, że wywiódł w pole chytrego naczelnika Thugów.

— Pół laka rupii? — bełkotał dalej. — Panie ty sobie kpisz ze mnie! Pół laka rupii! Powtórz to jeszcze raz, abym wiedział, że się nie przesłyszałem.

— Możesz w przeciągu tygodnia zarobić pół laka rupii. Istotnie? Naprawdę? — pytał Mac Dougall, siadając zwolna. — Pół laka rupii! Powiedz mi tylko, gdzie one się znajdują? Ja je wydobędę, choćbym miał spalić całą wieś!

Zadowolony Asanga skinął głową.

— Widzę, że dojdziemy do porozumienia. A więc słuchaj! Patan musiał ci opowiedzieć, że przed kilku dniami biali wdarli się do naszej kryjówki i uwolnili dwóch jeńców?

— Oczywiście, panie, a także że zniszczyłeś owych bezczelnych ludzi.

— To właśnie jest słabym punktem całej tej sprawy: ludzie ci nie zginęli, lecz uciekli, sama tylko wielka Bhawani wie, w jaki sposób!

— Uciekli?! — zawołał Mac Dougall z udanym zdumieniem. — Sądziłem, że masz ich kości.

— Gdzie tam! Musiałem uspokoić tych ludzi, bo inaczej rozbiegliby się na wszystkie strony świata, policja wyłapałaby połowę, a ja nie byłbym ani minuty pewny swego życia!

— Pojmuję, panie. Mądry człowiek zawsze i wszędzie myśli przede wszystkim o sobie. A zbiegowie?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że udali się prosto do Kalkuty, aby zaalarmować jak najprędzej władze. Za pięć, sześć dni zjawi się tu okręt wojenny!

— W takim razie musimy uciekać, uciekać natychmiast! — zawołał porywczo Mac Dougall.

— Rzecz oczywista, lecz przede wszystkim musimy się postarać, aby tutaj nie pozostał przy życiu ani jeden świadek naszej ucieczki — rzekł Asanga z naciskiem, chcąc zbadać, jakie wrażenie wywrą te słowa na pośle z Allahabadu.

Mac Dougall zbladł — i tym razem nie udawał wcale. Ten straszliwy, piekielny plan wydał się mu, urzędnikowi policji przyzwyczajonemu do najokropniejszych zbrodni, tak potwornym, że serce zamarło mu w piersiach ze zgrozy.

— Ty... chcesz... wszystkich? — wybełkotał.

— Dość! Widzę, że zgadujesz moje myśli. Po co zresztą zbyteczne słowa? Ta idea przeraża cię, nieprawdaż?

— Jakżeż by nie!?! — wyznał Mac Dougall, usiłując zapanować nad sobą. — Lecz jeśli się nad tym zastanowię, muszę ci przyznać zupełną słuszość, panie. Przecież musimy wszyscy rozpuścić się w Nirwanie, tak samo więc i oni, a Bhawani za tę nadzwyczajną ofiarę otoczy cię specjalną opieką.

— Będzie nam potrzebna jeszcze i w Kalkucie do tego, co zamierzam uczynić. Lecz o tym potem! Teraz chodzi przede wszystkim o to, aby stąd uciec, nie pozostawiając po sobie śladu.

— W jaki sposób zamierzasz to osiągnąć, panie? — spytał Mac Dougall. ‘

— Dziś o północy zgromadzę wszystkich na uroczystość w świątyni, nawet i strażników, nikogo nie śmie brakować. Gdy będą oczekiwali mego przybycia, nagle runie na nich śmierć i zagłada, W jaki sposób to się stanie, na razie przemilczę. Ty będziesz czekał na mnie w ukryciu na wybrzeżu, gdzie ci wskażę. Znajduje się tam mała łódź na dwie osoby. Umieścimy w niej zapasy i odpłyniemy. Za tydzień możemy być w Kalkucie.

— Bardzo pięknie, panie — zauważył Nanda — ale ty nie mówisz nic o pół laku rupii. Mam nadzieję, że o tym nie zapomniłeś.

— Właśnie chcę o tym mówić! W Kalkucie załatwimy tę sprawę, dla której przełożeni z Allahabadu przysłali cię tutaj, załatwimy ją sami i na własny rachunek.

— Hm — mruknął Mac Dougall w zamyśleniu — to jest bardzo niebezpieczna rzecz! Zamordowanie Anglika w obliczu władz może wywołać wrzenie w całym kraju, a policjanci zaczną się uwijać po mieście, jak rozdrażnione szerszenie.

— Nie ma obawy! Mam w tym mieście pokaźną ilość ludzi godnych zaufania. Zwabimy tego człowieka w ustronne miejsce, gdzie go zamkniemy na kilka dni. Potem podzielimy się jego pieniędzmi...

— We dwóch! — przerwał Mac Dougall z błyskiem chciwości w oczach.

— Tylko we dwóch! A potem wsiądziemy na okręt i popłyniemy do jakiegoś dalekiego kraju. Świat jest wielki. Jak w nim znaleźć dwóch odosobnionych ludzi? Jeśli Anglik zostanie uwolniony, zostaną ukarani ci, co go trzymali. Bardzo mi będzie żal tych ludzi, ale nie ma innej rady.

— Panie! — zawołał z zapalem Mac Dougall — jaka szkoda, że przypadek tak późno nas zbliżył! Dzięki tobie mógłbym się przy pomocy kilku wielkich czynów wzbogacić! Przełożeni w Allahabadzie tak się boją Anglików, że odważają się co najwyżej na jakieś nędzne wymuszenie lub uprowadzenie.

— A więc zgadzasz się — spytał Asanga, wyciągając dłoń.

— Panie, jestem twój duszą i ciałem! — zawołał Mac Dougall, ściskając rękę Asangi. — Posługuj się mną, jak ślepym narzędziem!

— Nie pożałujesz tego! Lecz milcz, jak grób, o tym wszystkim o czym mówiliśmy!

— Przyrzekam!

— Gdybyś się wygadał, mogłoby cię to drogo kosztować — rzekł Asanga z szyderczym uśmiechem — gdyż to wino, które wypiliśmy, było zatrute. Jeśli do jutra rana nie przyjmiesz odtrutki, to jutro w południe będziesz trupem. Lecz tę odtrutkę dam ci tylko w tym wypadku, jeśli mi będziesz wierny.

— Panie, ta przezorność była zupełnie zbędna — odparł Mac Dougall, usiłując stłumić w sobie przerażenie — gdyż sam zysk silnie łączy mnie ze sprawą.

Asanga uderzył w gong; wszedł strażnik.

— Mianuję tego brata na czas pobytu u nas panem jego pierścienia — odezwał się Asanga do strażnika. — Może się poruszać u nas z zupełną swobodą.

Thug uklonił się i wyprowadził Nandę z oznakami głębokiej czci.

Mac Dougall udał się w okolice klasztoru i przechadzał się tam, pogrążony w głębokim namyśle. Niepokoił się okropnie tym, że według słów Asangi, ma w sobie truciznę. Ale po chwili pomyślał:

— Głupstwo! Nie wierzę! Jeśli ktoś połknie truciznę ona natychmiast rozpoczyna swoje działanie, a nie wówczas, gdy się komuś będzie podobało. On skłamał by mieć większą władzę nade mną!

Lecz możliwość i pewność to są dwie rzeczy, toteż Mac Dougall nie był w stanie zupełnie przewyciężyć swej obawy i niepokoju.

Tymczasem Asanga przygotował w tajemnym korytarzu sześć worków z ryżem, w których ukrył siedem sakiewek z drogimi kamieniami, po czym wrócił do swej komnaty, by się udać na spoczynek.

Obudził się koło godziny szóstej.

Z szafy wy dobył wspaniały kris, na którego błyszczącej klindze widniały dwa rowki, posmarowane ciemnobrunatną substancją.

— To pomoże! — mruknął do siebie z zadowoleniem. — Skoro miniemy dżunglę, jedno zadraśnięcie a ten głupiec z Allahabadu nawet nie będzie miał czasu krzyknąć. Trucizna obezwładni mu członki.

Ukrył broń w zanadrzu i kazał zawezwać posła z Allahabadu. Mac Dougall zjawił się natychmiast przed obliczem Asangi, gotów do usług.

— Pójdź za mną! — rzekł.

Wziął w rękę olejną lampę i obaj udali się do worków.

— Wiąż je po dwa razem — rozkazał Asanga.

Gdy Mac Dougall wykonał rozkaz, Asanga polecił mu wziąć na plecy dwie pary worków, trzecią zaś sam sobie zarzucił na grzbiet.

Poszli w głąb korytarza. Po stu krokach w lewej ścianie pojawiły się wąskie schody, liczące trzydzieści siedem stopni.

Gdy się znaleźli w połowie tych schodów, na górze rozległ się słaby, głuchy dźwięk, jak gdyby ktoś młotem uderzył w kamień. Przerażony Asanga zatrzymał się i nadstawił uszu.

— Czyż ktoś wtargnął w korytarz? — szepnął Mac Dougall.

— Niemożliwe! — odparł Asanga. — Nikt prócz mnie nie zna tej drogi. A jednak obaj usłyszeliśmy równocześnie ten dziwny odgłos, więc to nie było złudzenie. Może tam coś ciężkiego upadło na podłogę i dźwięk przedarł się przez skałę? Oczywiście... W inny sposób nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

Minąwszy schody, znaleźli się w ciemnej, czworokątnej skalnej komórce.

— Wiesz gdzie jesteśmy? — spytał cicho Asanga.

— Skąd mogę wiedzieć, panie? — odparł Mac Dougall.

— Tuż pod dagobą, w jej fundamentach. Jeśli wyciągniesz ten kamień — tu wskazał czworokątną kamienną płytę, mającą pośrodku pierścień — to będziesz mógł przez mały otwór oglądać całą przestrzeń, cały obszerny plac, aż do pagody. Lecz idźmy dalej!

Po prawej stronie otworzył się loch, biegnący prostą linią.

— Ku północnemu wybrzeżu! — pomyślał sobie Mac Dougall. Niebawem lampa stała się zbyteczna. Światło wdzierające się z głębi podziemnego korytarza, rozpraszało ciemności.

Po chwili dotarli do kraty, zamykającej wejście.

Asanga otworzył ją i obaj znaleźli się na małej platformie na wybrzeżu wyspy. Na wodzie kołysało się małe czółno. Mały kanał ginał zupełnie w nieprzeniknionej gęstwinie bambusów.

— Czy tutaj może nas ktoś obserwować? — spytał zaniepokojony Mac Dougail. — Jeśli ktoś przypadkowo tkwi w zaroślach to słyszy nas...

— Wykluczone! — odparł Asanga. — Na sześćset kroków dokoła otacza nas nieprzenikniona dżungla. Któż miałby ochotę czołgać się wśród tych gęstych, kolących zarośli?

— Obaj złożyli worki w łodzi i wrócili do lampy w korytarzu.

— Czy mam tutaj czekać aż do północy, panie? — spytał Mac Dougall.

— Nie, musisz mi najpierw pomóc przy innej pracy, potem możesz wrócić.

Gdy obaj znaleźli się głęboko pod dagobą, Asanga objaśnił swemu towarzyszowi tajemne urządzenie labiryntu i zakończył tymi słowami:

— Gdy się znajdziemy tutaj dziś w nocy, na labirynt runie olbrzymia masa wody i zatopi go. Lecz zanim ten zalew dotrze do nas, musi się staw na nowo napełnić wodą, a na to trzeba całych godzin, my tymczasem będziemy daleko od Radżmangalu. Teraz proszę cię, abyś mi towarzyszył do schodów koło mego pokoju, gdyż boję się potknąć się i upaść po ciemku. Potem możesz wrócić do łodzi i czekać tam, aż wrócę.

Mac Dougall skinął głową na znak zgody i ruszył przodem ze światłem w ręku.

W duchu postanowił zbrodniarza spętać, skoro pozna tajemnice i szczegóły całego planu. Lecz pragnął go pokonać w otwartej walce, nie w sposób skrytobójczy. Na to był za rozumny, ten dzielny Mac Dougall!

W dolnym korytarzu postawił nagle lampę na ziemi i zwrócił się do Asangi, który nań spojrzał ze zdziwieniem.

— Dlaczego się zatrzymałeś? — spytał Thug.

— Przyszło mi coś ważnego do głowy, panie — odparł Mac Dougall z szyderyczym uśmiechem.

— Co? — spytał tamten.

— Gdy wczoraj popołudniu leżałem w trawie i myślałem nad naszą sprawą, doszedłem do przekonania, że nasza umowa ma swoją słabą stronę.

Twarz Asangi spochmurniała.

— Mów wyraźniej — rzekł.

— Owszem, panie. Dla rękojmi mej wierności musiałem napić się twego wina, a naszych braci tutaj chcesz podstępnie pogrążyć w Nirwanie. Kto mi da zatem absolutną pewność, że mnie nie spotka taki sam los, skoro będę ci niepotrzebny?

Oczy Asangi zabłyśły, lecz pohamował się.

— Nie pleć głupstw! — odparł z fałszywym uśmiechem. — Aż do Kalkuty łączy nas wspólny układ, a skoro tylko podzielimy się pieniędzmi Anglika, możemy się rozłączyć, jeśli to uznasz za stosowne.

— A twoi sprzymierzeńcy odbiorą mi rupie zaraz w następnej godzinie i życie w dodatku!...

— Śmieszne! W Kalkucie jest zbyt wiele uszu, które mogą usłyszeć twój krzyk!

— Człowiek nie może mieć stale otwartych oczu, musi także spać. Jeśli będę wołał o pomoc, wpadnę w ręce policji. A zresztą Asanga, najwyższy kapłan bogini Bhawani, ma dość środków, dzięki którym człowiek zniknie bez śladu, zanim otworzy usta.

— Chcesz może zerwać nasz układ? — spytał Asanga groźnym tonem. — Pamiętaj, że umrzesz do jutra w południe, jeśli ci nie dam odtrutki!

— Nie pleć głupstw! — zawołał Mac Dougall ze śmiechem. — Takie bajeczki możesz opowiadać tutaj swoim ludziom, lecz ja nie jestem dość naiwny, by w to uwierzyć.

Asandze zamarło przekleństwo na ustach.

— Czego więc chcesz?

— O, niewiele — odparł Mac Dougall — chcę cię tylko troszeczkę związać.

— Związać? — krzyknął Thug.

— Tak, związać cię i wydać policji w Kalkucie!

— Zdrajco! — syknął Asanga i chwycił za rękojeść sztyletu, ukrytego w zanadru.

Mac Dougall uprzedził go.

Potężnym ciosem wytrącił mu broń z ręki i chwycił w pól, chcąc obalić, natrafił jednak na rozpaczliwy opór. Starzec miał mięśnie ze stali, więc Mac Dougall musiał wyęźać wszystkie siły, aby utrzymać się na nogach. Nierozstrzygnięta walka trwała dłuższą chwilę. Dyszeli obaj z wysiłku, jak miechy kowalskie, a pot ściekał im z czoła strumieniami. Nagle Mac Dougall pośliznął się. Przeciwnik skorzystał z tego momentalnie i obalił go na ziemię, następnie ukląkł na jego plecach i wydobywszy sznur, założył na gardło pokonanego.

Mac Dougall wyprężył się tak, że mięśnie pękały, chcąc z siebie zrzucić Asangę, lecz położenie jego było niekorzystne. Zabrakło mu tchu, opór jego słabnął coraz bardziej, na koniec stracił świadomość.

Thug podniósł się, odszedł dwa kroki na bok, gdzie leżał sztylet i schylił się po niego.

Mac Dougall będzie zgubiony jeśli żaden z jego przyjaciół nie przyjdzie mu na pomoc.

Lecz oni znajdowali się na pokładzie parowca „Lady Lyle”, który stawał na kotwicy w górnym biegu Mangalu.

Rozdział XIV.

Walka się zaczyna.

Nie wszyscy jednak tam przebywali.

Gdy Mac Dougall poprzedniego wieczora zniknął z oczu swoich towarzyszy, Mambazi przez kilka minut w zamyśleniu spoglądał na fale, po czym zbliżył się do barona i rzekł:

— On się zanadto naraża! Nie możemy go pozostawić samego. Ja wraz z Hiderem pójdę jego śladem!

Kazał spuścić na wodę kapitańskie czółno, na które zamierzał wsiąść wraz z Hiderem.

— Stój! — krzyknął nagle sir Ralf, gdy się o tym dowiedział. — Wiem, chce się wśliznąć, ukryć, pod łóżkiem lub w szafie, nie wiem. Musi jednak zobaczyć! Mam coś! Bardzo dobre! Czekać!

Pobiegł do kajuty i wrócił ze ślepą latarką, którą z widoczną dumą pokazywał swoim towarzyszom.

Wyjaśnił Mahrattcie jej użytek i dodał:

— W Londynie kupiona! Najnowszy patent! Wyśmienita! Wziąć ze sobą! Zawsze gotowa! Klap, widać! Klap, nic nie widać! Bardzo interesujące!

— Dziękuję serdecznie za ten podarek — odparł Mambazi. — Latarka będzie mogła oddać mi nieocenione usługi.

Obaj Hindusi pożegnali się i odpłynęli.

Gdy usłyszeli pierwszy gwizd sygnału, zatrzymali się i nadstawili uszu. Znajdowali się nie dalej od strażnika, niż pięćset kroków.

W jakiś czas potem usłyszeli, że Mac Dougall przepływa w pobliżu. Zabrała go łódź Thugów, a wszystko ucichło.

Czekali może jeszcze pół godziny, potem Mambazi skierował czółno do tego samego miejsca, które sobie dokładnie zapamiętał. Tam musiało być wejście do portu.

Bez hałasu, jak najciszej przesunęli się obaj Hindusi przez zwarty gąszcz trzciny i dotarli do portu. Nikt ich nie odkrył.

— Teraz płynę do lądu — szepnął Mahratta swemu towarzyszowi do ucha. — Wrócisz tą samą drogą, przepłyniesz w poprzek rzekę i ukryjesz się w zaroślach na tamtym brzegu. Pozostaniesz tam

tak długo, aż cię zawołam. Znakiem będzie krzyk argillaha.

Hider skinął w milczeniu głową, a Mambazi bez szelestu zanurzył się we fale. Nie groziło mu niebezpieczeństwo, gdyż Thugowie wygnali stąd wszystkie krokodyle.

Gdy się wydostał na brzeg, nadstawił bacznie uszu. Dokoła panowało grobowe milczenie. Tylko z daleka, z odległych wysp, dochodziło wycie dzikich drapieżnych bestii, które noc budziła do życia.

Począł się posuwać naprzód, czołgając ostrożnie na czworakach, aż wreszcie dotarł do muru. Tutaj podniósł się i namacał płytę, zamykającą wejście do podziemnego lochu. Odchyliwszy ją, wślizgnął się do wnętrza, zamykając wejście i powiesił łańcuch na właściwym haku. Nikt go nie zauważył.

Zapaliwszy ślepą latarkę, szedł przez dłuższy czas ciemnymi korytarzami. Nagle spostrzegł kwadratowy kamień z pierścieniem i napisami, wyrytymi na trzech tablicach, dowiedział się, jaki jest cel konstrukcji. Wślizgnąwszy się na schody, wiodące do mieszkania Asangi, zatrzymał się i nadstawił uszu.

Przez dłuższy czas panowała głęboka cisza. Już zamierzał ostrożnie otworzyć drzwi, gdy nagle usłyszał metaliczny dźwięk gongu, a potem rozkazujący głos. Mahratta mimo woli cofnął się wstecz: To był głos Asangi! Czy ma się niezwłocznie rzucić na niego?

Lecz zapanował nad sobą. Nie wiedział ilu ludzi zdrajca w tej chwili miał na swoje rozkazy, zbytnim pośpiechem mógł wszystko popsuć. Jeśli Mac Dougall został zaraz na początku zdemaskowany, w takim razie leży teraz skrępowany lub może nawet martwy w jakimś nieznanym zakątku i on, Mambazi, nic mu w danej chwili nie może pomóc.

Po namyśle udał się do komory pod dagobą, gdzie się oparł o ścianę i zasnął.

Gdy się obudził nazajutrz koło godziny jedenastej, po głębokim namyśle zdecydował się wyciągnąć kamień z pierścieniem. Przez mały otwór wdarło się jasne światło dnia. Mahratta mógł swobodnie i dokładnie widzieć całą wolną przestrzeń między dagobą a pagodą. Właśnie w tej chwili z przedsionka wyszedł Mac Dougall w towarzystwie jakiegoś dziko wyglądającego Malaja, z którym rozmawiał wesoło i przyjacielsko.

Widok ten ucieszył Mahrattę. Chytry urzędnik policji potrafił od razu nawiązać z Thugami jak najlepsze stosunki.

Gdy obaj zniknęli, Mambazi cofnął się w głąb podziemnych lochów i przedostał się w sąsiedztwo mieszkania Asangi.

Po kilku godzinach usłyszał znów dźwięk gongu, a wkrótce mógł podsłuchać rozmowę Asangi z fałszywym Thugiem, którego chytry kapłan nakłonił do zawarcia wiadomej umowy. W chwilę potem musiał uciekać ze swego miejsca, gdyż pojawił się Asanga, który w głąb lochów zaniósł worki z ryżem. Po raz drugi pojawił się w towarzystwie Nandy i obaj zanieśli zapasy żywności do czółna.

Mambazi, umykając przez nimi, znalazł się nagle w zapomnianym korytarzu. Gdy zamykał drzwi za sobą popchnął je zbyt silnie, skutkiem czego rozległ się ów głuchy dźwięk, który usłyszał Asanga i

Nanda. Mambazi obawiał się, że odkryją jego kryjówkę, lecz tym razem niebezpieczeństwo minęło.

W jakiś czas potem wyszedł z ukrycia i zagłębił się w czarne, puste i głuche lochy. Nagle usłyszał jakieś charczenie, dobywające się z sąsiedniego korytarza. W lot pojął przyczynę.

Puścił się pędem i nadbiegł w ostatniej chwili. Właśnie Asanga pochylał się, aby podnieść sztylet i zamordować Mac Dougalla. Mahratta chwycił go za gardło i obalił na ziemię. Po krótkiej walce udało mu się go obezwładnić, związać i zakneblować mu usta. Mac Dougall odzyskał tymczasem przytomność.

— Hallo! — zawołał w najwyższym zdumieniu i skoczył na równe nogi. — Czy ja dobrze widzę? Czy to ty, dzielny Mahratto? Wracasz może właśnie z pól Elizejskich? Lecz nie, ja jeszcze istotnie żyję! Patrzcie Asanga leży związany! Lecz w jakim sposob, na wszystkich bogów indyjskiego Olimpu, pojawiłeś się w najodpowiedniejszej chwili? Mów!

— Usiądź — odparł Mahratta — musimy wiele rzeczy sobie opowiedzieć i naradzić się.

Usiedli razem na ziemi i opowiedzieli sobie wzajemnie ostatnie przeżycia.

— Wszystko składa się świetnie! — rzekł potem Mac Dougall. — O godzinie ósmej będzie tak ciemno, że będziesz mógł bez niebezpieczeństwa zawołać swego Hidera. O godzinie trzeciej nad ranem „Lady Lyle” ma podpłynąć w okolicę bananowca, aby Thugom zająć łodzie. Lecz możecie to uczynić już o godzinie pierwszej, a o drugiej lub w pół do trzeciej tutaj przybyć. O dwunastej Thugowie zbiorą się w świątyni. Ja już urządzę piękne przedstawienie, aby ich tam zatrzymać na kilka godzin. Wy tymczasem możecie wyładować i obsadzić wszystkie wejścia. Hider zna dobrze drogi i może ustawić naszych ludzi. Mamy osiemdziesięciu żołnierzy, a więc dwudziestu z tego wraz z lordem i Hiderem przy pustym bananowcu. Dwudziestu wraz z doktorem pozostanie w porcie. Mają oni tworzyć rezerwę, w razie, gdyby znalazło się drugie miejsce, przez które Thugowie mogliby uciec bez naszej wiedzy. Pozostałych czterdziestu wraz z tobą i baronem uda się przed wejście do wielkich schodów.

— Chcesz na wszelki wypadek pozostać? — spytał Mahratta.

— Muszę — odparł Mac Dougall. — Jeśli Asanga bez widocznego powodu każe na siebie zbyt długo czekać, to Thugowie w świątyni staną się zbyt niecierpliwi i przedwcześnie wyjdą stamtąd. Ja jestem jedynym człowiekiem, który ich może uspokoić. Lecz jeśli istnieją inne wyjścia z labiryntu, w co nie wątpię, dowiem się o tym dopiero w ostatnim momencie. W tym wypadku przedostanę się szybko w tę stronę i powiadomię was.

— Skoro zabłyśnie nasza broń, oni w lot zrozumieją twoją fałszywą grę, a wtedy...

— Ba! — przerwał Mac Dougall. — Zostanie jeszcze tyle czasu, by zniknąć w jakimś korytarzu, na lewo lub prawo i dopaść do drzwi, wiodących na zewnątrz. W tym wypadku jestem już przy was. A jeśli nie — ha, każdy żołnierz musi być przygotowany na kulę. Czy nie jesteś tego zdania?

— Jesteś dzielnym człowiekiem — rzekł Mahratta z błyskiem radości w oczach. — Będę dumny,

jeśli mi wolno będzie nazwać się twoim przyjacielem. Lecz dalej! Musimy naszego jeńca wynieść poza kratę. Ja go będę dźwigał, a ty oświetlaj mi drogę.

A przedtem muszę sobie schować sztylet Asangi za pas — rzekł Mac Dougall, chwytając za broń. — Będzie on dla mnie wspomnieniem chwili, w której mogłem się przekonać, że obraz Bhawani w świątyni zgadza się z rzeczywistością.

Uczył to, a Mambazi zarzucił siebie jeńca na plecy i obaj udali się do łodzi. Tutaj wyrzucili niebacznie worki z ryżem, nie domyślając się wcale ich zawartości, a na ich miejscu położyli Asangę.

Potem pożegnali się — obaj Hindusi — prawdziwy i fałszywy, Mac Dougall wrócił do komnaty najwyższego kapłana, Mambazi tymczasem płynął między dwiema ścianami bambusowej gęstwiny, aż wreszcie spostrzegł błyszczące zwierciadło szeroko rozlewających się wód. Tutaj zatrzymał się i postanowił zaczekać, aż nadejdzie noc.

Gdy ciemna zasłona nocy wszystko zakryła, popłynął dalej i krzyknął, naśladując głos argillaha. Hider się zbliżył i przesiadł do łodzi Mahratty, po czym obaj wrócili do „Lady Lyle”.

Parowiec ten stał nieruchomo, pogrążony w cieniu i tylko słaby odblask światła z jednego okienka zdradzał jego obecność.

Obaj Hindusi przywołali dyżurnego majtka, który rzucił im linę. Za jego pomocą wciągnięto na pokład najpierw Thuga, a potem oni sami wdrapali się.

Głosy ich obudziły przyjaciół, którzy szybko nadbiegli, by się dowiedzieć, co nowego zaszło.

— To jest nieoceniony połów! — zawołał von Denhoff, gdy mu Mambazi wszystko opowiedział. — Teraz wszyscy Thugowie wpadną w nasze ręce! Tymczasem chciałbym przesłuchać tego łotra, mordercę, tego kandydata na wisielca.

Asanga na te słowa nie otworzył ust. Stał w miejscu dumny, wyprostowany, pogardliwie patrząc na otaczających go ludzi. Na koniec nadbiegł sir Ralf.

— Co się stało? — spytał.

— Mac Dougall i Mambazi schwytali tego draba. To jest najwyższy kapłan Thugów.

— Aha! — zawołał sir Ralf tonem zrozumienia. — Pojmuję! Coś w rodzaju marszałka polnego! Bardzo interesujące! Lecz muszę go spytać, dlaczego porywa kamerdynerów w liberii?

— Proszę, nikt panu nie przeszkadza. Lecz daremnie się pan będzie trudił. On udaje niemego.

Lecz sir Ralf nie zraził się tym. Wyciągnął swój notes i z uroczystą miną rozpoczął przesłuchanie. Asanga milczał jak zakłęty.

Sir Ralf Ludington zanotował sobie:

„Asanga — nazywa się także Mandżadi, nie wiem dlaczego. Naczelnny wódz Thugów, jest jednak niemy, a może nawet i głuchy. Nie pojmuję zatem, w jaki sposób może rozkazywać. Bardzo nudne!”

„Głuchoniemego” umieszczono w kajucie pod pokładem i postawiono przy nim straż. Następnie jacht rozpoczął swoją nocną podróż.

Gdy „Lady Lyle” wpłynęła do kanału, sygnały ostrzegawcze nie rozległy się, z czego można było łatwo wywnioskować, że nad brzegiem nie ma strażników i że wszyscy Thugowie zgromadzili się w świątyni.

— Wszystko rozwija się świetnie — rzekł uradowany baron. — Ten Mac Dougall to patentowany detektyw. Jeśli labirynt nie ma innego wyjścia, to osaczymy Thugów, jak lisa w jamie!

Gdy „Lady Lyle” znalazła się w pobliżu portu, zarzucono kotwicę na środku rzeki. Spuszczono na wodę szalupy, na które wsiedli żołnierze pod wodzą białych. Tylko kilku pozostało na parowcu. Sir Ralf, który oparł się o burtę z fajeczką w zębach i dobrodusznie spoglądał na odpływających, prócz niego majtkowie, jeniec ze strażnikiem, Bob i Filip.

Mambazi i Hider, którzy popłynęli przodem, jako wywiadowcy, znaleźli w porcie tylko puste czółna Thugów. Zapalono pochodnie i żołnierze wysiedli na ląd. Cały oddział podzielono na trzy kolumny: jedna pomaszerowała do bananowca, druga do wejścia do świątyni, trzecia zaś pozostała w porcie pod rozkazami doktora.

Co porabiał tymczasem Asanga?

Gdy wpadł w ręce wrogów, w pierwszym momencie sądził, że jest zgubiony. Wiedział, że zostanie oddany w ręce policji. Poznał Mahrattę natychmiast, gdyż Mambazi był uderzająco podobny do swego ojca. Na podstawie rozmowy obu zwycięzców domyślił się, w jaki sposób został oszukany i najchętniej w najwyższej rozpaczy byłby sobie czaszkę rozbił o skałę. Do rozpaczy i wściekłości przyłączyła się ponadto bolesna myśl, gorzka, pełna zwątpienia, że już nigdy nie zbliży się do kraty, koło której leżały jego olbrzymie skarby. Czy ci dwaj wiedzieli już o nich?

Lecz oni worki wzgardliwie odrzucili na bok. To mu natychmiast dodało otuchy. Gdyby mógł uciec i odzyskać swoje drogie kamienie, wówczas nie troszczyłby się wcale ani o Thugów, ani o Hindusów! Uciekłby na koniec świata!

Lecz w jaki sposób uwolnić się z więzów?

Przez całą drogę zastanawiał się nad tym, a gdy się znalazł w kajucie, oglądał każdy gwóźdź w tej ciasnej klatce, jak gdyby one mogły mu ułatwić ucieczkę.

Gdy „Lady Lyle” się zatrzymała, dano mu nowego strażnika, którego bacznie obserwował. Spostrzegł, że nie odznacza się on nadzwyczajną inteligencją, gdy patrzył bezmyślnie w przestrzeń. Asanga postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

Począł nagle szczekać zębami, postawił oczy w słup, a członki jego miały się konwulsyjnie.

— Zachowuj się spokojnie lub biję! — rozkazał żołnierz.

— Przebacz mi, panie — wybełkotał jeniec — ja ... ja cierpię na epilepsję... a to jest... straszna choroba... ja... nic nie winien!...

Sipaj spytał, w jaki sposób mógłby mu dopomóc.

— Po... połóż mi... mokre płótno... na karku — błagał Asanga — to... to... czasem pomaga... po... powstrzymuje... atak... cho... choroby...

Sipaj wyszedł z kajuty i wrócił niebawem z zimnym okładem. Tymczasem atak zdawał się osiągnąć swój kulminacyjny punkt. Jeniec leżał w kącie, rzucając się w konwulsyjnych podrygach, miał pianę na ustach i pożałowania godny wygląd.

Żołnierz szybko przystąpił doń, aby mu położyć na karku mokrą chustę. Nagle chytry zbrodniarz porwał się z miejsca i z całej siły błyskawicznym ruchem uderzył go głową w brzuch. Nieszczęśliwy runął na podłogę bez jęku, tylko otworzył usta, jak gdyby się dusił.

Asanga długo go nie oglądał. W każdym razie żołnierz był na kilka godzin nieszkodliwy. Przyczołgał się do niego i związanymi rękoma wyciągnął mu zza pasa sztylet. Następnie potoczył się aż do ściany. Tutaj podniósł się z wysiłkiem wepchnął sztylet w szparę w desce i starał się przeciąć rzemienie.

Nic nie widział, ponieważ ramiona miał związane na plecach, toteż niebawem krew wypłynęła z kilku ran na dłoniach, lecz na tym mu nie zależało. Chciał tylko wolność odzyskać!

Tak się też stało. Po kilku chwilach więzy pękły na rękach, a poprzecinanie rzemieni na nogach było dziełem trzech sekund. Teraz trzeba było wydostać się ze statku.

Szybko zrzucił z siebie ubranie i przywdział mundur omdlałego żołnierza, porwał jego broń i wybiegł na pokład. Tylko sir Ralf znajdował się tutaj. Oparty o burtę palił spokojnie fajeczkę.

Asanga zamierzał początkowo po cichu zbliżyć się do niego i zasztyletować z tyłu. Przez nieostrożność jednak uderzył kolbą karabinu w drzwi, tak że sir Ralf odwrócił się.

— A to co? — spytał szorstko, widząc domniemanego sipaja.

— Przebacz mi, sahib — odparł Asanga zepsutą angielszczyzną krajowców, trzymając się przezornie w cieniu. — Zaspałem, więc teraz muszę popłynąć za innymi, a pragnę, by sierżant tego uchybienia nie zauważył.

— Jak się nazywasz?

— Palawan, sahib.

— *Well*. Jutro kara. A teraz marsz! Tam jest małe czółno. Precz. Asanga bez namysłu wskoczył do łodzi i chwycił za wiosła. Starał się płynąć jak najszybciej, bo chodziło mu o to, aby jak najprędzej

wydstać się z niebezpiecznej okolicy. Po chwili, zakreślając olbrzymi łuk, zbliżył się do miejsca, gdzie musiały leżeć skarby.

Nikt nie słyszał lekkiego szmeru łodzi, prześlizgującej się wśród trzcin. Wkrótce potem znalazł się na platformie, przed kratą. Czy jego drogocenne worki leżały tam, gdzie je rzucił Mambazi?

Drżąc z trwogi i gorączki szukał po omacku i z trudem tylko powstrzymał okrzyk radości, wydzierający się gwałtem z piersi. Ręka jego dotknęła nienaruszonych worków! Zaniósł je czym prędzej do łodzi. Już chwycił za wiosła, gdy nagle przypomniał sobie białych wrogów, którzy właśnie w tej chwili przedzierali się przez dżunglę w kierunku świątyni, by zdobyć jego nieocenioną kryjówkę, a jego samego skazać na wygnanie. Może właśnie w tejże sekundzie strzelają do Thugów, nie spodziewających się niczego? Zapragnął natychmiastowej zemsty!

Zdecydował się szybko. Skoczył na brzeg, otworzył kratę i zagłębił w ciemny korytarz. Zatrzymał się na chwilę, by zapalić knot, który wziął ze sobą z okrętu. Teraz mógł iść szybciej i niebawem znalazł się pod fundamentami dagoby. Wyciągnąwszy kwadratowy kamień z pierścieniem, ujrzął szeroki plac przed dagobą.

W blasku pochodni poznał żołnierzy, na których czele stał Mahratta i jeden ze znieawidzonych białych. Otworzyli właśnie zewnętrzną bramę i zanurzyli się w klatkę schodową.

Szatański uśmiech wykrzywił twarz zbrodniarza.

Nadszedł długo oczekiwany moment. Asanga cofnął się, chwycił za przygotowaną linę i szarpnął mocno.

W oddali zagrzniał potężny huk, zmieszany z rykiem i gwałtownym szumem. Silne tchnienie wichru zgasiło światło. A potem dał się słyszeć straszliwy grzmot spadających mas wody, które zatapiały labirynt. Włosy zjeżyły się na głowie Asangi. Zapomniał zupełnie, że potop może go tutaj osiągnąć; oszalały z przerażenia, w dzikim popłochu począł biec ciemnym korytarzem, jak gdyby ścigany przez furie.

Uderzył się w pędzie kilkakrotnie o głazy i oprzytomniał. Zwolnił kroku i począł się posuwać naprzód po omacku. W ten sposób doszedł do kraty, wskoczył do łodzi i odpłynął.

Po chwili był już sam na otwartej i wolnej przestrzeni kanału.

Teraz tylko niespostrzeżenie przebyć całą szerokość odnogi rzecznej — i będzie wolny, zupełnie wolny! Najbardziej zażarci wrogowie będą wobec niego bezsilni! Lecz oni w tej chwili są już trupami, kłębiącymi się w rozszałym wnętrzu labiryntu, a ta garść żołnierzy, która pozostanie przy życiu, nic nie znaczy!

Mylił się jednak.

A teraz wrócimy do dzielnego Mac Dougalla, którego straciliśmy z oczu.

Rozdział XV.

Na śmierć i życie.

Urządnic policji, pożegnawszy Mahrattę, wrócił wolnym krokiem do komnaty Asangi. Na schodach za ciasną komórką nastąpił na linę, którą pół godziny temu dopomógł założyć. Nachylił się, aby ją przeciąć i w ten sposób uczynić nieszkodliwą, gdy nagle nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Gdy te draby będą w pułapce — rzekł sam do siebie — może nam ona oddać wielkie usługi, a nawet uratować życie. Thugowie mogą się oszańcować w labiryncie, a wówczas zaczną się układy. Jeśli im nie ucieknę do tej chwili, postaram się, aby mnie wysłali jako posła z dwoma lub trzema innymi. Tym pokażemy piękne urządzenie, a oni byliby matołkami, gdyby nie zrozumieli, że atut wymknął się im z ręki. Z tego więc powodu pozostawmy tę linę na swoim miejscu.

Wszedłszy do komnaty schwytanego kapłana, wyciągnął się rozkosznie na miękkim dywanie i do godziny jedenastej spokojnie palił sobie fajkę.

Następnie uderzył w gong, wszedł strażnik.

— Czy wiadomo ci, że Asanga mianował mnie panem tego pierścienia? — spytał.

— Tak, panie — pokornie odparł Thug.

— Czy wiesz, że po nim piastuję tutaj najwyższą godność?

— Tak, panie.

— Dobrze. Asanga w tej chwili jest zajęty wielkimi czarami i nie może się oddalić. Posłuchaj więc, co mówi moimi ustami: „Zwołaj wszystkich braci, niech się o północy zgromadzą w świątyni i to bez wyjątku. Nasza wielka bogini chce mieć wszystkich swoich wiernych wyznawców przy sobie, aby im udzielić specjalnej łaski, gdy uderzy właściwa godzina”.

— Wykonam natychmiast twój rozkaz, panie! — zapewnił go strażnik i oddalił się.

Wkrótce potem Mac Dougall usłyszał głos trąby z klasztoru, która jednak grała inną melodię, niż na wybrzeżu.

— A więc to są dzwony, za pomocą których czcigodny Asanga zwołuje swoje owieczki na ofiarę!
— pomyślał Mac Dougall.

Okolo północy odźwierny zjawił się znowu.

Czy rozkaz Asangi wykonany? — spytał fałszywy Thug wchodzącego.

— Tak, panie. Bracia czekają w świątyni swego najwyższego kapłana.

— Wszyscy?

— Jeśli nasza wzniosła bogini żąda wszystkich, wówczas nikt, panie nie waha się stanąć pod jej obliczem.

— Dobrze. Teraz będziesz mi towarzyszył. Asanga wciąż jeszcze jest zajęty czarami.

Odźwierny skłonił się kornie i poprowadził go do świątyni, w której znajdował się już tłum Thugów.

Nanda z poważną i świątobliwą miną wstąpił po stopniach na ołtarz, skinieniem dłoni nakazał zgromadzonym milczenie, po czym odezwał się w te słowa.

— Nasza wzniosła bogini, przepotężna, niezwyciężona Bhawani z wielkim zadowoleniem przyjęła osobliwą ofiarę, złożoną jej przed kilku dniami. Bezczelni biali świętokradcy, którzy zbezczęścili progi jej świątyni, zostali zniszczeni i zniknęli jak garść prochu, porwana wichrem! To ucieszyło naszą boginię niesłychanie, dlatego też swoich wiernych na tej wyspie chce wziąć w szczególną opiekę. Na znak prawdy tej nocy uczyni cud! Tę wieść radosną odczytał Asanga, najwyższy jej kapłan, w świątyni, w czarodziejskim ogniu, w którym spłonęły ostatnie szczątki zwyciężonych nieprzyjaciół.

Radosny pomruk zadowolenia przebiegł zwarte szeregi Thugów; nikt z nich nie ośmielił się wątpić w prawidłowość niesłychanej wieści.

Mac Dougall przerwał mowę na kilka chwil i dalej prawił:

— Asanga nie wie jeszcze dokładnie, kiedy uderzy szczęśliwa godzina cudownego zjawiska. Właśnie pyta o to gwiazd. Aż do tej chwili pragnie, by mu nikt nie przeszkadzał i rozkazuje braciom, by żaden z nich nie wyszedł ze świątyni. Mogłoby to uwolnić z więzów Duchy Nocne, które najwyższy kapłan czarami zaklął i mogłoby także rozgniewać srodze boginię Bhawani co może skłonić ją do rzucenia klątwy na klasztor.

Posłannictwo Nandy zbliża się ku końcowi. Usiadł na najwyższym stopniu ołtarza, podwinąwszy nogi pod siebie, oparł brodę na rękę i przybrał taką minę, jak gdyby sam musiał udzielać posłuchania rozmaitym upiorom.

Thugowie nie mieli odwagi przeszkadzać mu w tym zajęciu. Usiedli kołem na ziemi i rozmawiali o tym, co świeżo usłyszeli.

W ten sposób upłynęła godzina. Mac Dougall siedział ciągle bez ruchu, jak gdyby przemieniony w kamienny posąg. Lecz z biegiem czasu Thugowie zaczęli się niecierpliwić. Rzucali badawcze spojrzenia to na drzwi, przez które miał wejść Asanga, to na jego zastępcę przy ołtarzu. Mr Mac Dougall udawał, że tego wcale nie spostrzega, a tymczasem w cichości obliczał, ile by to wyniosło lat ciężkiego więzienia, gdyby ci wszyscy zbrodniarze sprawiedliwie zostali zasądzeni za swoje „zasługi”.

Gdy kwadrans mijał za kwadransem, a najwyższy kapłan się nie zjawiał, zgromadzeni poczuli podnosić się z podłogi i przechadzać grupami po hali. Następnie czterech naczelników odbyło wspólną naradę, po czym zbliżyło się do Mac Dougalla.

— Przebacz nam łaskawie, czcigodny bracie — rzekł — że ci przerywamy rozmyślenia, lecz bracia niepokoją się bardzo losem Asangi, który jeszcze nigdy nie kazał na siebie tak długo czekać. Możliwe, że w czasie czarów spotkało go jakieś nieszczęście. Może byłbyś tak dobry zaglądnął do niego i przekonał się co właściwie zaszło, aby nas uspokoić?

— Wiecie dobrze — odparł Mac Dougall — że on wyraźnie sobie życzył, by mu nie przeszkadzano, i że z waszego nieposłuszeństwa może wyniknąć największe nieszczęście. Bądźcie zatem cierpliwi. Asanga jest zbyt wielkim mistrzem w czarnoksięstwie, by go złe duchy mogły pokonać.

Czterej naczelnicy nie chcieli jednak o tym słyszeć, a ponieważ Mac Dougall niewzruszenie upierał się przy swoim, postanowili na własną rękę udać się do Asangi.

Zamiar czterech Thugów był bardzo niebezpieczny dla urzędnika policji. Dokąd zresztą miał ich wysłać?

— Ja sam udam się do Asangi! — rzekł.

— Serdeczne dzięki, czcigodny bracie! — rzekli naczelnicy, którym widocznie kamień spadł z serca.

Chociaż bowiem bardzo obawiali się bogini Bhawani, o wiele więcej drżeli przed gniewem Asangi, w razie, gdyby zjawili się przed jego obliczem w niewłaściwym momencie.

Mac Dougall opuścił świątynię uroczystym krokiem, pozostawiając sekciarzy pogrążonych w lekkim przygnębieniu.

— Do diabła! — pomyślał sobie, gdy się znalazł w komnacie Asangi.

— Co ja właściwie mam teraz obwieścić tym ludziom? Gdyby „Lady Lyle” już nadpłynęła! Lub nie, gdyby się zatrzymała jeszcze na dwie lub trzy godziny! Wiem! Znalazłem! Mam środek, który tę bandę uspokoi! Teraz mam większą połowę tych drabów w pułapce!

Wrócił do świątyni, gdzie go Thugowie oczekiwali w trwożnym napięciu. Mac Dougall miał pobożną, świętobliwą minę, gdy szedł po stopniach ołtarza.

— Asanga bardzo się rozgniewał, gdy usłyszał o waszym nieposłuszeństwie — rzekł do zgromadzonych owieczek, gdy stanął przy ołtarzu.

— Właśnie rozmawiał z duchami białych zdrajców z przedwczorajszego dnia i pytał ich o ostatnie, najstraszniejsze słowa zaklęcia, które mogą wywołać naszą wzniosłą boginię z jej czarnego królestwa. Ponieważ ta wielka chwila już się zbliża, przeto wybaczam wam to, co zaszło i wzywam

was, byście się przygotowali do tańca jaszczurek. Tylko ci będą mogli widzieć niebiański cud, którzy padną na ziemię w świętym uniesieniu i rozmodleniu przed posągiem bogini!

Z piersi fanatyków wydarł się głośny okrzyk radości, niektórzy poczęli skakać i tańczyć, jak szaleńcy.

Mac Dougall nakazał wszystkim milczenie i skinął na czterech naczelników.

— Wiecie, jakie macie zadanie? — spytał.

— Oczywiście, czcigodny bracie — odparli z głębokim ukłonem. Każdy z nich wybrał sobie tuzin Thugów i zniknął wraz z nimi w lochach labiryntu. Pozostali tymczasem rozmawiali między sobą z ożywieniem, z trudem powstrzymując głośne objawy uniesienia i radości.

Wysłańcy wracali jeden za drugim. Znosili szaty ze złocistego jedwabiu, dywany, którymi miała być wysłana posadzka świątyni. Przynieśli także dużą kadzielnicę, która miała kształt kociołka na węgle stojącego na wysokich nóżkach. Z boku umieściła się orkiestra z osobliwymi instrumentami muzycznymi. Dostojnicy, w liczbie czterdziestu, włożyli uroczyste szaty i usiedli półkołem przy ołtarzu. Inni usiedli na posadzce w głębi świątyni, tworząc podwójne rzędy, biegnące prostą linią.

Mac Dougall, w kosztownej todze, haftowanej złotem i perłami, przystąpił do kadzielnicy i zapalił ją pochodnią. Równocześnie jęknęły, zadźwięczały, zagrzmiały i ryknęły różnorodne instrumenty, tworząc piekielny, ogłuszający hałas, który te draby uważały za niebiańską muzykę. Tłum zawył religijną pieśń. Mac Dougall tymczasem tańczył dokoła kadzielnicy, jak długo z niej buchały płomienie.

Na koniec ogniste języki skurczyły się; na dnie kadzielnicy błyszczał, skrzył się i mienił żar.

Mac Dougall zatrzymał się i zamiauczał, jak kocur, któremu ktoś ogon nadepta:

— Hawjadati, Hawjadati, Pandzakajala! Dar, dar, o pięciu czarach! Dwaj Thugowie przynieśli szybko złotą puszkę, którą postawili przy kadzielnicy, i wręczyli Mac Dougallowi srebrną łyżkę. Nanda zaczerpnął nią z puszek nieco czerwonego proszku, którym posypał rozżarzone węgle w kadzielnicy. Z jej wnętrza podniósł się biały, gęsty dym i całą przestrzeń napełnił aromatycznym i przyjemnym zapachem.

Mac Dougall odstąpił swoje miejsce czterem naczelnikom i wrócił do ołtarza, aby w roli niemego widza przypatrywać się dalszemu przebiegowi uroczystości.

Czterej dygnitarze stanęli dokoła kadzielnicy i sypali na żar proszek ze złotej puszek. Do kadzielnicy zbliżali się parami Thugowie, pochylali głowę nad żarem i pełną piersią wchłaniali narkotyczny dym. Już po upływie kilku minut byli kompletnie oszołomieni; wśród dzikich podskoków biegli w głąb świątyni, gdzie miotali się jak szaleńcy, dopóki nie padli na podłogę bez świadomości, wyczerpani do cna. Tymczasem do kadzielnicy przystępowała następna para i widowisko powtarzało się. Muzyka grzmiała i dźwięczała coraz głośniejsze, coraz donośniej rozlegał się dziki, ogłuszający śpiew.

— Tylko tak dalej! dalej! — myślał w duchu Mac Dougall, z głębokim zadowoleniem przypatrując się temu piekielnemu sabatowi. — Jeszcze tylko jedna godzina, a potem ujawnią się na scenie bohaterzy z „Lady Lyle”. Znajdą prawie całą bandę, leżącą na flizach posadzki w zupełnym odurzeniu, więc będą mogli tych drabów pakować do beczki, jak śledzie solone! Z dwudziestu lub trzydziestu dostojnikami załatwię się szybko sam, nie ma obawy!

Jego nadzieje zdawały się urzeczywistniać. Już połowa fanatyków leżała bez przytomności na posadzce, stu innych szalało jeszcze w piekielnych podrygach tanecznych, na kształt jakichś potwornych upiórów. Nagle jeden z tańczących, który właśnie znajdował się w najdalszym końcu hali, wydał głośny wrzask trwogi. Sąsiedzi jego zatrzymali się i rzucili spojrzenie na schody, po czym powtórzyli krzyk, który leciał, jak na skrzydłach, przez całą świątynię. Mac Dougall, mógł go niebawem zrozumieć: „Żołnierze! żołnierze!”

Teraz rozegrała się nieopisana scena.

Ci, którzy byli oszołomieni trucizną, ze strasznym wrzaskiem rzucili się do drzwi, aby pazurami i zębami rozszarpać żołnierzy. Inni, przytomniejsi, widząc ogromną przewagę po stronie napastników, stchórzyli i rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony, szukając kryjówki w czarnych lochach labiryntu. Kilku dostojników zrozumiało związek ostatnich wypadków i domyśliło się podstępu. Z błyskawicą wściekłości w oczach ludzie ci rzucili się na fałszywego Thuga.

— Psie! Podły szpiegu! — ryczeli ochryplymi głosami.

Mac Dougall rzucił szybkie spojrzenie dokoła, nie wiedząc, gdzie się ukryć. Był otoczony. Nagle wskoczył, jak wiewiórka, na wyniosły posąg bogini, wdrapał się na szczyt i ukrył się za jej głową, tak, że złoty diadem z brzękiem spadł na posadzkę.

Urzędnik policji wyrwał zza pasa sztylet i krzyknął potężnym głosem:

— Strzeżcie się! Najmniejsze uklucie sprrowadza śmierć! Ostrze jest zatrute!

Thugowie odskoczyli, lecz w jednej chwili znów się rzucili naprzód. Wszędzie grozi śmierć tu, czy tam — chcieli się przynajmniej zemścić przed zgonem! Już tuzin drapieżnych szponów wyciągał się, by Mac Dougalla strącić na kamienną posadzkę, gdy nagle rozległ się głuchy grzmot, który wszystkich powstrzymał.

Dzielny urzędnik ze swego wyniosłego miejsca mógł widzieć wszystko, aż do podnóża schodów. Lecz zanim zdołał podnieść głowę, otworzyły się tam ogromne, kwadratowe bloki kamienne, jak gdyby pięścią olbrzyma wywalone i gigantyczna fala wodna lunęła do wnętrza świątyni.

Ledwie zdołał ucześcić się ramion i głowy bogini śmierci, zalały go rozszalałe fale. Światło zgasło.

A jego przyjaciele wraz z żołnierzami?

Gdy von Denhoff i Mambazi wyruszyli z portu na czele kolumny, szli ścieżką, którą wprowadzono Mac Dougalla po jego przybyciu.

Zrazu otaczała ich głęboka cisza nocna. Lecz po upływie pięciu minut Mambazi usłyszał coś jak gdyby głuche uderzenia. Zatrzymał się i począł bacznie nasłuchiwać.

Mambazi nie omylił się; w świątyni lub w klasztorze zaszło coś wbrew przewidywaniom Mac Dougalla.

— Czyżby naszego dzielnego przyjaciela zdemaskowano w ostatniej chwili? — szepnął na ucho baronowi.

— To możliwe! — odparł von Denhoff. — Jego śmiałość była zbyt wielka. Pchać się w paszczę lwa!

— Lecz Mandzadi, najchytrzejszy z całej bandy, leży spętany na okręcie! Jeśli ten dał się zaślepić...

— Mógł go poznać kto inny. Asanga przecież skupił dookoła swej osoby najgorsze szumowiny z całego Bengalu. Łatwo mógł się tam znaleźć jakiś zbiegły zbrodniarz, którego właśnie Mac Dougall zamknął w więzieniu!

— Nie mogę zaprzeczyć — rzekł Mambazi. — Pójdę zbadać sytuację.

— Pójdę wraz z tobą! — oświadczył von Denhoff.

— Nie! Żołnierze zawsze muszą mieć wodza, który rozkazywałby im. Skoro usłyszycie trzykrotny krzyk argillaha spieszcie natychmiast do klasztoru.

Po tych słowach odszedł. Po chwili usłyszał dziką muzykę i wycie Thugów, rozlegające się we wnętrzu świątyni. Znalazł się na obszernym placu przed klasztorem, pogrążonym w głębokim cieniu. Mambazi wdarł się na mur i przez małe okienko zajrzał do wnętrza pagody.

Pod nim, w świątyni, siedział sobie spokojnie na stopniach ołtarza Mac Dougall, ubrany w bogatą, złocistą szatę. Dookoła siedzieli na posadzce naczelnicy zbójckiego związku. Na środku czterech Thugowie wytwarzali odurzające kadzidła, którymi upajał się tłum.

Mambazi mimo woli musiał się uśmiechnąć, widząc dowody niesłychanej przebiegłości urzędnika policji. Po chwili cofnął się ze swego miejsca i przywołał żołnierzy w umówiony sposób.

— Ten Mac Dougall to szczywana sztuka! — rzekł von Denhoff, gdy mu Mambazi wszystko opowiedział. Gra rolę naczelnego bonzy, jak gdyby się urodził wśród Thugów! Szkoda, że tu nie ma sir Ralfa! Zanotowałby sobie przepyszne uwagi w swoim notesie!

Na rozkaz barona żołnierze minęli bramę świątyni i wtargnęli na schody. Jeden z tańczących Thugów spostrzegł ich i wrzasnął przeraźliwie. Ledwie żołnierze zdążyli przygotować się do ataku, gdy nagle oszołomieni sekciarze rzucili się na nich z dzikim obłędem w oczach a twarzami wykrzywionymi nienawiścią i wściekłością. Sipajowie zniżyli broń do ataku, a von Denhoff otworzył usta, by wydać rozkaz.

Znienacka rozległ się pod ziemią głuchy huk. Wszyscy skamienieli z przerażenia. Zanim ktokolwiek zdołał sobie zdać sprawę z przyczyny tego zjawiska, pękły schody i kolosalna fala załapała w jednej sekundzie całą świątynię, pogrążając wszystko w czarnych ciemnościach. Skały zatrzęsły się od straszliwego, ogłuszającego grzmotu.

Mambazi pierwszy się ocknął. Przyskoczył do żołnierza, który niósł pochodnię, wyrwał mu ją z dłoni i krzyknął:

— Mandzadi uciekł! Za mną!

Wybiegł ze świątyni i pognął do portu.

Wkrótce jednak zatrzymał go w miejscu przerażający łoskot: pagoda runęła. Potężny słup pyłu oznaczał miejsce, gdzie się przed sekundą jeszcze wznosiła.

— Miłosierny Boże! — krzyknął w przerażeniu von Denhoff. — Biedny Mac Dougall!

— Zginął! — odparł Mahratta. — Nikt go nie może uratować! Dalej, dalej! Musimy schwytąć jego mordercę!

Pobiegł niezwłocznie naprzód, za nim von Denhoff i żołnierze. Gdy obaj przyjaciele znaleźli się w porcie, wskoczyli do pierwszego lepszego czółna.

— Prędko! prędko! do okrętu! — krzyknął Mambazi.

Doktor wskoczył również, tuzin żołnierzy chwyciło za wiosła i czółno pomknęło po falach jak strzała.

Gdy łódź uderzyła o bok parowca, Mahratta wdrapał się jak kot na pokład i za pomocą silnego reflektora jaskrawym światłem oświetlił rzekę na szerokiej przestrzeni. Już po kilku minutach okrzyk radości wydarł się z jego piersi. Między brzegami mknęło małe czółno. Chociaż siedzący w nim człowiek miał na sobie mundur sipaja, Mahratta nie miał najmniejszej wątpliwości, kto to jest.

Podał latarnię doktorowi, który stał już obok niego polecając, aby nieustannie oświetlał zbiega. Sam wskoczył do łodzi i popłynął szybko, kierując czółno w stronę punktu, gdzie zmierzał Asanga.

Ten poznał grożące mu niebezpieczeństwo, gdyż podwoił wysiłki. W kilka chwil potem dotarł do nadbrzeżnych zarośli i zniknął w nich.

— Za późno! — krzyknął von Denhoff, który siedział na dziobie czółna z podniesionym karabinem.

— Dalej! dalej! — odparł Mambazi, zgrzytając zębami. — Nie śmie nam umknąć! Albo tam są ścieżki, jak na Radzmangalu, albo też ja go schwytam, gdy będzie się starał prześlizgnąć wśród gęstwiny!

Pogoń trwała w dalszym ciągu.

W zaroślach istotnie znajdowały się ścieżki, wijące się kretu nad otchłanią niezgłębionych bagien. Asanga uciekał tymi drożynami, ile tylko tchu w piersiach, dźwigając na plecach dwa worki z drogocennymi klejnotami.

Dwaj przyjaciele ścigali go zawzięcie, zbliżając się z każdą sekundą coraz bardziej.

Wreszcie ujrzeni z bliska podłego zbrodniarza. Mambazi podniósł w górę pochodnię, aby go lepiej oświetlić, a von Denhoff wziął Asangę na cel. Nie widzieli, że za zbrodniczym arcykapłanem Thugów tuż przy ścieżce wynurzyły się z bagna dwie straszliwe paszcze krokodyli.

— Tam! Tam! — krzyknął Mahratta.

— Stój lub strzelam! — rozkazał potężnym głosem von Denhoff.

Asanga zatrzymał się i odwrócił twarz. W mgnieniu oka zrozumiał swoje położenie i zdecydował. Musi zabić najpierw Mahrattę, a potem z białym się załatwić.

Błyskawicznym ruchem wy dobył rewolwer.

— Giń! — wykrzyknął.

Huknął strzał i Asanga spostrzegł przez dym, że Hindus runął na ziemię.

Z szyderyczym śmiechem zwrócił się Thug do dalszej ucieczki, ale w pośpiechu wykonał zanadto gwałtowny ruch. Dwa worki, które miał na plecach, wytrąciły go z równowagi. Rozległ się przeraźliwy wrzask — i Asanga zwałił się w bagno, które natychmiast zamknęło się nad nim.

Mambazi był tylko zraniony, toteż zerwał się szybko i podniósł w górę pochodnię.

— Musimy go koniecznie wyciągnąć, skoro się wynurzy! — krzyknął von Denhoff, zbliżając się do miejsca katastrofy.

Nagle ujrzał zygzakowate ogony krokodyli i zakrył sobie dłonią oczy ze zgrozy.

— Chodźmy, przyjacielu! — rzekł Mambazi, ujmując go pod ramię. — Brahma go sprawiedliwie osądził. Bezdenna chciwość stała się przyczyną zguby tego łotra. Nie myślmy już nigdy o nim!

Gdy wrócili na pokład „Lady Lyle” doktor i sir Ralf zarzucili ich pytaniami.

Von Denhoff w krótkich słowach opisał całe zajście. Sir Ralf na wieść o strasznej śmierci Asangi potrząsnął głową i rzekł:

— To głupie! Musiałem pozostać na okręcie! Bardzo nudne! Tam Thugowie potopili się, tu Asanga uciekł, potop! Wszystko bardzo interesujące! A ja przy tym nie byłem, to głupie! Na honor, to głupie! Lecz gdzie jest mr Mac Dougall? — zwrócił się nagle do barona.

— Nasz drogi przyjaciel znajdował się wśród Thugów i zginął wraz z nimi.

— Głupstwo! Nie wierzę! — oświadczył sir Ralf wzruszając ramionami. — On nie jest tak głupi! Nie da się utopić, jak kociak w worku! Muszę sam się przekonać! Do czółna!

— Pan daremnie się trzodzi sir Ralf — rzekł z naciskiem von Denhoff.

— Jego śmierć jest pewna.

— Daj mu pokój! — mitygował go doktor. —

— Sądzę, że powinniśmy pójść wraz z nim. Może znajdziemy zwłoki dzielnego urzędnika. Należy mu się chrześcijański pogrzeb. Zgoda?

— Jak możesz się o to pytać? Wszyscy więc udali się na ląd.

W porcie natknęli się na lorda Artura i Hidera, którzy się wracali na czele żołnierzy. Gdy woda wdarła się do podziemnych lochów, potężny prąd powietrza wypchnął ich w stronę bananowca. Pień olbrzymiego drzewa pękł na dwoje pod uderzeniem podziemnego wichru. Szum szalejącej wody, która zalewała labirynt, pouczył wszystkich, jaka jest przyczyna tych dziwnych, strasznych i nieoczekiwanych zjawisk, dlatego też powoli wrócili do portu.

W czasie tego opowiadania cała gromada dotarła do ruin olbrzymiej pagody.

Zapalono wielką ilość pochodni i przy ich blasku rozpoczęły się poszukiwania, którymi kierował doktor. Żołnierze pracowali z ochotą i zapałem, gdyż przyrzeczono im sowitą nagrodę za trudy. Sir Ralf co pięć minut pochylał się wśród ruin i ryczał tak głośno, jak tylko mógł:

— Hallo! Mr Mac Dougall! Gdzie pan jesteś do diabła?

Ożywiona praca wrzała aż do godziny szóstej rano. Jasna tarcza słoneczna oświeciła smutne ruiny i dżunglę.

Nagle sir Ralf podskoczył, twarz mu się dziwnie wydłużyła i wrzasnął przeraźliwym głosem:

— Wiedziałem! Żyje! Woła mnie! Zdaje mi się, że pyta, która godzina!

To była radosna wieść. Poczęto z zapałem w tym miejscu usuwać ruiny.

W pół godziny potem przez wąską szparę doktor mógł spytać:

— Jak tam mr Mac Dougall? Jest pan ranny?

— Nie — zadźwięczał słaby, przytłumiony głos.

— Lecz prędzej! Zamarzłem prawie! I uważajcie, aby jakiś stucetnarowy głaz nie spadł mi na łeb!

Gdy pracę ukończono, spuszczone dzielnemu urzędnikowi linę, za pomocą której wydostał się na światło dzienne.

— *Good morning!* — rzekł dobrodusznie, ściskając w podzięce dłonie swoich wybawców.

— Pozwoli pan kilka łyków wódki, Mr Dougall! — rzekł uradowany baron. — Pan się trzęsie, jak listek osiki.

— Nic dziwnego — odparł urzędnik policji. — Każdy dzwoni zębami w zimnej kąpieli. Lecz czy schwytaście znów Asangę?

— Więc pan wiesz...?!

— Rzecz jasna! — odparł ze śmiechem Mac Dougall. Urzędnik policji nie potrzebuje brać w rękę ilustrowanego podręcznika o budowlach wodnych, by sobie wyjaśnić ten nagły zalew!

Von Denhoff opisał mu pościg za zbrodniarzem i jego śmierć.

— Żal mi go — rzekł potem Mac Dougall. — Chociaż to był nieporównany kandydat na szubienicę, groziły mu tylko sześćdziesięciofuntowe kajdany i dożywotnie ciężkie roboty na Nokobarach.

— Dajmy pokój tym nieprzyjemnym wspomnieniom — przerwał doktor. — Opowiedz pan lepiej, w jaki sposób wyszedłeś cało z tego potopu. To wprost nie do wiary!

Mac Dougall z humorem opisał swoje przeżycia aż do chwili, w której nagły zalew żywcem go pogrzebał.

Z całej siły — opowiadał w dalszym ciągu — uczepiłem się szyi i ramion pięknej bogini Bhawani. Woda zalewała mnie ze wszystkich stron, tak, że wkrótce straciłem wzrok i słuch. Z biegiem czasu rozszalały żywioł począł się uspakajać chociaż wszystko kręciło się dokoła. Równocześnie zabrakło mi tchu, więc chcąc nie chcąc musiałem się rozłączyć z boginią. Podniosłem się w górę, gdy nagle coś twardego uderzyło mnie w głowę: było to ramię wielkiego świecznika, które skwapliwie pochwyciłem. Począłem posuwać się dalej i natknąłem na jakiś sznur. Objąłem go oburącz i zacząłem się wdrapywać w górę, choć brakło mi tchu do tego stopnia, że się dusiłem. Namacałem po ciemku jakieś okno, które wskutek straszliwego wstrząsu zapadło się. Przekonałem się, że jestem żywcem pogrzebany. Pod wpływem tej potwornej myśli śmiertelny pot wystąpił mi na czoło. Lecz po chwili doszedłem do przekonania, że wy nie zapomnicie o mnie, o swoim starym towarzyszu. Uczyniłem pętlę na linie, wsunąłem w nią stopę i cierpliwie czekałem na ocalenie, a że nie czekałem daremnie, to wasza zasługa.

W godzinę później nasi przyjaciele wraz z żołnierzami wrócili na pokład „Lady Lyle”.

W Kalkucie żołnierze otrzymali sowite wynagrodzenie za wszystkie trudy. W tym celu sprzedano kosztowne przedmioty zdobyte w komnacie Asangi, a co brakło, to dopłacił lord Artur Connaughton za uratowanie Boba.

W niedługi czas potem bohaterzy niniejszego opowiadania zgromadzili się na wielkiej uczcie w hotelu, panowie i służący siedzieli razem bez żadnej różnicy przy stole. Wzniesiono wiele toastów, wśród których szczerze wyróżnił się toast sir Ralfa Ludingtona.

— Dżentelmeni — charczał ochrypłym głosem prostując swoją chudą postać. — Powiem niewiele słów! Ale wielkiego znaczenia! Indie — bardzo nudne! Radżmangall — bardzo interesujący! A więc: nigdy już Indie, zawsze Radżmangal! Hurra! hurra! hurra!

Mr Mac Dougall zajął znów swoje zaszczytne miejsce w urzędzie policji. Ponieważ jednak jego ostatnie przedsięwzięcie urzędowo nie przyniosło mu żadnych korzyści, więc stracił cierpliwość. Zrezygnował z pięknych widoków na przyszłość, ze wszystkich zaszczytów i wstąpił do słynnego biura detektywów w Londynie. Tutaj niepospolity jego talent znalazł należyte uznanie i może nadarzy się nam sposobność poznania jego późniejszych bohaterskich czynów.

Inni panowie wrócili do starego obozowiska nad Kagą. Nie obawiali się już niczego, odkąd zniszczone zostało doszczętnie gniazdo zbrodniarzy na Radżmangal.

Sir Ludington pozostał w towarzystwie myśliwych.

Znalazł w końcu ludzi, którzy go nie nudzili, a w cztery tygodnie potem pisał dumnie w swoim notesie:

„Tygrys — wielki zwierz. Głowa, ogon, cztery nogi. Czasem skacze. Rozgryzł mi lewe ramię. Bandaż gipsowy, gorączka, zresztą nic. Bardzo, naprawdę bardzo interesujące!”